

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Ward Ruyslinck

Rezerwat

PROZA WSPÓŁCZESNA



Ward Ruyslinck

Rezerwat



Przełożyła
Halina Leonowicz



1972
Państwowy Instytut Wydawniczy

*Jeśli kultura europejska miałaby
kiedyś naprawdę umrzeć, to umrze
na chorobę zwaną amerykańizmem,
na cywilizację światową, której
ideologia opiera się wyłącznie na
dewizie: Przydatność i Zysk.*

J. Greshoff – Dla dorosłych

Księga pierwsza

OSTATNI W POCHODZIE

W dniu dziewiątym listopada Basile Jonas stanął ponownie przed komisją. Teraz nie popełnił już idiotycznej gafy i nie uściśnął wyciągniętej ku sobie ręki przewodniczącego, jak wówczas gdy wezwany tu został po raz pierwszy; tym razem onieśmielony i w milczeniu spoglądając na obydwu ławników zajął miejsce, które mu owa wyciągnięta dłoń wskazywała. Usiadł na środkowym z trzech wolnych krzeseł i, założywszy nogę na nogę, powolnym ruchem drżącej nieco ręki zdjął okulary. Na początek wołał nic nie widzieć, a zwłaszcza oczu przewodniczącego. Tego wzroku, który w czasie pierwszego przesłuchania zdołał wydobyć z niego wszystko, nawet to, o czym mówić nie chciał, a w każdym razie mówiłby zupełnie inaczej. Spojrzenia ludzkie w ogóle wzbudzały w Basile'u Jonasie lęk, a czasem nawet jakby poczucie winy; zawsze wydawało mu się, że każdemu zawadza, a jego obecność na tym świecie tolerowana jest tylko dlatego, że robi wszystko, by uchodzić za człowieka tak niepozornego, jak tylko to było możliwe. Od przeświadczenia takiego nie zdołały go nawet uwolnić niewinne, agresywne, marzycielskie i zakochane spojrzenia uczennic z drugiej i trzeciej klasy.

Teraz, podobnie jak ostatnim razem, przewodniczący dosyć długo kartkował akta, a czynił to spokojnie, bez słowa, jak człowiek, któremu woale się nie spieszy. Odwracał powoli stronę po stronie i oglądał je niczym karty albumu z fotografiami. Jeden z ławników potarł zapalnik; przed krótkowzrocznymi oczyma Basile'a Jonasa zamigotał płomień podobny błędnemu ognikowi, potem przemknął nad stołem z lewej strony ku prawej, w pół drogi zatrzymał się, zadrgał i wrócił do punktu wyjściowego. Zapach dobrego tytoniu, jaki w chwilę potem uderzył go w nozdrza, przywiódł mu na pamięć pokój nauczycielski i liche cygara po trzy pięćdziesiąt za sztukę, których dymem Stubbe, kolega, nauczyciel niemieckiego, osłaniał w czasie popołudniowej przerwy ich cichą wymianę myśli. Czyżby i Stubbe miał zeznawać przeciw niemu? Nie mógł sobie wyobrazić tego. Przecież nie kto inny, tylko właśnie Stubbe odwołał go kiedyś przed kilkoma miesiącami na bok i ostrzegął, zanim jeszcze nadeszło pierwsze wezwanie.

– Panie Jonas – powiedział wtedy – niech się pan nie łudzi, że dopisze panu szczęście takie jak pańskiemu biblijnemu imiennikowi. Jeżeli pana połknie Walfisch¹, to już na pewno nie wypłuje.

Aluzja była niedwuznaczna; dyrektor Walfisch uchodził powszechnie za człowieka nieprzejednanych poglądów; intelektualna bryła lodu.

– Panie Jonas, dlaczego nie powiedział nam pan ostatnio, że grywa pan na skrzypcach?

Zaskoczony pytaniem Basile wsłuchiwał się w głos przewodniczącego; afektowany, pełen udanego wzburzenia, brzmiał sztucznie jak głos człowieka, który przemawiając po raz pierwszy publicznie stara się sprawić na audytorium wrażenie, że czyni to bez najmniejszej tremy, ale im usilniej o to się stara, tym gorszy osiąga efekt.

Albo zapomniał już, jak brzmiał ten głos miesiąc temu, albo istotnie coś się w nim teraz zmieniło. Nie śmiał nawet myśleć o tym, że mogłoby to ewentualnie oznaczać: po śledztwie uzupełniającym sprawa przybrała niekorzystny dla niego obrót.

¹ Wieloryb (niem.)

– Zupełnie możliwe, panie przewodniczący, że nie wspominałem o tym, ale skąd mogłem wiedzieć, że przypisuje pan temu znaczenie?

– Nie byłoby to oczywiście ważne, gdyby nie fakt, że grał pan dla tej dziewczyny, dla Marty Simons, wtedy, tego wieczoru, kiedy zwabił pan ją do swego pokoju.

Basile drgnął mimo woli.

– Przecież pan doskonale wie, panie przewodniczący – odparł zniechęcony – że całe oskarżenie oparte jest na insynuacjach. Ja nie zwabiłem jej do mego pokoju. Udzieliłem jej jedynie schronienia, a pan wie również dlaczego i w jakich okolicznościach. Ostatnio wyjaśniałem to panu szczegółowo...

– Owszem, mówił nam pan już to i owo – przerwał mu przewodniczący – ale z kolei ja muszę panu powiedzieć, że informacje, jakie otrzymaliśmy z różnych źródeł w tej sprawie, są tak sprzeczne z pana relacją, że nie możemy na razie zadowolić się pańską wersją naświetlania faktów. No dobrze, później jeszcze do tego wrócimy.

W tej chwili włączył się do rozmowy ławnik siedzący z lewej strony. Powiedział szczerliwie, może dlatego, że trzymał cygaro w ustach:

– Jeżeli pan pozwoli, panie przewodniczący, chciałbym zadać pytanie odnoszące się do tego punktu.

– Ależ proszę, panie Opdael.

– Otóż chciałbym dowiedzieć się od pana Jonasa, dlaczego właściwie grał na skrzypcach dla tej dziewczyny?

Basile poruszył trwożliwie głową, jakby chciał uchylić się przed czymś, co niebezpiecznie szybko zbliżało się do niego. Już w czasie poprzedniego przesłuchania doszedł do wniosku, że powinien szczególnie mieć się na baczności przed pytaniami pozornie pozbawionymi sensu, przed takimi, które mimo woli nasuwają pytanie: „Czy oni sami wiedzą właściwie, do czego zmierzają?”

– Nie wiem – odparł po chwili wahania. – A dlaczego w ogóle gra się na skrzypcach? Dlatego że się jest szczęśliwym. Dlatego że się jest nieszczęśliwym. Dlatego że zwątpiło się we wszystko i w każdego z osobna. Dlatego że nie dorosło się do życia...

– Innymi słowy dlatego, że się jest sentymentalnym – przerwał mu przewodniczący tonem niecierpliwym, pełnym nie ukrywanej odrazy. – Z tych samych zapewne powodów pisuje się wiersze, czy tak, panie Jonas? Kto nie dorósł do życia, ucieka w świat poezji, w świat muzyki, podobnie jak ten, kto przekonany, że nie dorasta do obiektu swej miłości, ucieka do klasztoru.

Słowa: muzyka, poezja i klasztor wymawiał, jakby chodziło o hodowlę pleśni. Basile zastanawiał się, do czego to wszystko zmierza. Nic z tego nie rozumiał. Na przykład w żaden sposób nie mógł pojąć, dlaczego jego do tej pory zwykłe, nieskomplikowane życie usiłowano nagle splątać w jakiś kunsztowny supeł. Włożył okulary. Teraz widział wszystko wyraźnie i dlatego w pierwszej chwili trwożliwie unikał patrzenia w twarze siedzących naprzeciw za stołem. Utkwił wzrok w fotografii wiszącej na ścianie. Widział ją już w tym miejscu, kiedy był tu ostatnim razem. Portret nowego proroka Zachodu. Z mieszanymi uczuciami przypatrywał się uśmiechniętej twarzy o wydatnych ustach i wysoko zarysowanych łukach brwi; była to twarz człowieka, który nigdy w nic ani w nikogo nie wątpił, a już najmniej w siebie samego. „Kobra” – przyszło mu na myśl. W tej nazwie, wywodzącej się z języka ludu, więcej było respektu niż lekceważenia. Kobra jako fetysz przetrwała do dziś, i to nie tylko wśród ludów cywilizacyjnie zacofanych. Basile uświadomił sobie nagle, że człowiek z fotografii jeszcze przed trzema laty stał przy maszynie do kapslowania butelek i tą samą ręką, którą teraz kładzie kamienie węgielne, przecina wstęgi i podpisuje wyroki śmierci, ustawiał na taśmie transportera butelki z mlekiem i sprawdzał, czy zostały szczelnie zamknięte.

– Przypadkowo otrzymaliśmy pańskie wiersze – oznajmił przewodniczący znów świadomie modulując głos. – *Znak na ścianie*. Czy to panu coś mówi?

Basile dojrzał kątem oka, że ręka trzymająca cygaro sięgnęła do teczki z aktami i wyjęła z niej jeden arkusz papieru. Nie mógł rozpoznać dokładnie, co to było, domyślił się jednak, że prawdopodobnie jedna z kart notatnika, na których odwrocie pisał większość swoich wierszy.

Przewodniczący zaczął odczytywać pierwszą zwrotkę:

*Połączcie wszystkim waszą niemoc, martwi bracia,
wy, którzy pasaliście świnie,
którzy żyliście w glinie
waszych kurnych chat i na ścianach kreśliliście znaki.*

Brzmienie tych słów czytanych monotonicznie, bezdusznie, jak się czyta receptę, sprawiło, że zdało mu się, iż wałęsa się owe lepianki na pasterzy świń, a z szarego tumanu pyłu wyłania się złowieszczy znak: *Mane, Tekel...* Zamiast oburzenia doznał uczucia śmiertelnego nieomal wstydu. Słowa recytowane w ten sposób nie miały nic wspólnego z poezją, wywoływały niesmak. Pragnął w tej chwili, by nigdy nie było mu dane tego wiersza napisać.

– To się nawet rymuje – stwierdził pan Opdael bez cienia złośliwości.

– Owszem, ale z metrum nie jest najlepiej – zauważył ławnik siedzący po prawej stronie, a który – o ile Jonas pamiętał – nazywał się Vasalis.

Pan Vasalis miał twarz uczniaka. Pocił się przez cały czas jak koń, a ilekroć pochylił się do przodu, biła od niego woń potu. Najwidoczniej nie był całkiem zdrowy. Dolną część jego twarzy okalał rudy zarost, pod podbródkiem ciemniejszy i przystrzyżony w szpic, przypominał lniany knot nasycony wilgocią.

Basile patrzył dalej na błazeńską maskę Kobry i nic nie mówił. Wokół portretu snuł się dym cygara niby ofiarnych kadzideł przed wizerunkiem bóstwa. „Jak tam idzie dalej... druga zwrotka... «Zjednoczcie wszystkim waszą pokorę, martwe siostry...» Ależ nie – pomyślał Basile – przecież tak zaczynała się trzecia, najlepsza, ta, w której zdołał zakłócić kilka dobrych obrazów jak chociażby: «Sztormowe latarnie duszy i święta Purym na zgliszczach azylu.»” Właściwie wiersz nie był zły, a w każdym razie nie byłby, gdyby został właściwie odczytany. To zresztą nie miało znaczenia, bowiem dobra czy zła poezja i tak była tabu w tym racjonalistycznym świecie, jak wszystko, co powstało z inspiracji serca, a nie trzeźwej rozważli. Odnosiło się to w równym stopniu do muzyki, do religii. A czy mogło być inaczej? Wszak sam Kobra był produktem procesu sterylizacji i pasteryzacji. Ktoś, kto jak on przez lata miał przed oczyma zawsze te same błękitnie połyskujące kapsle na zawsze takich samych stożkowatych butelkach, zapewne nie odczuwał już najmniejszej nawet potrzeby poezji, muzyki czy owego tajemniczego Boga, pogrążającego się coraz głębiej w lotnych piaskach własnych misterii. Taki człowiek musiał w końcu wpaść na pomysł, by i ludzkie uczucia poddać pasteryzacji, by je wyjałowić.

– Jeżeli dobrze zrozumieliśmy, panie Jonas, to właśnie ten wiersz wywołał incydent z dyrektorem Walfischem?

– Tak, panie przewodniczący.

Basile w dalszym ciągu nie wiedział, co bardziej zasługiwało w ich oczach na potępienie: to, że odczytał wiersz przed klasą bez przedłożenia go uprzednio Radzie Pedagogicznej, czy że czytał go w czasie przeznaczonym na programowe zajęcia, a może fakt, że ów poetycki utwór wyszedł spod pióra jego, Basile’a Jonasa. Może wreszcie teraz dowie się, o co chodzi.

Przewodniczący strząsnął popiół z cygara.

– Na podstawie relacji dyrektora Walfischa możemy dosyć dokładnie odtworzyć przebieg wydarzeń, które doprowadziły do tego osławionego incydentu – powiedział – mimo to istnieje jeszcze mnóstwo punktów niejasnych. Myślę, że panowie – tu zwrócił głowę najpierw w lewą, potem w prawą stronę – zgodzą się, abym dał teraz panu Jonasowi sposobność do obronienia jego stanowiska w tej sprawie.

Pytanie, a raczej gotowa decyzja, skwitowane zostało milczeniem i wydawało się mało prawdopodobne, aby zapytani zamierzali wyjawiać własne w tej mierze zdanie.

– Panie Jonas, niechaj nam pan zatem wreszcie wyjaśni, jak do tego właściwie doszło. Proszę się spokojnie zastanowić. Może pan mówić bez skrępowania, nie stoi pan przecież przed sądem.

Basile z wahaniem oderwał wzrok od portretu.

„Mieć przyjaciół – myślał – mieć ludzi rozumiejących albo przynajmniej chcących rozumieć drugiego, takich, do których można mówić bez nieufności i którzy bez nieufności słuchają. To chyba wspaniałe uczucie. Ale przyjaźń też jest oczywiście tabu jak muzyka, poezja czy religia. Czymże bowiem jest przyjaźń? Nie przynosi pożytku, nie zawiera przecież w sobie elementów twórczych, budujących, nie przyczynia się do postępu naukowego czy technicznego, nie ma wpływu na sukcesy gospodarcze, na wzrost powszechnego dobrobytu; przyjaźń jest zatem czynnikiem hamującym.” Pogrążony w myślach poczuł nagle na sobie wzrok przewodniczącego i w tej samej chwili doznał uczucia, że podłoga usuwa mu się spod stóp. „Czym zawiniłem, że nawet te oczy wzbudzają we mnie strach? – pomyślał z rozpaczą. – Przecież to tylko zmęczone oczy starego człowieka.”

Opanował się, położył dłonie na kolanach i raz jeszcze stwierdził, że ludzie nigdy nie są wdzięczni, gdy mówi się im prawdę w oczy; albo ogarnia ich wówczas wściekłość, albo uciekają z placu boju. Przypomniał sobie owo lipcowe popołudnie, kiedy Elwira Galie wstała nagle z ławki i opuściła klasę. Wtedy też siedział jak teraz i to samo myślał.

„– Dziewczęta w ciągu całego przedpołudnia wydawały się dziwnie niespokojne. Tematem lekcji był Eggerwald. Rozdałem w klasie kilka fotosów wypożyczonych z narodowego archiwum literatury (Eggerwald na koniu w swej posiadłości; Eggerwald w rozmowie z prezydentem; Eggerwald przyjmujący z rąk króla Olafa nagrodę Nobla), ale żadna z dziewcząt nie słuchała wykładu ani nie zdradzała zainteresowania dla tematu, z wyjątkiem może Marty Simons. Marta zaliczała się do moich najbardziej zdyscyplinowanych i posłusznych uczennic; cicha, małowówna dziewczyna o dużych marzycielskich oczach. Jak powiedziałem, dziewczęta nie przejawiały zainteresowania Eggerwaldem, natomiast niezwykle uważnie obserwowały Elwirę, zarozumiałą kozę, która wiecznie zatruwała w klasie powietrze perfumami o zapachu piżma. Wyglądało na to, że spodziewały się czegoś, że miała coś powiedzieć albo zrobić; czegoś takiego w każdym razie, na co dotychczas żadna z nich się nie odważyła. Szeptaly między sobą, oglądały się, podawały sobie pod ławkami karteczki. Większa część tej tajemniczej korespondencji trafiała – i tak chyba miało być – do Elwiry, a ta z wyniosłym uśmiechem czytała karteczki i chowała je do rękawa bluzki. Nie uszło to mojej uwagi, ale udawałem, że niczego nie dostrzegam. Patrzyłem przez okno na boisko czekając, aż zdjęcia wrócą do mnie. Mniej więcej domyślałem się, o co chodzi. Tego ranka Elwira przyszła na lekcję spóźniona o kwadrans i nawet nie uważała za stosowne usprawiedliwić się. Klasa była trochę zdziwiona jej zachowaniem, tym więcej że i ja nie upomniałem jej, tylko jakby nigdy nic dalej prowadziłem lekcję. Zastanawiały się zapewne, czy starczy mi odwagi, by skarcić córkę sędziego śledczego Galie, czy też tak to pozostawię. Nie mogły oczywiście wiedzieć, że miałem swój plan. Otóż kiedy zebrałem fotografie, postanowiłem zgodnie z tematem lekcji odczytać z klasą pierwszy akt *Generała* Eggerwalda. Jak panu wiadomo, sztuka ta znajduje się na liście lektur Rady Pedagogicznej i jako utwór szczególnie zalecany oznaczona jest nawet dwiema gwiazdkami. Dla lepszego wciągnięcia dziewcząt do akcji, rozdzieliłem pomiędzy nie role, nawet i męskie. Kazałem czytać tekst «na głosy», jakby to było na scenie. Zapewniam pana, że robiły to bardzo chętnie, dziewczęta są urodzonymi aktorkami. Elwira Galie też otrzymała epizodyczną rolę. Miała zagrać młodą dziewczynę, która pod koniec pierwszego aktu, w czasie przyjęcia w hotelu, przewraca kieliszek generała i dzięki powstałemu w związku z tym zamieszaniu, ułatwia szpiegowi

Gandaninowi... Prawdopodobnie znana jest panu treść sztuki, a zresztą to, co działo się dalej, nie jest w tym przypadku istotne. Wywołałem wybrane dziewczęta na podium i udzieliwszy im kilku wskazówek reżyserskich, pozostawiłem samym sobie. Ja byłem widzem. Kiedy przyszła kolej na Elwirę, wygłosiła swoją kwestię z gracją i przejęciem, co było tym bardziej żenujące dla niej i dla mnie. «Jest mi naprawdę przykro, generale. Czy może mi pan wybaczyć...» W klasie zapadła grobowa cisza. Elwira spłonęła rumieńcem. Zrozumiała, że dała się zapędzić w pułapkę. Zacisnąwszy usta, nie panując nad sobą, spojrzała na mnie tak, jakbym to ja miał być generałem, a nie jej koleżanka Gilberte Verlinder. Nie myliła się zresztą. To ja naprawdę byłem tym generałem, i w dodatku nie mogłem się już z tej roli wycofać, chociaż wolałbym raczej w tej chwili być kelnerem, owym lokajem o twarzy mumii, który napełniwszy ponownie kielich generała mógł zejść ze sceny.

Przyznaję, że zaniepokoiło mnie trochę to pełne nienawiści spojrzenie. Może naprawdę ugodziłem ją zbyt mocno. Czasami nie pamięta się o tym, że dziewczęta w jej wieku i z jej środowiska reagują w pewnych sytuacjach jak kobiety dorosłe, tylko brak im jeszcze opanowania tamtych, pozwalającego pod maską chłodu i nienaganych manier ukryć prawdziwe uczucia.

Do przerwy pozostało siedem minut i nie wiedziałem, co z tym czasem zrobić; za wiele go było, żeby lekcję zakończyć, a za mało, by zaczynać nową. Spojrzałem w okno. Niebo nad boiskiem zmieniło się w jednej chwili. Spoza grubej warstwy chmur szczeliną przedarło się słońce i wyrysowało na ich ciemnym tle przedziwny koronkowy ornament, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Zafascynowany tym niezwykłym zjawiskiem, spojrzałem na dziedziniec. Przed tablicą do ogłoszeń, obok sali gimnastycznej, stał nowy wychowawca, któremu dziewczęta nadały przydomek «Pudding» i przytwierdzał tam jakieś nowe zawiadomienie. W drugim skrzydle gmachu chór altów i sopranów w klasie Stubbeego skandował monotonna odmianę czasownika «mieć»: «*Ich ha-be, du hast, er hat, wir haben...*» Mimo woli pomyślałem: «co wy macie, martwe siostry?» Zabrzmiało to jak fragment wiersza i był to w istocie wiersz. Słowa, ba, całe zdania zaczęły mi się cisnąć do głowy, musowały (pan naturalnie powie: jak pęcherzyki gazu dobywającego się z bagna, ale niech i tak będzie): «Zbierzcie wszystką waszą pokorę, martwe siostry, i zapalcie sztormowe latarnie duszy...» Właśnie to, co pan ma przed sobą. To był ten wiersz. Napisałem go w domu poprzedniego wieczoru, kiedy piętro wyżej przeprowadzali się Pelgrimsenowie, przesuwali meble, tłukli się, biegali po schodach, tym dobitniej uświadamiając mi, jak cienka jest ściana dzieląca samotnego człowieka od życia.

Wyjąłem z portfela wiersz i przeczytałem go jeszcze raz; obawiałem się, czy od chwili, w której został napisany, nie zatraciło się w słowach całe uniesienie. Zwykle nazajutrz patrzy się na utwór inaczej niż w czasie pisania. W tym przypadku jednak tak nie było, wiersz jeszcze nabrał wyrazu. Tak mi się przynajmniej wydawało. Ogarnęło mnie wzruszenie, miałem łzy w oczach. Być może nie potrafi pan tego pojąć, ale to prawda. Doznałem uczucia radości przekonany, że jest to najpiękniejszy wiersz z wszystkich, jakie kiedykolwiek napisałem. Mówiąc to nie zamierzam bynajmniej doszukiwać się w tym dla siebie okoliczności łagodzącej.

W pewnej chwili podniosłem wzrok i natychmiast wróciłem do rzeczywistości; napotkałem wszystkie oczy utkwione we mnie, a raczej w kartkę, którą trzymałem w ręce. Dziewczęta spodziewały się zapewne, że odczytam im jakiś oficjalny komunikat. Trochę mnie to speszyło. Spojrzałem ponad głowami nieruchomo siedzących uczennic na wielobarwny zbiór minerałów, umieszczonych w gablotach na przeciwległej ścianie. Przez poznaczone odciskami palców szyby okienne zajrzało do klasy słońce; wtargnęło do wnętrza szaf i zapaliło migotliwe refleksy w bryłach kryształów. Uśmiechnąłem się i spojrzałem na zegarek. Pozostało jeszcze pięć minut. Nie mogłem oprzeć się pokusie, by nie powiedzieć «Połączcie wszystką waszą niemoc...», a skoro już wypowiedziałem te słowa, musiałem mówić dalej. Przeczytałem cały wiersz. Słońce jak drapieżny ptak spadło na ławki, na podium i katedrę, a ja słuchając własnych słów myślałem, że kiedy odejdzie stąd do swego orlego gniazda w górach, pójdę wraz z nim. I szedłem w szerokim cieniu jego skrzydeł, ślepy i szczęśliwy, ogarnięty pragnieniem uszczęśliwiania innych, nawet i tych, którzy mniemają, że wiedzą, co to jest szczęście. Światło wyniosło mnie ponad szczyty gór, ponad świat; światło zniszczyło mnie, unicestwiło – przestałem istnieć. Pozostał tylko wiersz iskrzący się jak górski kryształ nie w moich już dłoniach, ale tam, na samotnej wyniosłości, ponad kurnymi chatami życia.

Stałem z pochyloną głową. Powoli budziłem się z oszołomienia i znów powracał ból, a wraz z nim smutek, grzech pierworodny ciążył mi teraz bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Wracałem do rzeczywistości jak do zimnego, nieprzytulnego domu. Dziewczęta ciągle jeszcze milczały. Znów zmarnowały szansę, to światło nie zdołało ich nawet poruszyć. No cóż, urodziły się przecież w tym zimnym, pozbawionym duszy domu, nabywały umiejętności obywatela się bez ciepła, światła i przyjaźni. One też wierzyły, że wiedzą, co to jest szczęście: dudnienie grających szaf, jazgot automatów do gry, ryk silników samochodów wyścigowych, reklamy orzeźwiających napojów, motele przy autostradach i tempo, coraz szybsze, desperackie tempo pozbawionego sensu życia. Nie, one nie widziały znaku na ścianie, Marta Simons też go nie widziała. Patrzyła na książki, na tabele statystyczne, ale wydawało się, że myślami ciągle jeszcze była przy Eggerwaldzie. Eggerwald – geniusz! Cóż ja przy nim znaczyłem. Musiałem wypaść fatalnie i to właśnie było krzywdzące.

– Czy to jest wiersz Eggerwalda, panie profesorze?

Ocknąłem się przerażony. Zarówno nieśmiałe pytanie Suzy Meyboom, jak szyderczy śmiech, jaki wywołało w tylnych rzędach ławek, zmieszały mnie beznadziejnie. Było oczywiste, że chciały ze mnie zakpić. Zaraz potem – i to zabolowało mnie najmocniej – Elwira Galie wymierzyła mi cios w samą szczękę. Odwróciwszy się plecami do Suzy powiedziała zjadliwie:

– Eggerwalda? Głupia. Ty w ogóle nie widzisz różnicy między lizakiem a poezją?

W klasie zawrzało. Na próżno starałem się uspokoić dziewczęta. Pukałem kredą w pulpit, ale tumult nie ustawał. Nagle Elwira wstała. Z głową prowokacyjnie odrzuconą do tyłu, stukając szpilkowymi obcasami, przedelfilowała obok mnie w stronę drzwi, prowadzona zdumionymi spojrzzeniami koleżanek...

– Dokąd idziesz? – zapytałem, nim dotknęła klamki... Nie odpowiedziała. Wyszła z klasy trzasnąwszy drzwiami. Zrobiło się cicho, dziewczęta wstrzymały oddechy. Obserwowały mnie z zaciekawieniem. Czekały na to, co teraz nastąpi. Obrzydliwy zapach piżma, jaki owionął mnie w tej chwili, skojarzył mi się z odorem jakiejś nieuleczalnej choroby, z zapachem śmierci. Ogromnie męczyło mnie, że nie potrafiłem panować nad własnymi powiekami; im bardziej starałem się ukryć ich nerwowe drganie, tym bardziej stawało się ono widoczne. A powinienem przecież za wszelką ceną zachować spokój. Położyłem dłonie na kolanach i siedząc tak powiedziałem sobie, że ludzie nigdy nie są wdzięczni temu, kto mówi im prawdę w oczy. Zaskoczeni albo reagują atakiem wściekłości, albo ulatniają się z placu boju. Myślałem o tym bez gorczy, po prostu stwierdziłem fakt, podobnie jak stwierdza się,

że wszyscy jesteśmy śmiertelni czy że rok składa się z czterech pór. Nigdy nie żywiłem nienawistnych uczuć dla tego zarozumiałego stworzenia, dla córki sędziego śledczego, miałem dla niej raczej współczucie. Przecież nie z własnej winy była produktem pseudokultury dwudziestu wieków. Zabrakłoby mi odwagi, gdybym miał przyjąć rzucone mi przez nią wyzwanie. Musiałbym ruszyć wówczas do walki przeciw setkom generacji, które ją wydały, a to przekraczało ludzkie możliwości. Jakież szanse mogą mieć żywi w walce ze zmarłymi? Żadnych.

Musiałem coś przedsięwziąć, żeby się nie ośmieszyć, żeby zachować twarz. Zwróciłem się do Gilberty Verlinden siedzącej najbliżej drzwi:

– Gilberto, pobiegnij za nią i powiedz, że ma natychmiast wrócić na miejsce.

Gilberta poderwała się. Słyszałem, jak biegła przez korytarz długimi, elastycznymi susami, zdradzającymi wytrenowaną koszykarkę. Najwidoczniej wiedziała, gdzie znajduje Elwirę. W niektórych Sytuacjach dziewczęta wykazują większą intuicję niż osoby dorosłe.

Po dobrej minucie wróciła sama.

– Nie udało mi się jej namówić – oznajmiła ze spuszczonej oczyma. – Nie chciała wrócić, powiedziała, że jej ojciec nie będzie płacił za szkołę po to, żeby musiała wysłuchiwać tu poetyckich wynurzeń własnego nauczyciela.

– Tak powiedziała?

Dziewczyna milczała nie mając odwagi spojrzeć na mnie. Rozumiałem, że pytanie było dla niej krępujące i dlatego nie nalegałem na odpowiedź.

– Dobrze – rzekłem. – Siadaj.

Nie zdążyła wrócić do ławki, kiedy rozległ się dzwonek na przerwę, zresztą o całą minutę później niż zwykle. Dziewczęta opuściły klasę wbrew zwyczajowi cicho i spokojnie. Ja pozostałem. Siedziałem przy pulpicie z pochylonymi plecami, nie tak jak Eggerwald na zdjęciu, które miałem pod ręką. Przypatrywałem mu się uważnie i przyznając, nie bez antypatii. Męski, prosty jak struna, przy tym pełen wdzięku Eggerwald trzymał się w siodle jak huzar; jego prawa dłoń pieściła szyję zwierzęcia.. Raczej na wodza wyglądał niż na wielkiego poetę i dramaturga.

Całą przerwę przesiedziałem w klasie. Tym razem bardziej niż kiedykolwiek bałem się pokoju nauczycielskiego. Gdybym tam poszedł, dałbym Stubbemu okazję do grzebania się w moim zachwaszczonym ogródku filozoficznym. Problem autentyczności trzydziestu pięciu manuskryptów *Nibelungów* był mi, zwłaszcza w tej chwili, idealnie obojętny. Nabiłem więc fajkę i słuchałem wrzawy dochodzącej z boiska.

W pierwszych tygodniach pracy hałas ten dręczył mnie po nocach, prześladował w snach. Przygniatało mnie poczucie winy a zarazem bezsilności wobec tych paru setek rozhułkanych podlotków. Wydawało mi się, że przeoczyłem sposobność, by je ostrzec, uchronić przed czymś strasznym, nie znanym mi jeszcze, o czym wiedziałem, że istnieje na pewno, że gromadzi się nad ich głowami. Śmieszne przecucia, powie pan. Nie były wcale tak śmieszne. Później dane mi było przekonać się o tym. Czy nie pomyślał pan nigdy, że – być może – mielibyśmy dziś całkiem inny pogląd na wiele wysokich kultur, gdyby zachowały się z tamtych czasów zeszyty szkolne?

Spojrzałem przez okno; dziewczęta z drugiej klasy zgromadziły się wokół Elwiry. Była centralnym punktem zainteresowania, jak zresztą mogło być inaczej? Dyskutowały z ożywieniem, ale bez zacierzewienia. Od razu zauważyłem, że nie ma między nimi rzeczników «za» i «przeciw», jak to zwykle bywa wśród młodych ludzi, gdy powstanie różnica zdań. Tu najwyraźniej nie było stronnictw. Żadna z dziewcząt nie odważyłaby się wyjawiać własnego zdania; bały się ostrego języka Elwiry, a może jeszcze bardziej długiego ramienia jej ojca. Może nowoczesna młodzież nie jest w gruncie rzeczy wcale tak buntownicza, jak to dziś chętnie się o niej mówi. Raczej odnoszę wrażenie, że podobnie jak

dorośli podszyta jest tchórzem i tak samo jak oni z twarzą pokerzysty poddaje się naciskowi wielkiej zbiorowości społecznej.

Jedyną, której nie udało mi się rozszyfrować, była Marta Simons. Teraz też, jak zwykle, stała nie opodal koleżanek. Nie brała udziału w dyskusji, ale jej twarz mówiła tomy. Myślę, że żywiła dla Elwiry bezgraniczną pogardę. W pewnej chwili Elwira spojrzała na nią, coś powiedziała i dopiero wtedy mogłem stwierdzić, jak złudny był spokój i opanowanie Marty. Zareagowała na prowokację błyskawicznie i niezwykle gwałtownie, co było dla mnie dużym zaskoczeniem, zawsze bowiem uważałem Martę za istotę łagodną, której obca jest złość. Przyznaję, że równocześnie jednak podziwiałem jej niezwykłą odwagę i prawość. Nie zawiodła mnie. Nie zdradziła, przeciwnie, bez wahania opowiedziała się po mojej stronie. Czy to nie jest dziwne? Zazwyczaj staje się przecież po stronie silniejszych. Jej postawa wzruszyła mnie. Zawsze darzyłem sympatią tę dziewczynę, ale właściwie dopiero teraz zrozumiałem, skąd się to brało: byliśmy sojusznikami w naszej słabości, w pragnieniu prawdy. Byliśmy sojusznikami, nie myliłem się zatem, ona też widziała znak na ścianie.

W chwilę później zobaczyłem, że ostentacyjnie odwróciła się od koleżanek, a potem zginęła mi z pola widzenia w tłumie młodzieży na boisku. Położyłem fajkę na parapecie okna i sięgnąłem po portfel. Wyjąłem kartkę z wierszem i uniesiony nagłym porywem radości i wzruszenia, napisałem pod tytułem małymi literkami: «Dla M.S.» I w tej chwili ogarnęły mnie wątpliwości, czy mam prawo narzucać się jej z tą moją wdzięcznością; w końcu bez jej wiedzy i zgody skazuję ją tym samym na rolę współnika. Przekreśliłem więc dedykację i aby uczynić ją niemożliwą do odczytania, rozlałem w tym miejscu kroplę atramentu. To właśnie ta plama, którą pan widzi na kartce.

Następnego dnia Pudding wywołał mnie z klasy oświadczając, że dyrektor wzywa mnie w pilnej sprawie. Była za dziesięć dwunasta. Nie przewidywałem, abym miał wrócić przed zakończeniem lekcji, dlatego też spakowałem książki, a opiekę nad dziewczętami zleciłem Puddingowi.

Zastałem dyrektora zajętego przeglądaniem diapozytywów. Wyjmował je jeden po drugim, oglądał pod światło, po czym ostrożnie wkładał na powrót do kasety. Nie był to zapewne materiał stanowiący pomoc naukową, bowiem szkoła nie posiadała aparatu projekcyjnego.

– Panie Jonas, chciałbym przy okazji i ja usłyszeć pański wiersz. Podobno potrafi go pan prezentować z właściwym zabarwieniem uczuciowym – powiedział. Nie patrząc na mnie dalej wyjmował, oglądał i odkładał diapozytywy. Zastosował psychologiczny chwyt stary, ale ciągle skuteczny. Od pierwszej chwili gdy przekroczyłem próg jego pokoju, miał mnie już całkowicie w garści.

– Panie dyrektorze, wyznaję... – zacząłem i umilkłem.

Popełniłem oczywisty błąd taktyczny; nigdy nie należy tłumaczyć się ani przyznawać do czegokolwiek, jak długo nie zostało się oskarżonym. Każda uczennica najmłodszej klasy wiedziałaby o tym, a ja nie pomyślałem. Mimo moich trzydziestu dziewięciu lat, ciągle nie potrafię traktować rozmowy dwu dorosłych ludzi inaczej niż jako okazję do szczyrych wypowiedzi i najczęściej źle na tym wychodzę.

– Co pan wyznaje, panie Jonas?

Przyparł mnie do muru. W tej sytuacji nie pozostawało nic innego, jak dokończyć rozpoczęte zdanie.

– Wyznaję, że popełniłem błąd. Nie powinienem czytać w klasie mego wiersza. Mam jednak nadzieję, panie dyrektorze, że zechce pan na usprawiedliwienie tego faktu wziąć pod uwagę okoliczności, w jakich to miało miejsce.

– Cóż to za okoliczności?

Pytanie zabrzmiało niemal przyjaźnie. Dyrektor wyjął ostatni diapoztyw i podniósł go. ku światłu. Wraz z tym ruchem i cień jego ramienia na tablicy z planem zajęć lekcyjnych

przesunął się do góry. Ów cień podobny był do często powtarzanej kompozycji graficznej na okładkach pamfletów politycznych albo książek o tematyce wojennej: czarna sylweta przedramienia o dłoni zaciśniętej w pięść na krwistoczerwonym tle, przez które biegnie tytuł: PRAWDA O KOMUNIZMIE, OSTATNIA ZORZA NAD ZGLISZCZAMI EUROPY...

Teczka z książkami ciążyła mi coraz bardziej, postawiłem ją więc obok biurka, tak by się nie przewróciła.

– Po raz pierwszy zdarzyło się coś podobnego – powiedziałem cicho. – Chciałbym jeszcze dodać, że na czytanie wykorzystałem ostatnie minuty lekcji. Pozostało właściwie pięć minut do dzwonka; zbyt mało, aby zaczynać nową lekcję, a za dużo, żeby ogłosić przerwę. Dlatego pomyślałem...

– Co pan pomyślał?

– Wtedy wpadłem na pomysł, żeby czytać wiersz, to znaczy, chciałem powiedzieć, żeby im ten wiersz odczytać. To stało się samo z siebie. Czytając wiersz nie wspomniałem nawet, że to ja jestem autorem. Nawet przez chwilę nie pomyślałbym, że mój postępek mógłby być poczytany za niewłaściwy.

Zabrnąłem w kłopotliwe dywagacje i już konsekwentnie musiałem mówić dalej.

– Przecież żyjemy w wolnym kraju, w demokracji. Proszę mi wybaczyć, ale nie pojmuję, dlaczego w wolnym kraju dostaje się za coś podobnego upomnienie. To przekracza możliwości mego rozumowania.

Dyrektor zamknął kasetę i po raz pierwszy spojrzał na mnie. Postanowiłem wytrzymać jego spojrzenie. Przyznaję, że nie kosztowało mnie to zbyt wiele, bowiem światło tak padało z okna, że nie widziałem jego oczu, tylko dwa lśniąco szkła okularów, dwa czarno-białe diapozytywy odbijające w sobie pomniejszony obraz wnętrza gabinetu wraz ze stojącym przede mną biurkiem, nie większym od owada. Ujrzałem w nich też własne odbicie, podwójne: dwa maleńkie owady po jednym z każdej strony nosa dyrektora. Śmieszne, ale poniżające szalbierstwo kiermaszowego krzywego zwierciadła!

Odwrociłem wzrok, a dyrektor powiedział z gestem zniecierpliwienia:

– Panie Jonas, pan miesza pojęcie wolności z brakiem dyscypliny.

Pomyślałem, że nic nie mieszam. Wolność – co to właściwie jest? Jedno ze słów, jakie wymyślił sam człowiek. Mistyfikacja. Pojęcie stosowane jako rodzaj środka uśmierzającego ból, nękający pacjenta, zawsze ilekroć przypomni sobie on własną niewolę i zależność. Jakże chętnie powiedziałbym mu to, ale nie powiedziałem. Nic nie powiedziałem, bo jaki sens miałoby mówienie tego człowiekowi, który tak długo respektuje zdanie podwładnego, jak długo jest ono zgodne z jego własnym punktem widzenia. Jego argumenty przypominały pęk barwnych baloników, które trzyma kurczowo w dłoni, wiedząc, że ulecą w górę, jeśli choćby na chwilę rozluźni ucisk palców, wszystkie.

Mimo wszystko ze zwykłej uprzejmości albo dlatego, że inaczej nie mogłem, patrzyłem, jak nadmuchiwał przy mnie te baloniki, i słuchałem jego słów z mieszanymi uczuciami.

– Jedną ze swobód – mówił – jakie gwarantuje panu demokracja, panie Jonas, to fakt, że nie musi się pan jej wbrew własnej woli podporządkowywać. Prawdopodobnie bez większego trudu mógłby pan dostać wizę do Związku Radzieckiego. Nikt tu pana nie będzie zatrzymywał. Mam tylko poważne wątpliwości, czy w szkołach komunistycznych będzie panu dana możliwość działania w myśl własnych upodobań, odbiegających od ogólnie przyjętych wzorów. Wcale nie wykluczone, że pańskie liryczne wynurzenia wzbudzą tam jeszcze mniejszy zachwyt niż u nas.

«A więc jednak PRAWDA O KOMUNIZMIE» – pomyślałem. Czy to możliwe, by człowiek legitymujący się doktoratami z filozofii i literatury czytywał wyłącznie książki opatrzone formułką Kobry *nihil obstat* i numerem rejestracyjnym *imprimatur*? Czy całą generację historyków wykładających dziś na wyższych uczelniach i w szkołach Zachodu przekształcono w elitarną grupę politycznych palaczy opium? A może rozdzielono wśród nich

różowe okulary, aby mogli błędzić przez ZGLISZCZA EUROPY, niczym zblazowani turyści wśród ruin Pompei i Agadiru, niczym miłujący pokój późni świadkowie żywiołowej klęski? Czy ci idioci nie rozumieją, że sami siebie w swej głupocie oskarżają? Jedyne w państwach faszystowskich osiąga się broszurową prawdę w milionowych nakładach. Jeżeli tego nie pojmują, znaczy to, że OSTATNIA ZORZA musi już być zastraszająco blisko.

– Nawet przez chwilę nie wątpię, panie dyrektorze – powiedziałem – że za żelazną kurtyną też nie tolerowano by tego. Prawdopodobnie nie tylko nadzieja, ale i wolność utknęły w puszcze Pandory. Przykro mi, ale tak właśnie to widzę. Jeśli zaś idzie o swobody, jakie zdaniem pana gwarantuje mi demokracja, to są to swobody teoretyczne, gwarantuje się je bowiem tylko na plakatach, w gazetach, kinach i w pewnym określonym gatunku literatury. – Zacytowałem Hegla: – «Prawo do posiadania własności, jakie kapitalistyczny indywidualizm gwarantuje obywatelowi nie posiadającemu majątku, jest dla niego bezsensownym luksusem, z którego i tak nie będzie miał możliwości nigdy skorzystać.»

Przerwał mi dzwonek oznajmiający popołudniową przerwę. Dyrektor spojrzął na zegarek. Nachmurzony spoglądał nań z wyrazem zniecierpliwienia, prawdopodobnie dlatego że przekłułem jeden z jego baloników.

– Jako historyk mam zupełnie inny pogląd na to, panie Jonas. – Chciał zapewne powiedzieć: «jedynie słuszny». Nie odpowiedziałem, nie chcąc pozbawiać go złudzeń.

– Nie zamierzam wnikać w szczegóły – powiedział – brak mi na to czasu i dlatego też nie wzywałem pana wcześniej. Spojrzął na mnie. Pomniejszone odbicie wnętrza pokoju czerniło się w szklach okularów niczym otwór migawki. Nie widziałem jego oczu, tylko dwie lśniąco białe soczewki i usta. Otwierał je szeroko, jak można najszerzej. Chciał mnie połknąć. A czy można oczekiwać czego innego, skoro nosi się nazwisko Jonas?

– Panie Jonas, muszę pana kategorycznie prosić, by zaniechał pan w przyszłości podobnych poetyckich sztuczek. Przysparzają one kłopotów panu i mnie. Nie mam ochoty za każdym razem mieć na karku sędziego śledczego.

W korytarzu słychać było tupot nóg i ciche chichoty dziewcząt. Nie mogłem powstrzymać się, by nie pomyśleć o tym „czymś”, co wynoszą codziennie w swych teczkach do domów, o tym złowróżbnym, ukrytym między wierszami kaligraficznego pisma: o bezwartościowych nadziejach i prawach jednostki, o bezwartościowej wolności i prawdzie. Kilka dziewcząt wybiegło na boisko, skąd zaraz przywołał je Pudding. Zgodnie z zarządzeniem dyrektora Walfischa – praktycznego sensu tego zarządzenia nikt zresztą nie zdołał zgłębić – w środy i w soboty po godzinie dwunastej nie można było korzystać ze znajdujących się tam toalet.

– Czy mam rozumieć, że sędzia śledczy uskarżał się na mnie?

– Telefonował wczoraj wieczorem. Uznał, że pańskie wystąpienie było nie na miejscu, w czym zresztą nie mogłem nie przyznać mu racji.

– Naturalnie, nie mógł pan – potwierdziłem spuszcając głowę.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że powinienem powiedzieć coś na swoją obronę, chociażby zapytać, czy zdaniem sędziego jego córka, na przykład, która spóźnia się o piętnaście minut na lekcję i nie uważa nawet za stosowne usprawiedliwić się, też ma rację, ale nic nie powiedziałem, postanowiłem milczeć. Wiedziałem przecież, że przywilej «racji» jest jedną z owych swobód, jakie demokracja gwarantuje sędziemu śledczemu.

– Może pan odejść, panie Jonas – mruknął dyrektor.

Wziąłem teczkę i wyszedłem. W korytarzu, przy drzwiach gabinetu dyrektora, natknąłem się na Jacky van Duyn. Jacky, uczennica najstarszej klasy, tępak i lizus, stała oparta plecami o tablicę pamiątkową ku czci nauczycieli, którzy poświęcili swe życie dla bezwartościowej wolności, dla bezwartościowej prawdy: NASI POLEGLI BOHATEROWIE. Znak na ścianie! «Zjednoczcie waszą niemoc, martwi bracia. Zbierzcie wszystką waszą pokorę, martwe siostry». Przeszedłem obok dziewczyny. Uśmiechnąłem się do niej smętnie, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Jacky van Duyn nie pasowała do mego wiersza: „Zbierzcie wszystką

pokorę...” – cóż ona mogła zbierać? Wsparta plecami o tablicę z nazwiskami poległych bohaterów myślała zapewne o wolnym popołudniu, o bohaterach filmowego ekranu, którzy za nic nie padali, a jeśli nawet przypadła im taka rola, powstawali z upadku na powrót. Jeżeli w ogóle cokolwiek zbierała, to chyba *pin-up-boys* i podstawki pod kufle do piwa.”

Pan Vasalis położył na krawędzi popielniczki ośliniony ogarek cygara i wyjął chustkę dla otarcia szyi i karku, po czym wetknął wskazujący palec pod oszewkę przepoconego kołnierzyka. Drugi z ławników, pan Opdael, wpatrywał się w Basile’a z miną idioty. Uchylone usta i mętny wzrok czyniły go podobnym do widza w kinie, kiedy zaskoczony rozblaskującym nagle światłem usiłuje z trudem maskować głęboki żal, że urok prysnął tak niespodziewanie. Pan Opdael zaliczał się z pewnością do gatunku ludzi, którzy oscylując między snem a rzeczywistością potrzebują całego życia, by zdecydować w końcu o wyborze właściwej dla nich sfery, a tymczasem wskutek owego rozdwojenia jaźni strzelają gafę po gafie, mówiąc zawsze nieodpowiednie rzeczy w nieodpowiednich momentach. Tylko tego typu człowiek może, zasiadając w komisji, zdobyć się na tak głupie pytania jak: „Dlaczego grał pan dla tej dziewczyny na skrzypcach?” albo dodawać znacząco: „No tak, nic dziwnego.” Jakby istotnie trzeba było dopatrywać się, że pod suitą Bacha czy utworem poetyckim kryją się nieczne zamiary albo nastawienie pacyfistyczne.

Także teraz uwagę Basile’a zwróciły dziwne purpurowe plamy na i tak czerwonej twarzy pana Opdaela. Już podczas pierwszego przesłuchania widok ten nasunął mu skojarzenie z wulkanizowaną gumą.

– A to ładna historia – oschle zauważył przewodniczący. – Pańska szczerość jest niemal wzruszająca, panie Jonas.

Jeżeli naprawdę był wzruszony, to w każdym razie nie dał tego po sobie poznać. Jego oczy pozostały zimne i nieruchome, wydawało się tylko, jakby zapadły jeszcze głębiej.

– Co panowie myślą o tym?

– Osobliwe naświetlenie sprawy – westchnął pan Vasalis – Szkoda tylko, że wnosi tak mało rzeczy istotnych. – Mówiąc to przybrał minę człowieka, który ślubował na głowę własnej matki, że zawsze będzie działał z największym obiektywizmem, i to nawet wówczas, gdyby zeznania ujawnić miały najokropniejsze fakty i sprawy. Pan Opdael nic nie powiedział. Udał, że pytanie nie odnosi się do niego. Było wyraźnie widać, że myślami jest nadal przy filmie i nie wrócił jeszcze całkowicie do rzeczywistości.

– No, tego nie powiedziałbym. Mam wrażenie, że w dosyć krótkim czasie uzyskaliśmy sporo materiału – odparł przewodniczący ujmując róg kartki ze *Znakiem na ścianie*. Trzymał arkusik dwoma palcami, kciukiem i wskazującym, jakby już trochę cuchnął. Włożywszy wiersz do teczki, zaczął z widocznym roztargnieniem kartkować akta.

– Jak widzę, sprawa staje się coraz ciekawsza. Mam tu uzupełniające wyjaśnienie dyrektora Walfischa, opatrzone datą 3 października. Jest w nim mowa o innym incydencie, jaki zdarzył się w dwa tygodnie później. Relacja jest dość obszerna, ma dwie strony maszynopisu, dlatego nie będę jej odczytywał w całości. Dla orientacji wystarczą fragmenty, odnoszące się do tego drugiego zajścia, o którym tak czy inaczej musimy jeszcze pomówić.

Sięgnął po cygaro i zaostrzoną zapałką podlubał w ustniku, po czym tak samo monotonna, jak czytał poprzednio pierwszą strofę wiersza, zacytował wybrany fragment pisma dyrektora Walfischa:

„Dnia 24 lipca po południu odwiedziłem wraz z radcą szkolnym Romeynem klasę pana Jonasa. Właśnie prowadził zajęcia z historii literatury. Zgodnie z programem tematem lekcji miała być francuska powieść rycerska, jednakże z niewiadomych mi powodów pan Jonas uznał za wskazane nie trzymać się oficjalnego planu. Na tablicy wypisane były ręką

wykładowcy trzy cytaty z *The managers of fear*² Thomasa B. Oswalda, ucznia sławnego Bertranda Russela. Na stole leżał dla każdego widoczny egzemplarz książki, która z uwagi na zawarte w jej treści antyzachodnie tendencje, została zakazana w większości krajów demokratycznych. Zauważyłem, że radca z trudem ukrywał zdenerwowanie. Na jego pytanie, czy Oswald należy do lektur przewidzianych programem, pan Jonas dał wymijającą odpowiedź. Oświadczył między innymi, że książkę przyniosła jedna z dziewcząt, której nazwiska nie chciał wyjawiać. Książka miała rzekomo pochodzić z biblioteki jej ojca, a skoro już znalazła się w klasie, uznał za właściwe trochę o niej pomówić. Radca zapytał wówczas, czy jest mu wiadome, że dzieło to zostało zakazane przez komisję lektur. Pan Jonas przyznał, że o tym wie, ale jest zdania, że gdyby tak sprawę wobec dziewcząt postawił, dopiero wtedy wzbudziłyby w nich zainteresowanie dla tej lektury. Radca nie czując się w pełni zadowolonym z takiego wyjaśnienia, poprosił pana Jonasa o osobistą rozmowę w moim gabinecie. W czasie rozmowy, przy której byłem obecny...”

Przewodniczący umilkł. Znów sięgnął po cygaro, a wkładając je do ust strącił popiół wprost na pismo dyrektora. Ostrożnie ujawniwszy kościstymi palcami akta, wysypał popiół na podłogę.

– Sądzę, panie Jonas, że nie ma pan zastrzeżeń do przytoczonych faktów. A może?

– Nie mam zastrzeżeń do faktów jako takich, jedynie do sposobu, w jaki zostały naświetlone – odparł Basile.

– Bądźmy rzetelni. Panu zawsze chodzi o naświetlenie faktów. Co pan przez to rozumie? Naświetlenie faktów to przecież nic innego, jak przekoloryzowanie albo odbarwienie rzeczywistości przez osobę z tą rzeczywistością związaną. W żadnym razie nie odnoszę wrażenia, aby dyrektor Walfisch w swym piśmie dopuścił się jednego czy drugiego. Przeciwnie, jego sformułowania cechuje obiektywizm i rzeczowość, temu nie zechce pan chyba zaprzeczyć?

– W obiektywnym i rzeczowym sformułowaniu można też pewne rzeczy przemilczeć.

– Jeżeli dobrze pana zrozumiałem, podejrzewa pan dyrektora Walfischa o przemilczenie pewnych, przemawiających na pana korzyść faktów?

– Takie wrażenie odnoszę w istocie.

– No, to dosyć poważne oskarżenie, panie Jonas. Osobiście byłbym raczej skłonny twierdzić, że pan Walfisch powstrzymał się od ujawnienia wszystkiego, co mogłoby świadczyć przeciw panu. Zauważyłem na przykład, że nie wypowiedział się bliżej o cytatach z Oswalda. Myślę, że uczynił to z rozmysłem na pewno niedyktowanym wrogością dla pana.

– Być może nie zapamiętał ich dosłownie – odparł Basile.

– A pan je pamięta?

– Mam nadzieję. Jeden z nich brzmiał: „Zbrojny pokój jest jak gołąb z bombą zapalającą u skrzydeł.”

– Aha! Hm... A pozostałe?

Głos przewodniczącego zabrzmiał trochę ochryple, jak u kogoś, kto za chwilę straci panowanie nad sobą. To było niepokojące. Basile poczuł, że ogarnia go niepewność. Był bezradny. Wiedział z doświadczenia, że ludzie tracąc panowanie nad sobą, tracą równocześnie wszystko, co w innych warunkach stanowi siłę obronną ich spokoju: godność osobistą, rzetelność oceny i poczucie sprawiedliwości. Było z tym tak jak z drzwiami trzaskającymi w zawiasach pod naporem wzburzonego tłumu: nie sposób wyjść przez nie z pokoju, by nie zostać stratowanym.

– A pozostałe?

Pozostałe... Dlaczego tyle wagi przypisuje się tym cytatom? Przymknął oczy, by skupić myśli. Pozostałe... Zdjął okulary i nerwowo przekładał je z ręki do ręki. Nagle przypomniał

² Menażerowie strachu (ang.)

sobie dokładnie, zobaczył jak na ekranie cztery krótkie linijki skreślone własną ręką czarno na białym u góry z lewej strony tablicy: „Cywilizacja to eksport mundurów dla niedożywionych Murzynów i import opasek biodrowych dla dobrze odżywionych białych (Thomas B. Oswald).”

Powtórzył cytat na głos, świadomie wypowiadając słowa powoli, by zyskać trochę czasu dla skoncentrowania myśli, bo trzeciego fragmentu w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

– Trzeci... trzeci... – powtarzał pocierając dłonią czoło. – Jak to było? To było coś...

– Niech się pan dalej nie trudzi. To nam wystarczy – przerwał przewodniczący. Tym razem głos jego nie brzmiał już ochryple, był po prostu zimny i odpychający. – A dlaczego wybrał pan te właśnie fragmenty?

– Ponieważ... no, chyba dlatego, że wydawały mi się one typowe dla Oswalda.

– Typowe? W jakim sensie?

– W moim odczuciu te dosyć ostro sformułowane definicje krystalizują w sobie całą krytykę czasów Oswalda. Jego książka jest w końcu syntezą pewnego światopoglądu; światopoglądu przeciwstawiającego się w sposób zdecydowany wszelkiej przemocy i niesprawiedliwości, uciskowi wywieranemu przez natrętną pseudokulturę i pustym, obłudnym hasłom dekadentckiego społeczeństwa...

– Dziękuję. Może zechce nam pan oszczędzić reszty – powiedział przewodniczący kierując wymowne spojrzenie najpierw na pana Vasalisa, a potem na Opdaela. Pan Vasalis pochylił się do przewodniczącego i szeptał mu coś do ucha, na co ten skinął aprobująco głową, zmarszczył brwi i wreszcie sięgnął znów po cygaro. Basile zdołał pochwycić pojedyncze słowa: „nalegać”, „tamta dziewczyna” i „reakcja”, ale nie próbował nawet dociekać, z czym mogłyby one mieć związek. Co by to zresztą dało, wszystko razem nie miało sensu, było wręcz żałośnie bezsensowne i niezrozumiałe. Skoro nie liczą się już ludzkie uczucia, czy mogłyby liczyć się słowa służące do wyrażania tych uczuć?

– Panie Jonas, zatem w dalszym ciągu odmawia pan ujawnienia nazwiska uczennicy, która przyniosła do klasy książkę wziętą rzekomo z biblioteki ojca?

Pan Vasalis położył szczególny nacisk na ostatnie słowa. Samo pytanie nie było z rodzaju owych pozornie pozbawionych sensu, mimo iż równie jak tamte niebezpieczne. Coś się za tym kryło. Basile włożył okulary i poprawił się na krześle; prawdopodobnie celowo dali mu tak twarde i niewygodne krzesło. Mieli własne metody, nacechowane obłudą, tak jak obłudna była ich cała zwariowana kultura. Zdemokratyzowali pranie mózgów, dopasowali je do Konwencji Genewskiej, do Karty Ligi Narodów, do statutów z San Francisco i Narodów Zjednoczonych. Uczynili z tego humanistyczną formułę. Sporządzali akta godne człowieka, przewodniczyli na przesłuchaniach zachowując twarz godną człowieka, palili godne człowieka cygara i zawsze postępowali w najwyższym stopniu godnie.

– Jak mamy rozumieć pańską odmowę?

Basile śledził wzrokiem wznoszące się ku górze foremne kółko dymu; na chwilę zawisło bez ruchu obok portretu, niczym aureola nad głową Kobry, by po chwili przybrać kształt pętli lassa i wreszcie rozplynać się w powietrzu.

– Nie chcę tej dziewczyny narażać na przykrości – odparł w końcu. – Ona jest niewinna. Nie wiedziała, że to zakazana książka, i prawdopodobnie do tej pory o tym nie wie.

– Postępowanie pana godne jest dżentelmena. Obawiam się jednak, że zadaje pan sobie zbędny trud. Już dość dawno ustaliliśmy jej nazwisko. Była tu przesłuchiwana i sama wszystko wyznała. Wyjawiała, skąd miała książkę. Nie z biblioteki ojca, jak pan mniema. Jej ojciec opuścił rodzinę i przed sześciu laty wyemigrował do Brazylii. O tym pan prawdopodobnie wtedy jeszcze nie wiedział. W każdym razie wyjaśnienia dziewczyny w sprawie pochodzenia książki były bardziej wiarygodne niż pańskie. Powiedziała, że kupiła

egzemplarz w antykwariacie, pamiętała nawet w którym i kiedy. Poleciliśmy sprawdzić jej zeznania i okazały się w pełni zgodne z podanymi faktami.

Basile patrzył otepiałym wzrokiem na napis umieszczony na zewnętrznej stronie popielniczki; „Rosaline” – odczytał bezwiednie, ale sens tego słowa do niego nie dotarł. Jedyne, co uświadamiał sobie w pełni, to to, że znów dał się złapać w pułapkę.

– Nie wiedziałem, skąd ją miała – powiedział. – Nie chciałem też pytać. Wzbudziłoby to na pewno podejrzenie u niej i u innych dziewcząt. Mówiłem panu przecież, że uznałem za stosowne nie mówić klasie, iż książka jest zakazana, ponieważ dopiero wtedy zechciałyby ją wszystkie przeczytać.

– Ale dlaczego skłamał pan wobec radcy szkolnego Romeyna? Tym już naprawdę nikomu pan nie pomoż!

– Nie wiem, panie przewodniczący. Doprawdy nie wiem. Mówi się czasem rzeczy nieprzemysłane, chociażby po to, żeby usunąć najmniejszy nawet cień podejrzenia. Czyni się to instynktownie w odruchu samoobronnym albo pod wpływem zdenerwowania.

– Tak. Przykro mi, ale obawiam się, że trudno będzie panu usunąć ów cień podejrzenia i przekonać nas, że chodziło w tym przypadku jedynie o poczucie winy w stosunku do panny Simons, a nie, powiedzmy raczej, o karygodne stosunki. Tu chodziło na pewno o coś więcej: historia z udzieleniem pannie Simons schronienia, wiersz dla niej dedykowany i jeszcze ta cała sprawa do tego. Wszystko stale wiąże się z tą dziewczyną. To daje wiele do myślenia, prawda?

– Mam nadzieję, że uda mi się pana przynajmniej przekonać, iż nauczyciel może żywić do uczennicy nie tylko takie uczucia, które obciążałyby go poczuciem winy – powiedział Basile z powagą. – Mimo iż uparcie zaprzeczam stawianym mi zarzutom, mimo świadectw uwalniających mnie od oskarżenia, zostałem skazany za uprowadzenie i uwiedzenie nieletniej. To jest okropne. Panie przewodniczący, to straszliwa pomyłka, gorzej jeszcze, to nikczemna potwarz. Nigdy nie byłbym w stanie wyobrazić sobie nawet, że na wolnym, demokratycznym Zachodzie fikcyjne procesy należą do normalnych praktyk: skazywanie człowieka bez udowodnienia mu winy, jedynie na podstawie oszczerczych podejrzeń, czy coś takiego jest w ogóle możliwe? Zapewne jest panu wiadome, że wniosłem odwołanie od tego wyroku. – Wzburzony zsunął się na brzeg niewygodnego krzesła i mówił dalej głosem, który dla niego samego brzmiał obco. – Zapewniam pana, że albo stałem się ofiarą fatalnego zbiegu okoliczności, albo ukartowanego spisku. Niewątpliwie pewna ilość osób z mego otoczenia chciała mi podstawić nogę. Bóg jeden wie dlaczego, ale wydaje się, że tak musiało być. W każdym razie oskarżenie zbudowane jest głównie na historii ze zniknięciem dziewczyny. Odtworzono ją tendencyjnie na moją niekorzyść, fałszywie naświetlając fakty, a to, co dla mnie było nakazem sumienia, nazwano wulgarnie „próbą uwiedzenia”.

– No, niech się pan tak nie denerwuje – przerwał mu przewodniczący. – W ten sposób nie posuniemy się dalej. Muszę też upomnieć pana: należy trzymać się jak najściślej faktów. Czy nie podejmował pan nigdy żadnych prób zbliżenia się do panny Simons? Inicjatywa wyszła z jej strony? Kiedy to było, gdzie i w jakich okolicznościach? Proszę się uspokoić, nie stoi pan przecież przed sądem, lecz przed członkami Komisji. Naszym zadaniem jest nie rozstrzygnięcie o pańskiej winie, tylko o faktach. Chodzi nam wyłącznie o fakty, panie Jonas. Tylko one są dla nas ważne.

„Fakty – myślał Basile – tylko fakty.” Nienawidził tego słowa. Jak opierać się na faktach, kiedy różne od siebie wielkością i kształtem nie dają się spoić w trwałą konstrukcję; czytał gdzieś kiedyś, że fakt jest faktem, ale nie jest prawdą; nawet tysiąc faktów nie tworzy jeszcze jednej jedynej prawdy. Jakże nienawistne były mu fakty, one same i to słowo; może dojdzie do tego, że zacznie nienawidzić i ludzi ukrywających się za faktami, a to wyłącznie dlatego, że właśnie one wbrew prawu i rozsądkowi przyznawały tym ludziom słuszność.

„– Po skończonej rozmowie z radcą szkolnym Romeynem udałem się do pokoju nauczycielskiego, aby zapalić fajkę i zebrać myśli. Zastałem tam panią Neefs, która wolną godzinę wykorzystywała właśnie na poprawianie zadań klasowych. Pani Neefs uczyła fizyki w trzech niższych klasach i budziła wśród młodzieży strach większy, niż udało się to osiągnąć innym jej kolegom po fachu. Wydawało się, że dumna jest z siebie, jeżeli w ciągu dnia nie zadała mniej niż dwadzieścia zadań za karę. Ilekroć patrzyłem na nią, musiałem myśleć o jej pieskach. Każdego popołudnia obydwie te zwierzątka holenderskiej rasy czekały na nią przed szkołą. Wabiły się Gin i Whisky, a przyprowadzała je zawsze służąca o włosach zaczesanych podobnie, jak układała się sierść na głowach pupilków. Pieski były dla uczennic z całej szkoły tematem nieustannych naigrawań. Kiedyś wychodząc ze szkoły usłyszałem, jak jedna z dziewcząt powiedziała do drugiej: „Czyżby coś przytrafiło się trzem pieskom Kocie Skórki! Dziś się wcale nie zjawily! Nie udało mi się dociec, czemu pani Neefs zawdzięczała przezwisko Kocia Skórka, czy szczególnie upodobaniu do doświadczeń z prądem i kocim futrem, czy też temu, że przez całą zimę paradowała w ekscentrycznym tygrysim futrze, a nawet podczas chłodnych dni, gdy nie działało jeszcze centralne ogrzewanie, wkładała je na siebie idąc na lekcję do klasy.

– Dzień dobry pani – powiedziałem udając, że szukam na stoliku jakiegoś czasopisma. Było mi trochę wstyd, że zamiast w tej chwili znajdować się w klasie, stoję tu i grzebię w stosie gazet.

Kocia Skórka przestraszyła się, nie słyszała bowiem, kiedy wszedłem do pokoju.

– Ach, dzień dobry, panie Jonas – odparła. – Przed chwilą pytała o pana jedna z dziewcząt. Sądziła, że tu pana zastanie.

– Byłem u dyrektora – wyjaśniłem. – A czego chciała ode mnie?

– Nie wiem, nie powiedziała mi tego. Poinformowałam ją, że widziałam pana w towarzystwie dyrektora i radcy szkolnego, na co oświadczyła, że zaczeka w korytarzu.

– Dziękuję pani bardzo. Sprawdzę, czy jeszcze tam jest.

Schowałem do kieszeni fajkę, której nie zdążyłem nawet zapalić, i wyszedłem kierując się w stronę toalet nauczycielskich. Aby tam dotrzeć, musiałem przejść obok mojej klasy, innej drogi nie było. Przez otwarte drzwi zajrzałem do Va i Vb: w jednej klasie okrągła jak księżyc twarz Salomona poruszała się niczym czerwony lampion obok hydrograficznej mapy Skandynawii, w drugiej zaś zobaczyłem pochyłe, rachityczne plecy panny Paep wypisującej właśnie na tablicy: «Konkordat Wormski (1122)». Moje kroki dudniły po lustrzanych taflach posadzki. Zanim doszedłem do toalet, usłyszałem szybki stukot damskich obcasów.

– Panie Jonas! – doszło mnie ciche wołanie.

Obejrzałem się przez ramię i udając zaskoczenie, przystanąłem. Prawdę mówiąc mogłem bez oglądania się powiedzieć, kto za mną biegnie, właściwie wiedziałem to już od chwili, kiedy pani Neefs zakomunikowała mi, że ktoś o mnie pytał. Przez całe życie starałem się zwalczać w sobie to, co nazwałbym umiejętnością przeczuwania wydarzeń. Przekonałem się, że wcześniej czy później zawsze moje przecucia okazywały się trafne. Dlatego nie chciałem ich. Przecucia bardzo często nadają życiu całkiem inny sens, niż można by sobie tego życzyć. Walczyłem z rzeczywistością, którą widziałem, ale wzdrygałem się w nią wierzyć, próbowałem uciec od jej prawidłowości, ustrzec się od niej, podstawiając w jej miejsce moją własną, wewnętrzną rzeczywistość. Nic jednak z tego nie wyszło, nie umiałem wziąć życia w cugle, spadało mi na kark jak drapieżny ptak, atakowało i powalało na ziemię. Cóż mogłem na to poradzić, było ode mnie silniejsze, a przecież kilkoma linijkami wiersza czy suitą Bacha nie odeгна się drapieżnego ptaka.

I w tej chwili, kiedy Marta Simons stała przede mną w korytarzu, też już wiedziałem, że nie dorosłem do stawienia czoła tej przepotężnej sile. Tym razem drapieżny ptak posłużył się Martą, moją sojuzniczką, żeby mnie pokonać. Ale czy ja tego nie pragnąłem? Może to był właśnie początek wielkiego spełnienia? Czyż nie śniłem, że słabość i prawda spotkają się

pewnej nocy u wrót do wieczności, jak Joachim i Anna spotkali się u Złotej Bramy? Mogłem pomylić miejsce i czas tego spotkania. Całkiem możliwe, że miało nastąpić nie w nocy, ale któregoś zwykłego popołudnia w środku tygodnia, a ową Złotą Bramą był zimny szkolny korytarz.

– Pytałaś o mnie w pokoju nauczycielskim? – chciałem się upewnić. – Co się stało? Masz taką minę, jakby Pudding zapisał cię w swoim notesie? – zażartowałem, ale nie udało mi się wywołać uśmiechu na jej twarzy. Sprawiała wrażenie śmiertelnie nieszczęśliwej. Nawet żałowałem, że pozwoliłem sobie na dowcip.

– Panie Jonas – powiedziała tak cicho, że ledwie mogłem zrozumieć – muszę natychmiast z panem porozmawiać.

Serce zabiło mi mocniej, najpierw zobaczyłem jej usta, wilgotne czerwone wargi, a potem łańcuszek z kościanymi słonikami zawieszony na szyi. Była to tania, niemodna ozdoba, którą zapewne jej matka przestała już nosić.

– Czy to takie pilne? Do wpół do piątej mam lekcje – powiedziałem – i ty też. Może byłoby lepiej, ażebyśmy porozmawiali później? Mogę zostać parę minut dłużej.

– W każdym razie chciałabym porozmawiać z panem jeszcze dziś. W osobistej sprawie.

– Nie mam nic przeciwko temu. A zatem o wpół do piątej. Ostatnią lekcję mam w pierwszej klasie. Przyjdź wobec tego tam. Wiesz, gdzie to jest? Na pierwszym piętrze nowego skrzydła. Zaraz za salą chemii.

– Chyba wiem – odparła.

Skinąłem głową.

– Dobrze, a teraz idź już do klasy, bo będzie narzekanie, że długo nie wracasz. No, głowa do góry, jakoś to wszystko rozwiążemy.

Wcale nie byłem przekonany, że naprawdę rozwiążemy, ale chciałem, aby wiedziała, że może na mnie liczyć, że jesteśmy sojusznikami w naszej słabości i w pragnieniu prawdy. Patrząc za odchodzącą, stwierdziłem ku własnemu zdziwieniu, że uśmiecham się. Kiedy tak stałem sam w korytarzu, nagle wszystko wydało mi się zdumiewająco proste. Nie było już rzeczywistości tej, co jak drapieżny ptak chwyciła mnie za kark, ani tej drugiej, wewnętrznej. Była tylko wiara zbliżająca ludzi do siebie w czasie próby i samotności, w owej niepodzielnej chwili między przypiływem i odpływem, między życiem a wiecznością, kiedy historia ludzkości przyjmuje inny bieg. Ta wiara nie w nas, lecz poza nami płonie w ponadczasowej rzeczywistości. Ta wiara... to sztormowe latarnie duszy.

W godzinę później Marta Simons siedziała przede mną w pustej o tej porze klasie, obok pracowni chemicznej. Spojrzałem na tablicę; pozostał na niej z przedostatniej godziny lekcyjnej diagram statystyczny, mający chyba coś wspólnego z produkcją węgla. Nad diagramem ktoś czerwoną kredą napisał: «Proszę nie ścierać.» Zmyte przed pięcioma minutami boczne płaszczyzny tablicy były prawie suche, pozostało tylko jeszcze kilka wilgotnych plam, niczym archipelag ciemnych wysp na nieskończenie szarym morzu chmur wysychającego linoleum.

– No powiedz, Marto, wreszcie, co się stało?

Siedziała trochę zmieszana, nie mogąc od razu znaleźć właściwych słów. Rozmowa w cztery oczy z nauczycielem, i to w sprawie osobistej, nie zdarza się codziennie. Musiała najpierw przywyknąć do tej sytuacji. Kiedy tak siedziała, przypominała mi postać z bajki, uroczego Kopciuszka wypędzonego w łachmanach z domu przez obrzydliwą złą macochę, a który potem za dzień czy dwa wpadł do głębokiej studni i obudził się na jej dnie w cudownym sprawiedliwym świetle, a w końcu za dobrą służbę i uczciwość otrzymał zapłatę w złocie. Bajki zazwyczaj kończą się happy-endem, jednak trudno było przewidzieć, jak zakończy się bajka Marty.

Po chwili dziewczyna opanowała zdenerwowanie, mówiła teraz szybko, a ja uważnie słuchałem. Wreszcie doszła w swej relacji do macochy, która jednakże nie wydawała się

osobą złą ani szpetną, właściwie nie była też i macochą, ale rodzoną matką Marty. Jednak – jak wynikało z opowiadania dziewczyny – to i owo w postępowaniu pani Simons na pewno zasługiwało na naganę. Od sześciu lat, kiedy ni stąd, ni zowąd małżonek opuścił ją i wyjechał do Brazylii, pani Simons wiodła nieuregulowane życie dosyć wesołej słomianej wdówki, która myśląc o zabezpieczeniu swej egzystencji starała się na przestrzeni tego czasu o kochanków. O tym, że nie była osobą lekkomyślną, działającą w sposób nieprzemyślany, najlepiej świadczył wybór, jakiego dokonywała. Najpierw zjawił się w jej życiu znany specjalista w zakresie chirurgii plastycznej, potem pewien konsul, następnie wyższy urzędnik, wreszcie dyrektor wielkiego domu towarowego. Pani Simons była kobietą o wysokich aspiracjach i w sposób planowy pięła się coraz wyżej przez wszystkie rodzaje branż. Prawdopodobnie brała w ten sposób odwet za zmarnowaną młodość, za rozbite małżeństwo, z którego wypadło jej zrezygnować na rzecz awanturniczej wizji fazendy w dolinie Paraiby. Niedawno – mówiła Marta – matka poznała Johana Drexelera, generalnego dyrektora Koncernu Epp i prezesa Izby Handlowej, człowieka niezwykle wpływowego – cieszącego się szczególnie wzglęдами prezydenta – który również do ministra finansów zwracał się: «*mon ami Julien*». Podobno nie tylko nauczył głowę państwa gry w bakarata, ale wyzyskując osobisty wpływ na niego zdołał nieomal całkowicie uzależnić jego politykę gospodarczą od swoich prywatnych kapitałów. Drexeler od dawna już przestał być dla szerokiej publiczności postacią nieznaną; ani jedna oficjalna uroczystość nie odbyła się bez tego, żeby w gazetach nie znalazło się jego nazwisko, często fotografia, czy też żeby z tej okazji nie popisywał się przed kamerami TV. Charakterystyczna postać. Marta nie musiała mi go nawet opisywać, miałem przed oczyma jego twarz: łysa, jakby odlana z brązu czaszka i ascetyczne rysy buddyjskiego mnicha, maska kryjąca lekkoducha i geniusza rabunkowej gospodarki – kąsek dla karykaturzystów, którzy tak chętnie rzucili się na niego, gdy przed dwoma laty nazwisko jego pojawiło się na łamach prasy w związku z głośnym skandalem z bunkrami. Przypomina pan sobie zapewne tę aferę. Jedynym, który wyszedł z niej obronną ręką, był Johan Drexeler, a to dzięki protekcji prezydenta i krzywoprzysięstwu, jakiego z życzliwości dla niego dopuścił się „*mora ami Julien*”.

Tak więc dyrektor domu towarowego, nie mając najmniejszych szans przy rywalu formatu Johana Drexelera, wyproszony został przez kuchenne drzwi, a w dwadzieścia cztery godziny później frontowymi drzwiami wprowadził się generalny dyrektor koncernu Epp. Początkowo przychodził o różnych porach i w różnych odstępach czasu; najczęściej telefonował do pani Simons w godzinach rannych i umawiał się z nią na wieczory, które spędzali poza domem. W tamtym okresie Marta widywała go tylko przelotnie, przed domem albo w przedpokoju, kiedy przyjeżdżał po matkę. Po pięciu dniach jednak zaczął bywać w ich domu częściej i pozostawał dłużej, a znamienne było, że swoje wizyty przekładał teraz na godziny, w których pani Simons nie było w domu. Dopomógł jej zresztą w uzyskaniu posady redaktorki w pewnym czasopiśmie dla kobiet, co zmuszało ją do dosyć częstych wyjazdów dla przeprowadzania wywiadów ze znanymi autorkami albo dla pisania sprawozdań z odbywających się w różnych miejscowościach kraju pokazów mody. Drexeler zjawił się między piątą trzydzięci a szóstą trzydzięci, po zakończeniu lekcji w szkole, ale przed godziną, w której matka Marty mogła już być w domu. Bardzo to zręcznie ukartował.

– Na początku nie domyślałam się niczego – mówiła Marta. – Zaczęło się od podarunków, drobnych, niedrogich. Nie mogły one wzbudzić u matki żadnych podejrzeń, zwłaszcza że wręczał je w sposób, w jaki obdarowuje się dziecko zabawką: głaskał mnie po głowie, szczypał w policzki. Nie miałam odwagi odmówić przyjęcia tych drobiazków. Lękałam się, że poczuje się obrażony i że wywoła to gniew matki. Wkrótce jednak stał się natarczywy, zaczął mi się naprzykrzać. Od pierwszej chwili czułam instynktownie do niego niechęć, ale teraz zaczęłam się go bać.

Marta wzięła do ręki leżącą na ławce gumkę i nerwowo gniotła ją w palcach. Na gumce widoczny był znak fabryczny: słoń, prawie identyczny z tymi, jakie miała na szyi. Chciałem nawet zapytać, czy łańcuszek to też podarunek od Drexelera, ale pomyślałem, że chyba ten człowiek nie mógł mieć aż tak złego gustu. Przy jego możliwościach nawet prawdziwy słoń byłby zapewne skromnym i niezbyt kosztownym upominkiem. Marta urodziła się chyba pod trzynastym znakiem Zodiaku, pod słoniem, tyle w jej życiu z nim się wiązało.

– Nie chciałam go spotykać, wracałam więc do domu ze szkoły o godzinę później, ale i to nie pomagało. Raz czekał na mnie przed szkołą w wozie i zamiast do domu, zawiózł mnie do swojej wiejskiej posiadłości. Protestowałam, prosiłam, że chcę jechać do domu, ale on śmiał się tylko. «Co ty, na litość boską, chcesz tam robić? – pytał. – Przecież matki nie ma.» Łajdak zaciągnął mnie do siebie siłą i chciał upić. Zachowywał się jak maharadża i obiecywał mi złote góry, ale trzymałam się dzielnie. W końcu widząc, że nic nie wskóra, wpadł we wściekłość i rzucił się na mnie. Wydaje mi się, że podrapałam mu twarz. Uciekłam stamtąd. Co sił w nogach pobiegłam, do przystanku autobusu odległego o piętnaście minut drogi.

– I matce o tym nie opowiedziałas?

– Tak. Miałam już tego wszystkiego po uszy i opowiedziałam wszystko, ale nie uwierzyła. «Ty głuptasie – powiedziała – co ty sobie właściwie wyobrażasz? On ciebie zwyczajnie rozpieszcza, jak rozpieszcza się dziecko. Przecież ty jeszcze jesteś dzieckiem.» Wyśmiała mnie wprawdzie, ale odniosłam wrażenie, że udaje mówiąc, że mi nie wierzy. Na pewno orientowała się w sytuacji, tylko nie chciała zrywać z facetem, który obsypywał ją kosztownościami, futrami, złotem. To okropne, że muszę tak mówić o własnej matce, ale ona naprawdę gotowa byłaby rzucić mnie lwu na pożarcie.

Przez chwilę milczała. Przyglądałem się jej uważnie, po raz pierwszy patrzyłem na nią tak, jak musiał ją widzieć Drexeler. Czyżby pani Simons naprawdę była na tyle naiwna, żeby nie widzieć, że jej córka przestała być dzieckiem?

– Wczoraj o wpół do piątej znów na mnie czekał. Z daleka poznałam jego samochód i ulotniłam się błyskawicznie. Zanim zdołał zawrócić tym swoim pudłem, już byłam za rogiem ulicy. Wbiegłam do księgarni, do Redlinga. Zna pan ten sklep? Stojąc tam widziałam, jak powoli przejechał. Miałam szczęście, nie zauważył mnie. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, wyszłam na ulicę. Postanowiłam pójść do redakcji «Lady». Czekałam tam na matkę do wpół do szóstej, a kiedy wreszcie się zjawiła, zrobiła mi scenę. Gdyby pan to mógł słyszeć! Powiedziała: «Przestań się zgrywać, jesteś za młoda, żeby udawać wampa.» Chyba pan rozumie, że tak dalej nie może być. Ja nie mogę wrócić do domu. Boję się Drexelera...

Nie zauważyła nawet, że gumka pękła jej w palcach, i dalej bawiła się dwiema połówkami.

– A dokąd chcesz iść? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko jedno. Jest mi to zupełnie obojętne, bylebym tylko jego nie widziała.

– No, nie płacz – powiedziałem ujrawszy w jej oczach łzy. – Znajdziemy jakieś wyjście z tej sytuacji.

Wstałem i przez chwilę spacerowałem między rzędami pustych ławek. Cała ta okropna historia napawała mnie wstrętem. Pragnąłem, aby mnie Marta nie wciągała do tego, żeby nie obciążała mego sumienia poczuciem jakiejś ogromnej winy. Wiem, to było tchórzostwo, ale całkiem inaczej wyobrażałem sobie owo wymarzone przymierze. Nigdy przez myśl mi nawet nie przeszło, że mogłoby być ono wymierzone przeciw osobie trzeciej, nie mówiąc już o tym, że świadomość, iż w tym przypadku ową trzecią osobą miał być właśnie Drexeler, dawała tym mniejszą okazję do radości. Przystanąłem i spojrzałem za okno. Drexeler! To nazwisko kojarzyło mi się z wysokim murem najeżonym drutem kolczastym, z jakimś zakonspirowanym obozowiskiem, z sygnalizacją świetlną, z kopiami i mikrofilmami dokumentów ukrytych w obcasie buta. Jak można dobrać się do takiego człowieka?

Cokolwiek się uczyni, okaże się daremnym trudem. A jednak? Czy należy w milczeniu przyjmować ciosy takiego pirata? Moje sumienie buntowało się przeciw temu.

– Znajdziemy jakieś wyjście – powtórzyłem patrząc na puste o tej porze boisko szkolne, na gigantyczny kamienny diagram powoli i niedostrzegalnie zanurzający się w strefę cienia rzucanego przez stare skrzydło budynku.

Marta milczała. Odwróciłem się i stwierdziłem z ulgą, że nie płacze. Zawsze czuję się bezradny na widok płaczących kobiet czy dziewcząt. Teraz miałem już pewność, że mój «Kopciuszek» znalazł się niebezpiecznie blisko cembrowanej studni, a ponieważ nie wydawało mi się prawdopodobne, aby znalazłszy się na jej dnie, miała obudzić się w innym, wspaniałym i sprawiedliwym świecie, postanowiłem uczynić wszystko, co w ludzkiej mocy, i nie dopuścić do wypadku. Nie było to jednak proste. W bajce, tak – ale skąd w życiu wziąć ową czarodziejską różdżkę, przy pomocy której dałoby się uwięzić w butelce złego ducha-Drexelera?

– Sądzę, że powinienem porozmawiać z twoją matką – powiedziałem wreszcie.

Marta przeraziła się wyraźnie. Wstała z miejsca.

– Nie, proszę, niech pan tego nie robi – zaczęła mnie błagać. – W ten sposób nic pan nie osiągnie. Przeciwnie, będzie jeszcze gorzej. Jestem wdzięczna panu za dobre chęci, ale matka będzie niezmiernie urażona albo przynajmniej będzie udawała. A w końcu... w końcu wszystko się na mnie skrupi...

No to nie. Muszę wyznać, że żywiłem cichą nadzieję, iż nie skorzysta z mojej propozycji. Wymuszanie na jej matce rozmowy na ten temat nie wydawało mi się bynajmniej przyjemną okolicznością. Nigdy nie można przewidzieć, do czego zdolne są matki, które stręczą własne córki swoim kochankom.

Było cicho, tylko z ulicy dobiegał dźwięk klaksonu.

– Mam nadzieję, że przynajmniej pan mi wierzy – powiedziała szeptem.

– Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że mogłabyś mi tu opowiadać jakieś zmyślane historie. Cieszę się, że obdarzyłaś mnie zaufaniem, i uważam, że zrobiłaś słusznie.

Usiadłem na zimnym kaloryferze, w pewnym oddaleniu, za jej plecami, tak abym nie musiał przez cały czas patrzeć jej w oczy. Było w nich jakieś dziwne zdumienie, w sposób dostrzegalny narastające z minuty na minutę. Zdumienie nad światem, zagrożonym niebezpiecznie szybko rozprzestrzeniającą się epidemią choroby, nazwanej przez Ionesco mianem „nosorogacizny”. Moja generacja zlekceważyła ostrzeżenie Ionesco, a skutki tego z dnia na dzień stawały się coraz bardziej widoczne. Już osiągnęliśmy stadium słoniowatości. *Elephantitis*. Zjawisko niemniej niepokojące. Im intensywniej nasza cywilizacja z naddźwiękową szybkością ogarniała świat, tym bardziej nasz biologiczny rozwój cofał się do epoki lodowcowej. Całkiem jak w filmie dokumentalnym wyświetlanym od końca, na podstawie którego pozbawieni poczucia humoru pesymiści mogliby wnioskować, że historia ewolucji człowieka tworzy zamknięte koło.

– Skoro tak sprawy wyglądają – powiedziałem – postąpisz słusznie schodząc temu człowiekowi na pewien czas z oczu. Czy nie możesz przenieść się na kilka dni, powiedzmy na tydzień, do którejś z przyjaciółek?

– Myślałam już o tym – odparła. – Trudność jednak polega na tym, że te, do których mogłabym się przenieść, mają zbyt ciasne mieszkania, a innym nie mogłabym w pełni zaufać. Obawiam się, że rozgadałyby wszystko, a tego nie chciałabym raczej. Pan wie, jacy są ludzie...

– Tak, tego istotnie powinnaś raczej unikać. No, cóż, trzeba pomyśleć o czymś innym. Zobaczymy... Może ja będę mógł ci dopomóc w znalezieniu jakiegoś schronienia.

Przebiegłem w myśli różne możliwości. Nie było tego zbyt wiele, ale nagle wydało mi się, że mam, że znalazłem rozwiązanie. Wiedziałem, do kogo mogłbym Martę zaprowadzić. Odszedłem więc od kaloryfera i spojrzałem na zegarek: za pięć piąta.

– Chodź – powiedziałem. – Nie traćmy czasu. Gdzie masz swoje rzeczy?

Spojrzała na mnie. Zauważyłem, że zniknął z jej oczu ów bolesny wyraz, pozostało tylko zdumienie, ciekawość i wielka ufność, czym ja z kolei poczułem się zdumiony, ponieważ uświadomiłem sobie, że sama przed chwilą powiedziała: «Pan przecież wie, jacy są ludzie.» Byłem zatem w jej mniemaniu inny niż większość ludzi. Wcale mi to nie pochlebiało, poczułem się nawet zaskoczony i może w pewnym sensie rozczarowany. Nie chciałem być innym, nie chciałem, by dzielił mnie od ludzi jakiś dystans, przeciwnie, chciałem zbliżyć się do nich, i to bez względu na związane z tym trudności.

– Teczkę mam przy sobie – odpowiedziała na moje pytanie – a żakiet zostawiłam w korytarzu.

– Dobrze. Wobec tego idziemy. To niedaleko stąd, najwyżej dziesięć minut marszu.

Mogłaby teraz powiedzieć na przykład: «Wiedziałam, że pan mi pomoże» – albo coś w tym rodzaju, ale ona nic nie powiedziała, nie stawiała żadnych pytań. Nie zapytała nawet, dokąd ją prowadzę. Po prostu szła ze mną. Ufała mi całkowicie. W podobnej sytuacji większość dziewcząt – jak je znam ze szkoły – próbowałyby może poufalszego tonu, nawet odrobiny kokieterii. Marta pozostała i teraz miłą, poważną dziewczyną, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przeświadczeniu, że moim obowiązkiem jest bronić jej przed natarczywością i egoistycznym brakiem zrozumienia, jakiego doznawała od własnego środowiska.

Opuściliśmy gmach szkoły. Na ulicy Marta rozejrzała się niespokojnie. Po drugiej stronie stał zaparkowany brudnożółty dwuosobowy samochód z wgniecionym zderzakiem; Drexelera byłoby stać na pewno na coś bardziej wykwintnego. Na ulicy nie groziło nam zatem niebezpieczeństwo. Przed nami szli dwaj mężczyźni w czarnych beretach i koszulach koloru khaki. Jeden z nich, z koalicijką na ramieniu, chrupał suchary, a w ręce trzymał zielony sztandar. Jego towarzysz dźwigał plik kartek, prawdopodobnie ulotek. Rękaw jego koszuli opinała zielona opaska, podobna do tych, jakie noszą bagażowi na dworcach.

Postanowiłem odwrócić uwagę Marty od nurtujących ją problemów i zacząłem rozmowę na byle jaki temat.

– Ile ty masz właściwie lat? – zapytałem.

– W przyszłym miesiącu skończę siedemnaście – odpowiedziała i zaczerwieniła się po uszy. Zapewne podejrzewała jakiś ukryty cel w tym pytaniu, dyktowany być może nadziejami, jakie wzbudzała w mężczyznach pokroju Drexelera.

«Siedemnaście – pomyślałem. – Czy możliwe, żeby jej matka była osobą do tego stopnia ograniczoną, aby tę młodą, siedemnastoletnią kobietę uważać za dziecko?»

– A jak wypadły egzaminy? Dobrze?

Egzaminy mieliśmy właśnie za sobą, za trzy dni zaczynały się wakacje.

– Chyba zupełnie nieźle – odparła. – Boję się tylko trochę o matematykę.

– Przekonasz się, że wszystko poszło lepiej, niż się tego spodziewasz – powiedziałem chcąc ją podnieść na duchu i zaraz dodałem: – Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać, jestem bardzo zadowolony z ciebie. Muszę przyznać, że rzeczywiście starasz się.

Marta należała do uczennic średnich. Bez zbyteńnego wysiłku osiągała przeciętne wyniki, a niekiedy nawet i lepsze, ale do tego potrzebny jej był doping. Mogłaby z pewnością zdobyć się na więcej, gdyby nie roztargnienie, brak umiejętności koncentrowania się i szczególna pobudliwość nerwowa, co zresztą u dziewcząt w jej wieku, a zwłaszcza u natur zamkniętych, było zjawiskiem dosyć powszechnym.

Odgadując niejako moje myśli powiedziała nagle:

– Doskonały nauczyciel potrafi nawet ze złej uczennicy zrobić całkiem nieźłą.

Po raz pierwszy powiedziała mi komplement świadomie i nawet z pewnym odcieniem kokieterii. Zaskoczyło mnie to tak dalece, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Na placu Męczenników, u stóp pomnika poległych żołnierzy, zgromadziło się około stu demonstrantów; ludzi o twarzach bladych, zgorzkniałych, podobnych gipsowym maskom. Ubrani w koszule koloru khaki, nosili na rękawach zielone i trójbarwne opaski. Przybyli tu ze sztandarami i transparentami. Stali milczący w grupach po pięć osób, a cisza, w jakiej odbywała się ta osobliwa demonstracja, oskarżała wymowniej niż ilość jej uczestników. Stado starych chorych słońi, skupionych trwożnie nad brzegiem rzeki czasu, szukało u siebie ochrony i ratunku. Dwaj idący przed nami mężczyźni przyłączyli się do demonstrantów, a ten z opaską zaczął rozdawać ulotki. Znajdowała się tu delegacja byłych więźniów obozów koncentracyjnych; zebry wśród słońi: pasiaste piżamy, nagie czaszki. Delegacja przybyła z transparentem. Widniał na nim przerażający szkielet za drutami kolczastymi, a poniżej napis wymalowany sepią: NIGDY WIĘCEJ! Na placu, kierowali ruchem policjanci mając równocześnie na oku demonstrantów. Patrzyliśmy na nich stojąc po drugiej stronie ulicy. «PRAWDA – pomyślałem. – Nie o komunizmie ta prawda, ale o FASZYZMIE. W wielkich czasach żyjemy, w Złotym Wieku kolekcjonerów prawd, broszurowych, malowanych i przemalowywanych. W epoce koniunktury dla wszystkich oszustów z zasadami moralnymi: skup kłamstw – wyprzedaj prawd.»

– Cóż to za okropne zgromadzenie? – zapytała Marta.

– Wiec protestacyjny byłych więźniów politycznych i uczestników ruchu oporu z czasu drugiej wojny światowej – powiedziałem. – Czytałem w gazecie wczoraj coś na ten temat.

– Przeciw czemu oni protestują?

– Przeciw ostatnim niemieckim zakusom na nasze tereny przygraniczne, gdzie ludność posługuje się językiem niemieckim. Pangermanizm znów podnosi głowę. Powinniśmy go byli wytepić doszczętnie. Popełniliśmy błąd: usunęliśmy faszyzm, pozostawiając jednak korzenie i nawożąc na nowo grunt.

Spostrzegłem, że nie była w stanie podążać za moją myślą.

– Ale przecież Niemcy są naszymi sojusznikami – zauważyła.

Spojrzałem ponad jej głową na odważne hasło wypisane na transparencie niesionym przez równie odważną kobietę: RĘCE PRECZ, HERRENVOLK!

– Kiedy byłem w twoim wieku – powiedziałem – naszymi bohaterskimi sojusznikami byli Rosjanie, a Niemców uważano wówczas za potwory. Dziś naszymi sojusznikami są Niemcy, a potworami Rosjanie. To tylko kwestia przystosowania kursu do... do interesów ludzi takich jak Drexeler. Historii, Marto, nie robią generałowie ani dyplomaci, historię robią magnaci i fabrykanci. W waszych podręcznikach historii... «Ach, co też ja plotę – pomyślałem. – Czyż miałbym zamiar sam siebie oskarżać o wyprzedawanie prawd?»

– W każdym razie – powiedziałem – nie musisz sobie teraz tym głowy zaprzętać. Zanim ty będziesz miała własny pogląd w tej sprawie, już inni będą naszymi sojusznikami. Lepiej idźmy.

Opuściliśmy plac i skręciliśmy w aleję Parkową, obok domu dentysty. Ubiegłej zimy zaplombował mi kieł i plomba po kilku tygodniach wypadła. W parku dzieci szalały na buzzycabach, najnowszym amerykańskim krzyku mody. Idąc wzdłuż ogrodzenia patrzyliśmy przez prześwit w żywopłocie na ich harce, kiedy nagle Marta zapytała:

– Podobno jest pan komunistą, czy to prawda?

– Kto tak mówi?

– Niektóre dziewczęta z mojej klasy.

– Elwira Galie?

– Tak. – Sposób, w jaki to powiedziała, przekonał mnie, że nie myliłem się podejrzewając, iż nie cierpi Elwiry.

– To nie jest takie proste. Widzisz, człowieka nie można, ot, tak sobie wtłoczyć w jakąś rubrykę. Chrześcijaninem jest się nie dlatego, że przestrzega się przykazań Kościoła i nie dlatego też jest się komunistą, że odczuwa się wstręt do klasowej moralności. – Nagle

poczułem się bezradny. Jak miałem jej to wyjaśnić? – Godne pożałowania jest, że nawet historyczne i ideologiczne pojęcia nie uszły przed pasją konserwowania – powiedziałem. – Pojęcia te zdegradowane zostały do wartości pustego hasła, do sloganu reklamowego albo psychologicznego piętna. Malraux mógł jeszcze w swoich czasach pisać, że wszystko, za co ludzie gotowi się poświęcać, co wyższe jest nad korzyść osobistą, mniej lub bardziej konsekwentnie przyczynia się do usprawiedliwienia istniejącego stanu rzeczy, bo przydaje godności: chrześcijaństwo – niewolnikom, naród – obywatelom, komunizm – robotnikom. Dziś nie można już tego nazwać godnością. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Tak – odparła trochę niepewnie. Powinienem przypuszczać, że nie rozumie. Może nie słuchała dość uważnie, a może w ogóle nie chciała rozumieć? Wiele ludzi nie chce rozumieć, bowiem zrozumieć znaczy przystosować swoje życie do nowych treści, a do tego potrzebna jest odwaga moralna. Odwaga moralna to też jeden z owych zakonserwowanych standardowych produktów. I ona została zredukowana do rzędu jednego z licznych sloganów, takich jak: PRAWDA O KOMUNIZMIE, NIGDY WIĘCEJ, RĘCE PRECZ, HERRENVOLK, GO HOME MR. SULLIVAN, BE A MAN AND WEAR BULLY'S SHOULDER-PADS³

Wreszcie dotarliśmy na miejsce: aleja Generała Sommerfelda 43. Nowoczesny budynek mieszkalny, u wejścia dzwonki, jeden pod drugim, w rzędach, jak guziki na klawiaturze akordeonu. Panna Baert zajmowała mieszkanie na siódmym piętrze, to znaczy, zajmowała je przed czterema laty. Od śmierci mojej matki nie widziałem jej. Może przeprowadziła się w tym czasie. Szybko przebiegłem wzrokiem nazwiska na tabliczkach umieszczonych obok dzwonek.

– No, mamy szczęście, jeszcze tu mieszka – powiedziałem uśmiechając się do Marty i nacisnąłem guzik obok tabliczki: BAERT.

– Powiedział pan «ona». A więc to kobieta? – Widok zasmuconej twarzy Marty wywołał we mnie niewinne pragnienie, by pogłodzić ją po ręce i powiedzieć coś miłego, czego jej jeszcze nikt nigdy nie powiedział. Na szczęście w porę przypomniałem sobie własne stwierdzenie sprzed niespełna godziny i zrezygnowałem. Nie była już dzieckiem. Nie mogłem zresztą postąpić tak przede wszystkim dlatego, że pragnąłem, aby przez całe życie myślała o mnie jak o człowieku, który okazał jej życzliwość nie skalaną pożądaniem. To było bardzo ważne. Dla niej i dla mnie. Nawet jeśli kiedyś będzie szła do łóżka z różnymi mężczyznami, pozostanie w niej żywe pragnienie prawdy i dobra, zawsze będzie widziała znak na ścianie.

– Tak, to kobieta. Moja dawniejsza nauczycielka. Bardzo miły człowiek, zapewniam cię. To tylko, że... – Usłyszałem trzaski w mikrofonie i głos mówiący „halo!” trochę inny, niż go pamiętałem. Był jakiś zmęczony i niepewny. Wahałem się przez chwilę, zanim podszedłem podając swoje nazwisko.

Po chwili padła odpowiedź, teraz, w tym samym głosie, zabrzmiała niema] radość.

– Pan Jonas? Naprawdę? A to niespodzianka! Niechaj pan wchodzi na górę.

– Nie jestem sam – odparłem. – Jest ze mną ktoś, jedna z moich uczennic.

– Nie szkodzi. Niech pan wejdzie.

Weszliśmy więc do budynku i korytarzem w stronę windy.

– Chciał pan przedtem coś jeszcze powiedzieć – zagadnęła mnie Marta, kiedy sprowadzałem windę na dół. – Powiedział pan tylko, że ona...

– Ach, tak. Otóż ona jest brzydka jak ropucha. Całkiem łysa, nie ma nawet brwi ani rzęs. Osobliwa twarz. W latach 1932-33 odbywała tournée artystyczne. Koncertowała na Śląsku i tam zachorowała na tyfus.

– A więc to znana skrzypaczka? – zapytała.

Wsiadając do windy, mówiłem dalej:

³ Bądź mężczyzną i rozpychaj się łokciami! (ang.)

– Tak, była kiedyś, zanim zachorowała. Nazwisko Isa Baert można było czytać na plakatach wszystkich wielkich miast zachodniej Europy, występowała też w Polsce, na Węgrzech i na Bałkanach. Po przebyciu choroby nie miała odwagi pokazywać się publicznie. Odczuwała lęk przed ludźmi i ostatecznie zrezygnowała z koncertów. Przez kilka lat udzielała w domu lekcji gry na skrzypcach, ale nie trwało to długo. W nowym reżimie jazz niczym fala przyływu zalał i tak już słabnące życie muzyczne, aż zmył je z powierzchni całkowicie. Nastąpiła wówczas prawdziwa eksplozja dzikiego jazzu; to właśnie wtedy do *little old Europa* zaimportowani zostali w dyplomatycznym kufrze: Sim Ray i The Buffleheads wraz z planem Orpheya i stylem higienicznym w malarstwie, a Crazy-trumpetboys stali się idolami zaślepionego Zachodu. Nikt nie chciał już grać na skrzypcach, a gdyby nawet znalazł się chętny, nie mógłby grać, ponieważ wskutek wstrzymania subwencji dla uczelni muzycznych, oper i agencji koncertowych, trzeba było z konieczności je pozamykać, z wyjątkiem nielicznych, wspieranych przez jakiegoś wspaniałomyślnego protektora. Rząd, mając ręce związane wszelkiego rodzaju wojskowymi, gospodarczymi i kulturalnymi układami, wybrał kurs bizantyjski i postawił na The Buffleheads przeciw Beethovenowi. Ciężki był to czas dla panny Baert. Ludzie jej pokroju nie mają umiejętności przystosowywania się, prądy przeciwne są dla nich zbyt silne i... o, co to jest?

Winda zamiast na siódmym, zatrzymała się na ósmym piętrze. Prawdopodobnie nacisnąłem niewłaściwy guzik.

– Proszę cię, naciśnij siódmą – zwróciłem się do Marty.

Ruszyliśmy w dół, a ona powiedziała:

– Kiedyś w domu mojej przyjaciółki słyszałam nagrany na płycie koncert skrzypcowy. Był to chyba Saint-Saëns. Właściwie bardzo mi się to podobało, mam na myśli brzmienie instrumentu, bo sam koncert wydał mi się nudny. A pan gra na skrzypcach?

– Czasami – odparłem z nutą melancholii.

Mimo woli spojrziałem znowu na kościane słoniki. Z niewiadomej przyczyny drażniły mnie, jakby to była amoralna maskotka, o jakimś sprośnym znaczeniu. Od kogo mogła je dostać? Patrząc na ów amulet doznałem nagle olśnienia; z przerażeniem uświadomiłem sobie, że wiem wreszcie, co było tym strasznym, co dziewczęta codziennie nosiły ze sobą w teczkach. Otóż papier w zeszytach miał przeważnie znak wodny przedstawiający słonia, okładki niektórych zeszytów zdobiła kolekcja wszystkich możliwych odmian trąbowców: mamuty, słonie indyjskie, afrykańskie i jakieś tam jeszcze. Cała słoniowa rodzina. „No, nie – pomyślałem – nie, to byłoby okropne; na litość boską tylko nie kult słonia!” A jednak, czy w ostatnim czasie Kobra nie został odznaczony duńskim Orderem Słonia? A średniowieczne czarki w kształcie słoniowych trąb, a stojaki do parasoli w formie słoniowej nogi, czy znów nie były w modzie? To już zakrawało na makabryczny sen.

Panna Baert sprawiała też wrażenie osoby zbudzonej z męczącego snu, kiedy w chwilę później siedzieliśmy w jej mieszkaniu zastawionym staromodnymi szwedzkimi meblami, mając przed sobą gospodynię, a za jej plecami muzykę zapisaną na niebie ujętym niby ekran ramą wielkiego okna: równoległe biegnące przewody telefoniczne, jak gregoriańska czterolinia, a na nich nieruchome ptaki – ćwiercuny.

Wspaniałe, niebieskie jak u dziecka oczy Isy Baert patrzyły na mnie długo, poważnie, z natężoną uwagą, jakby zadawały sobie trud odszukania w pamięci innego obrazu niż ten, który niespodzianie narzuciła jej rzeczywistość, obrazu, który był tworem jej wyobraźni. Jej oczy zaliczały się do nielicznych, które nie wzbudzały we mnie lęku ani poczucia winy. W nie tylko patrząc, nie widziało się wcale szpetoty jej twarzy; ich barwa doskonale harmonizowała z tym wnętrzem i z muzyką, której Isa Baert służyła przez tyle lat: głęboki, lśniący błękit skandynawskich jezior, o tafli rozedrganej wachlarzowatym śladem łabędzia z Tuoneli.

Upłynęła jeszcze chwila, zanim zdobyła się na pierwsze słowa. Przyczyną milczenia było zapewne wzruszenie wywołane spotkaniem.

– To doprawdy miłe z pana strony, że mnie pan odwiedził. Od naszego ostatniego spotkania upłynęła cała wieczność – odezwała się czyniąc ręką gest, jakby chciała sprawdzić, czy chustka zakrywająca jej nagą czaszkę nie zsunęła się za bardzo. Była to dalmatyńska chustka, pamiątka z podróży; w 1950 roku panna Baert występowała w Dubrowniku i Splicie.

– Tak, cztery lata, prawie pół wieczności – uśmiechnąłem się zawstydzony. – A co u pani?

Nie odpowiedziała na to: «dziękuję, dobrze» ani «nieszczęśliwie», czy coś w tym rodzaju, co mówi się zazwyczaj w podobnej sytuacji. Powiedziała po prostu i beznamiętnie:

– Ja już nigdy nie wrócę do zdrowia.

Zrozumiałem, co chciała przez to wyrazić. Spuściłem głowę. Jak chętnie powiedziałbym jej, że nikt z nas już nigdy nie wróci do zdrowia. Pomyślałem jednak o Marcie, dla której sens naszej rozmowy byłby zapewne niezrozumiały i której nie chciałem przerażać tego rodzaju delficką wyrocznią. I tak chyba nie czuła się tu zbyt dobrze.

Łabędź dopłynął do brzegu, błękitne jezioro ciągnęło się w nieskończoność, ciche jak miłość boża i miłosierdzie.

– Stałam się wierząca – powiedziała po chwili panna Baert.

– Zawsze pani wierzyła, nie wiedząc nawet o tym.

Skinęła głową.

– Możliwe. Wielka muzyka nie przemawia do pogan.

Wstęp został zrobiony i rozmowa potoczyła się żywiej.

Rozmawialiśmy o muzyce, o wielkiej muzyce, a słońce wzeszło zza gór ciągnąc za sobą świetlisty ślad po gładkim jak lustro bezkresie błękitu w jej oczach. Wyblakłe wspomnienia znów nabierały koloru: spotkania z Arturem Grumiaux w salonie Floccque'a i anegdota o wybornych lodach, o niewidomym synu gorseciarki, który po pięciu lekcjach gry na skrzypcach zagrał nieomal bezbłędnie poemat Chaussona, o wymianie korespondencji ze Spaldingiem, o ostatnich tryumfach, o wzruszających wyrazach hołdu ze strony nie istniejącego już Towarzystwa Mozartowskiego w dniach wielkiej samotności...

I kiedy rozmawialiśmy tak o wszystkim, nagle wszystkie nuty odfrunęły z gregoriańskiej czterolinii, spłoszone dźwiękami elektronowej muzyki: koncertem przedwieczornego ruchu podmiejskich pociągów, narastającego ryku silników karawany samochodów i motocykli, sunącej z centrum ku peryferyjnym dzielnicom miasta.

Marta spojrzała na zegarek, nie uszło to uwagi panny Baert.

– Chyba nie musi pan już zaraz odejść? – zapytała.

– Mamy jeszcze chwilę czasu – odparłem. Kiedyś musiałem przecież zacząć, zdobyłem się więc na odwagę i powiedziałem: – Panno Baert, chciałem panią o coś prosić. Nie wiem, jak pani to przyjmie, właściwie jest mi bardzo nieprzyjemnie...

Panna Baert złożyła dłonie i zmarszczyła czoło, badawczo przyglądając się najpierw mnie, a potem Marcie. Cień chmury przesłonił błękit jeziora.

– Ma pan jakieś kłopoty?

– Nie ja – odparłem – ale ta młoda osoba.

W krótkich słowach przedstawiłem trudną sytuację Marty. Zdawałem sobie sprawę z tego, że głos mój brzmiał niezbyt pewnie, i zastanawiałem się, czy moja rozmówczyni nie myśli, że zaserwowałem jej porcję kłamstw. Zawsze obawiałem się, że można mnie podejrzewać o mówienie nieprawdy albo o przesadę. Ktoś, kogo nie odstępują dziwaczne myśli, kto pisuje wiersze i grywa na skrzypcach, prawie automatycznie naraża się na tego rodzaju posądzenia; zbyt łatwo uważa się go za osobnika cierpiącego na zaburzenia równowagi psychicznej, za chorego fantastę, po prostu za zwykłego głupca. Tylko ten, kto myśli jak inni, człowiek przeciętny, tuzinkowy, nie budzi podejrzeń, a jego bilet wizytowy jest najlepszą rekomendacją dla każdego, kto chce zrobić karierę.

– Ale dlaczego nie zwróci się pan z tym do policji? Takiego człowieka powinno się zaskarżyć – wpadła mi w słowo panna Baert, zanim jeszcze zdążyłem powiedzieć wszystko do końca.

– Tak należałoby zrobić – westchnąłem – ale w tym przypadku nie ma co nawet o tym myśleć. Policja zajęłaby się raczej tym, żeby Johanowi Drexelerowi usunąć z drogi najmniejsze nawet przeszkody.

– Johan Drexeler? To przecież... To chyba nie ten sam, który zamieszany był w skandal z bunkrami?

– Dokładnie ten sam – odparłem. – Człowiek zamieszany w aferę z bunkrami, dyrektor generalny Koncernu Epp, prezes Izby Handlowej i zaufany przyjaciel prezydenta. Osobnikom tego rodzaju nie można nic zrobić albo prawie nic, są wyniesieni ponad prawo. Wie pani o tym równie dobrze jak ja, że w takiej sytuacji nie znajdzie się ani jeden komisarz czy inspektor policji, który zechciałby poparzyć sobie palce, nie mówiąc już o tym, że cały aparat policyjny jest w tym samym stopniu skorumpowany co administracja.

Panna Baert patrzyła w milczeniu na swe splecione ręce. Nastąpiła denerwująca przerwa w rozmowie, jakby jeden z rozmówców powiedział coś niestosownego. Teraz dopiero zauważyłem, że wzór dalmatyńskiej chustki składał się z różnych idyllicznych scenek: był tam gęsiarczyk siedzący na obramowaniu starej studni. Gęsi wyblakły już i rozplynęły się w tle, pozostały po nich tylko pomarańczowe dzioby i nogi. Przypomniało mi to ową studnię, od której miałem trzymać Martę z daleka, bo nie było żadnej pewności, że znajdzie na jej dnie wspinały, sprawiedliwy świat jak bajkowy Kopciuszek.

– Panno Baert – nacierałem dalej – ten człowiek, ten Drexeler, nie cofnie się przed niczym. My, ludzie dorośli, musimy czuć się za to odpowiedzialni. Winniśmy to naszemu sumieniu, by ustrzec młodą, niewinną istotę przed takim indywiduum. W tym przypadku niewiele możemy oczekiwać od naszego otoczenia.

Panna Baert pokiwała lekko głową.

– Jest pan ciągle jeszcze taki sam. Mówił mi pan kiedyś, że w młodości uwielbiał pan Donkiszota. Nigdy mnie to nie dziwiło. W panu nadal żyje dusza rycerza smutnego oblicza. Jeszcze nie widziałam człowieka, który tak uparcie jak pan walczyłby z wiatrakami. Pański idealizm jest wzruszający, jednakże jak każdy idealista unika pan z lękiem myślenia w sposób praktyczny. Oczekuje pan po mnie, że zaopiekuję się panną Simons, ale przez chwilę nawet nie zastanawiał się pan, czy to jest w ogóle możliwe. Sam pan przecież widzi, że tu jej przyjąć nie mogę; moje mieszkanie jest na to za małe. Jak pan to sobie wyobraża z jedną sypialnią? Nie. To doprawdy niemożliwe. Nadto stan mego zdrowia też pozostawia wiele do życzenia: w kwietniu przebyłam zawał i teraz muszę się wystrzegać wszelkiego zdenerwowania.

Nie poznawałem jej. Stała się tak rzeczowa, prozaiczna. Przed pięciu laty mówiłaby zupełnie inaczej, byłem tego pewien. Pewnie razem z włosami straciła też iluzję, a to, że w miejsce włosów i iluzji odzyskała wiarę, wydawało mi się coraz mniej prawdopodobne. Byłbym raczej skłonny przypuszczać, że utraciła też wiarę jako ostatnią iluzję.

– Nie wiedziałem, że pani chorowała. Dlaczego mnie pani nie zawiadomiła?

– Człowiek przywyka do tego, że musi sobie sam radzić – odpowiedziała ze spokojem. – Przez kilka tygodni leżałam w szpitalu, a później pomagała mi opiekunka społeczna.

Zawstydzony patrzyłem na lśniący zamek mojej teczki, którą przez cały czas trzymałem na kolanach, i nagle uświadomiłem sobie tragikomizm tej sytuacji: siedzę naprzeciw niej jak wyrośnięty uczeń, niewygodnie, na krawędzi krzesła, a obok mnie zażenowana milcząca dziewczyna w równie niewygodnej jak moja pozycji i też z teczką na kolanach. Wydałem się sobie śmieszny jak rycerz smutnego oblicza, którego widziała we mnie panna Baert. Po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, czy ona w istocie nie ma racji, czy nie nazbyt pochopnie wpakowałem się w tę gorszącą awanturę? Skoro jednak powiedziałem A, musiałem już powiedzieć i B. Nie mogłem pozostawić Marty jej własnemu losowi, czułem się niejako

moralnie odpowiedzialny za dalszy ciąg tej historii. Zaryzykowałem jeszcze jedną, ostatnią, nieśmiałą próbę i powiedziałem:

– A czy właśnie w obecnych warunkach nie byłoby dla pani dobrze mieć Martę pod ręką? Mogłaby robić dla pani zakupy i trochę pomóc w gospodarstwie. W domu też musi to robić, prawda, Marto?

– Naturalnie – odpowiedziała potwierdzając słowo sztywnym ukłonem.

Widząc, że panna Baert obrzuciła Martę spojrzeniem, w którym dostrzegłem wahanie i brak wyraźnych oznak nieprzychylności, nabrałem trochę nadziei. Może nie rozważyła mojej propozycji od tej właśnie strony; najłatwiej można przekonać ludzi do jakiejś idei przez uświadomienie im płynących z tego korzyści. Tym razem przeliczyłem się jednak całkowicie. W chwilę później panna Baert powiedziała tonem zniecierpliwienia, tak jak przemawia się do nicponiów czy niesfornych uczniów:

– Nie wiem, czy zastanowił się pan nad tym, że naraża się pan na dochodzenie sądowe. Nie ma pan prawa pozbawiać rodziców władzy rodzicielskiej nad ich nieletnią córką.

– Rzeczywiście o tym nie pomyślałem – przyznałem – natomiast bardzo dokładnie przemyślałem to, że prawo sprawowania władzy rodzicielskiej nie daje rodzicom prawa do przymuszania ich nieletniej córki do prostytucji.

Wyraz zaskoczenia i bólu, jaki pojawił się na szpetnej twarzy panny Baert, uczynił ją jeszcze bardziej odrażającą.

– Drogi panie Jonas. Stawia mnie pan w trudnej sytuacji. Bóg mi świadkiem, że chciałabym panu pomóc, ale koniec końców... zważywszy na okoliczności...

Panna Baert starała się unikać mego wzroku. Nie widziałem jej oczu, skrywała je przede mną, widziałem "tylko twarz, twarz brzydką jak noc. Ogarnęło mnie przerażenie. Nie miałem odwagi dalej na nią patrzeć... «Koniec końców, zważywszy na okoliczności.» Doskonale wiedziałem, co rozumiała pod słowem «okoliczności». Miała na myśli oczywiście Johana Drexelera i «*mon ami Julien*», i innych, tę całą zorganizowaną klikę technokratycznej i kapitalistycznej władzy, której filarami byli Drexeler i «*mon ami Julien*». Bała się; nauczyła się bać tej władzy podobnej do gigantycznej maszyny, której tryby porывały jednostkę i miażdżyły.

– Mam nadzieję, że mnie pan rozumie – wyszeptała. – Jestem na czarnej liście. Wcześniej czy później i pan się na niej znajdzie, niech mi pan wierzy. Jest pan nazbyt odważny, a ta odwaga świadczy przeciw panu, potwierdza, że jest pan indywidualistą, a jako taki, stanowi pan zagrożenie dla nowoczesnego społeczeństwa, które uznaje tylko stado. Zrobią z pana tchórza, jak zrobili go ze mnie. Tchórza albo pariasa. Dla ludzi naszego pokroju nie ma żadnego bocznego toru.

– Prawdopodobnie ma pani słuszność – powiedziałem – ale nie wolno nam rezygnować. My reprezentujemy sumienie świata. Jesteśmy ostatnimi w pochodzie. Jeżeli wywiesimy białą flagę, staniemy się winni przestępstwa wobec ludzkości.

Miasto szumiało jak transformator. Patrzyłem na pomarańczowe plamy wzoru dalmatyńskiej chustki, żeby nie widzieć okropnej twarzy panny Baert. Kątem oka dostrzegłem, że Marta podniosła dyskretnie rękę do ust, aby ukryć ziewanie. Rozmowa przeciągała się. Chciałem ją zakończyć, ale kiedy postanowiłem wstać, panna Baert powiedziała:

– Zdziwiająca. Dosłownie to samo powiedział kapłan, który przywrócił we mnie wiarę.

– Mnie to nie dziwi – odparłem. – On też należy do ostatnich w pochodzie. Czy mieszka może tu gdzieś w pobliżu?

– Całkiem niedaleko stąd, na ulicy Fontaine'a. Nazywa się Lemaire, kanonik Lemaire. To osobliwy człowiek, niespokojny duch. Jako młody misjonarz przesiedział trzy lata w chińskich więzieniach. Po powrocie do Europy daremnie próbował założyć nową kongregację. Arcybiskupstwo sprzeciwiało się i odmówiło przedłożenia jego sprawy w

Watykanie, ale on nie zrezygnował. Musiałby pan z nim porozmawiać. Może on mógłby panu pomóc.

– Tak. Właściwie dlaczego by nie? W końcu i ja na swój sposób pragnę założyć kongregację, laicką kongregację ludzkich sumień dla obrony praw jednostki.

– Może mu pan powiedzieć, że to ja pana przysłałam.

Skinąłem głową.

– Najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy tam zaraz. Ulica Fontaine'a, a numer?

– Szósty. Odremontowana, stara pańska rezydencja z kołatką u wejścia i z zielonymi szybami w oknach.

Nie mogłem sobie wcale wyobrazić, ażeby kanonik, nawet jeśli był człowiekiem osobliwym, mógł mieszkać w domu innym niż z kołatkami i z zielonymi szybami. W mojej wyobraźni było to tak nieodłącznie z tą godnością związane, jak piwnica z winem i rozmównica ze stołem nakrytym zielonym sukniem.

Wstałem, a Marta poszła za moim przykładem. Przy pożegnaniu panna Baert zapytała, czy grywam jeszcze na skrzypcach.

– Od czasu do czasu – odrzekłem podobnie jak wtedy w windzie, kiedy mnie o to zapytała Marta.

– Szkoda, że ma pan tak mało czasu, w przeciwnym razie poprosiłabym, aby mi pan coś zagrał. Choćby pierwsze Allegro z *Kreutzerowskiej sonaty*. Zawsze grał pan to tak majestatycznie, a równocześnie niezwykle indywidualnie.

Spojrzałem smętnie na futerał. Leżał na pulpicie, kryjąc w swym wnętrzu cenny instrument, którym w latach 1948-52 panna Baert olśniewała całą Europę: autentyczny Hoffmann o przeczystym tonie. To puste drewniane pudło z naciągniętymi nań czterema baraniami kiszkami zdołało w ciągu tamtych czterech lat o wiele skuteczniej zbliżyć do siebie narody niż tony papieru, jakimi dyplomacja w ostatnich dwudziestu latach usiłowała zasypać dzielące je przepaści. Gdyby tak można było zobowiązać wszystkie głowy państw, wszystkich dyplomatów i możnych tego świata do codziennego wysłuchania półgodzinnego koncertu Bacha czy Beethovena, stosunki międzynarodowe uległyby na pewno szybszej poprawie.

– A pani, czy pani także gra na skrzypcach? – zwróciła się panna Baert po raz pierwszy bezpośrednio do Marty.

Marta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nigdy nawet nie widziałam skrzypiec – odparła – znam ten instrument jedynie z ilustracji.

Panna Baert nie dała po sobie poznać, jak przyjęła tę odpowiedź, ale mogę się domyślić, że musiała nią być co najmniej zdumiona, jeżeli nie wręcz rozczarowana. Podszedłem do futerału i otworzyłem go. Zrobiłem to ostrożnie i z całym pietyzmem.

– Oto są skrzypce – zwróciłem się do Marty – prawdziwy Hoffmann. Niezwykle cenny instrument z XVIII wieku, rodem z Antwerpii. Cudo, zwłaszcza gdy na nim gra panna Baert.

Marta bez słowa patrzyła na skrzypce i dopiero kiedy wkładałem je na powrót do futerału, wyszeptała:

– Naprawdę nie zagra pan tej sonaty?

– Ani myślę – syknąłem przez zęby, tak by nie mogła tego usłyszeć panna Baert. – Nie możemy narażać się jej jeszcze bardziej. Zaproponowała to jedynie z kurtuazji, po to, by mi sprawić przyjemność. A poza tym musimy już iść. – Odwróciłem się i głośno powiedziałem:

– No, zobaczyłaś skrzypce i to jedne z najpiękniejszych. Mam nadzieję, że nie weźmie nam pani za złe, jeżeli teraz już pożegnamy panią. Robi się późno.

– Nie chcę pana zatrzymywać, panie Jonas, ale niechaj pan do mnie wstąpi, kiedy będzie pan miał więcej czasu.

– Bardzo chętnie to uczynię – odparłem, po czym pożegnałem ją życząc szybkiego powrotu do zdrowia.

Pożegnalny uścisk dłoni panny Baert, elastyczny, opanowany, pełen czucia, świadczył – a ktoś, kto sam gra na skrzypcach, rozpozna to natychmiast – że musiała nadal regularnie grywać na skrzypcach. Stwierdzenie to podziało na mnie uspokajająco, utwierdziło mnie bowiem w przekonaniu, że „ostatni w pochodzie” nie poddają się tak prędko, nawet jeżeli swą bezbronność uważają za tchórzostwo.

W windzie spostrzegłem, że Marta jest bardzo przygnębiona. Próbowałem ją trochę rozweselić.

– Marto, głowa do góry. Już my coś wynajdziemy.

Nie odpowiedziała, tylko z posępną twarzą wpatrywała się w mijane piętra, widoczne przez oszklone drzwi windy. Dopiero kiedy znaleźliśmy się na parterze, powiedziała pełna zniechęcenia:

– Ludzie są tchórzliwi i samolubni. Zawsze mają pełne usta wielkich słów: uczciwość, prawda, miłość bliźniego, zrozumienie, współczucie. Ale jak przyjdzie im dać dowód, że naprawdę tak czują i myślą, kiedy apeluje się do ich uczciwości, prawości, do miłości bliźniego, by okazali zrozumienie czy współczucie, natychmiast znajdują jakiś wykręt: a to mieszkanie zbyt małe, to znów zły stan zdrowia albo tak się składa, że właśnie nie mają czasu. Krótko mówiąc, pan jest jedynym człowiekiem traktującym to poważnie; jedynym, jakiego do tej pory spotkałam. Pan wprowadzie też znajduje na wszystko piękne słowa, ale nie ogranicza się tylko do nich. U pana słowa to nie puste frazesy. Żyje pan i działa zgodnie ze swymi najgłębszymi przekonaniem, czego nie można bynajmniej powiedzieć o innych.

Tak ostro wypowiedziana krytyka dwulicowości dorosłych dotknęła mnie nieprzyjemnie i uczucia tego nie łagodził wcale fakt, że gotowa była mnie uważać za wyjątek, chociaż, przyznaję, pochlebiało mi to w pewnym sensie. Jej opinia zresztą nie była pozbawiona słuszności. Nie mogąc jej zaprzeczyć, tym więcej czułem się wobec niej winny: za innych, za tych, którzy sprawili, że w tak młodym wieku można było już dojść do przekonania, że normy moralne ludzi dorosłych to sprawa względna i bardzo elastyczna.

– Nie możesz wszystkich mierzyć jedną miarą – odpowiedziałem. – Gdyby tobie przyszło stracić włosy i poświęcić równie błyskotliwą karierę artystyczną, zapewne reagowałabyś w ten sam sposób. Tylko nieliczni dorosli do takiej próby, do pogodzenia się z tym, że przeminęli zapomniani, jak również do samotności, która jest przecież tego konsekwencją. Tylko prawdziwie wielkim artystom udawało się niekiedy w podobnej sytuacji przerosnąć własne otoczenie. Inni stali się tchórzami albo pariasami.

Wyszliśmy z windy.

– Pan prawdopodobnie znajduje usprawiedliwienie dla każdej ludzkiej podłości – powiedziała Marta. – Jest pan nie tylko nazbyt odważny, ale i nazbyt szlachetny.

Jej przygnębienie i mnie się udzieliło. Przez pewien czas szedłem nie mówiąc ani słowa. Rozmyślałem. Doszedłem do wniosku, że właściwie do dzisiejszego ranka jeszcze uważałem Martę Simons za ciche, posłuszne, małowówne stworzenie. Tak było do dzisiejszego ranka, nim otworzyła przede mną swe serce. I oto teraz, w kilka godzin później, wiedziałem już dokładnie, co o niej myśleć, a nie mogę powiedzieć, aby ten intymny świat, do którego pozwoliła mi wejrzeć, odpowiadał memu wcześniejszemu o niej wyobrażeniu. Tak zawsze niestety bywa, że oczekuje się od ludzi więcej niż ich na to stać. Liczy się na cud odnalezienia siebie w innym człowieku, a może nawet więcej niż tylko samego siebie: dopełnienie własnego Ja o wszystkie posiadane niedostatki i stopień tego w jedną doskonałą wartość, w pełnego człowieka. Nikt jednak nie osiągnął tego, nie uzyskał owego idealnego stopu, ponieważ nie został odkryty jeszcze niezbędny do tego składnik – kamień mądrości. Chcąc zachować złudzenia, trzeba by patrzeć na ludzi z boku, jak na pomnik czy plakat, inaczej mówiąc: przechodzić obok nich z uśmiechem i przymrużeniem oka. Ale to byłoby okropne,

zwłaszcza w noc wyzwolenia; trzeba by w zupełnym osamotnieniu stanąć u Złotej Bramy i jeszcze bardziej samotnie niż w życiu wejść do wieczności. Straszne! Po. sześćdziesięciu, siedemdziesięciu latach życia być stale jeszcze przykutym do siebie samego. Czy można by to w ogóle nazwać wyzwoleniem? Czy raczej nie byłoby to przekleństwo, dalszy ciąg niewolnictwa, brzemień nie dającego się nigdy zmasać grzechu pierworodnego?

W chwili gdy skręcaliśmy w ulicę Fontaine'a, Marta, zatrzymała się.

– No i stało się. Jutro będzie wiedziała cała szkoła..

Odparłem z roztargnieniem „tak”, usłyszałem wprawdzie, co powiedziała, ale sens jej słów do mnie nie dotarł. Oprzytomniałem dopiero o kilka kroków dalej.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– Tam idzie pani Neefs, już nas zauważyła.

Spojrzałem za jej wzrokiem. Istotnie, w naszym kierunku zdążyła niewiasta trzymająca smycz, do której zaprzężone były dwa psy; ponieważ jestem krótkowidzem., nie byłem pewny, czy to naprawdę Kocia Skórka.

– Masz pewność, że to pani Neefs?

– Całkowicie.

Rzeczywiście była to pani Neefs. Zbliżywszy się na odległość dwudziestu metrów poznałem ją. Zachowała się jednak tak, jakby nas nie zauważyła: przystanąła przed witryną sklepu z artykułami ortopedycznymi, zaś Gin i Whiski wykorzystały tę okazję do podlania ściany.

W milczeniu przeszliśmy obok odwróconej do nas plecami nauczycielki, nie pozdrawiając jej.

– Pewnie potrzebuje pasów przepuklinowych dla swoich piesków – odezwała się kąśliwie Marta, kiedy pani Neefs nie mogła jej już usłyszeć. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu, bo jak mi Bóg miły nie darzyłem, tej niewiasty sympatią.

– Możliwe, że nie zauważyła nas.

– Miejmy nadzieję – odparła Marta szukając wzrokiem numeru domu. – Musimy przejść na drugą stronę. Po tej są numery nieparzyste.

Przeszedłszy przez jezdnię znaleźliśmy się na wprost opisywanego przez pannę Baert budynku.

Kanonik Lemaire był istotnie człowiekiem niezwykłym, zdołał bowiem całkowicie unicestwić moje dotychczasowe wyobrażenie o kanonikach i ich obyczajach. A więc na początek: kazał nam czekać na siebie w pokoju przyjęć około dziesięciu minut. Ku swemu zdziwieniu stwierdziłem też, że nie było tu ani zielonego sukna na stole, ani brązowych świeczników na gzymsie kominka. Pokój sprawiał raczej wrażenie magazynu prowincjonalnego wydawnictwa niż gabinetu. Na stalowych regałach, na biurku jak również na metalowej szafie, służącej do przechowywania akt, ba, nawet na podłodze piętrzyły się stosy paczek z broszurami. Były to chyba jakieś czasopisma. Kanonik Lemaire obok swych duszpasterskich obowiązków zajmował się zapewne jeszcze redakcją albo sekretariatem jakiegoś apologetycznego miesięcznika. «PRAWDA O KOŚCIELE CHRYSZTUSOWYM» – pomyślałem natychmiast i wyobraziłem sobie nawet surrealistyczną obwołutę w stylu Salvatore Dali: rzymska świątynia, wspaniała katedra na pustyni, a w jej tle, niby fata morgana, perspektywicznie potraktowany rząd szybów wiertniczych z wieżami, szybów wiertniczych uniwersalnego miłosierdzia i łaski bożej, pionierów drążących najgłębsze pokłady ludzkiej duszy.

Wreszcie objawił się kanonik Lemaire. Przez chwilę mrugał oczyma jakby oślepiiony światłem po wyjściu z ciemni fotograficznej. Kiedy tak stał przed nami, mimo woli spojrzałem na jego ręce. Istotnie, brązowe plamy po utrwalaczu, widoczne na jego palcach, potwierdziły moje przypuszczenie. Był więc zapewne entuzjastą fotografii.

– Proszę mi wybaczyć, że musieli państwo tak długo czekać, ale właśnie zacząłem wywoływać film – usprawiedliwiał się.

Był postaci krępej, mniej więcej mego wzrostu, a kiedy zbliżał się do nas, zauważyłem, że dziwnie szeroko stawia nogi. Poruszał się krokiem kołyszącym i niepewnie; zagadką dla mnie było, jak taki człowiek zdołał przeżyć chińskie więzienia.

Przedstawiłem się:

– Basile Jonas, nauczyciel języka i literatury – powiedziałem. – A to jest panna Simons, jedna z moich uczennic. – Dodałem następnie, że skierowała nas do niego panna Baert. Możliwe, że znał więcej osób o tym nazwisku, bowiem powtarzał je wielokrotnie, myślał, marszczył czoło, wreszcie zapytał:

– Panna Baert... z alei Generała Sommnerfelda?

– Tak jest – powiedziałem i żeby nie było nieporozumień, z miejsca dodałem: – Isa Baert, skrzypaczka. Chyba należy do grona pańskich konwertytek?

– Tak, tak, przypominam sobie, ale w tym, że się nawróciła, nie ma mojej zasługi – powiedział z pokorą. Myliłem się sądząc, że powie: to dzieło Boga. – Ona nawróciła się sama – powiedział. – Panna Baert zalicza się bowiem do tych przypadków... no, nie wiem, jak powinienem to najwłaściwiej wyrazić, ona stała się wierzącą ze zwątpienia, z pobudek metapsychicznych, jeżeli pojmuje pan, co mam na myśli.

Zauważyłem, że jego wzrok zatrzymał się przez chwilę na słonikach Marty. Zamilkł, po czym nagle ożywił się i powiedział:

– Proszę bardzo, niech państwo usiądą i odłożą teczeki.

Spomiędzy stosów broszur wydobył dla nas dwa stołki, a sam stanął opierając się plecami o metalową szafę.

– Czym mogę państwu służyć?

Niezupełnie pewny, jak powinienem zacząć, spojrzałem na niego z wahaniem. Spostrzegłem, że pod lewym uchem miał na szyi bliznę, obok której widoczny był jeszcze ślad po niedawno zdjętym plastrze. Zauważył to i zaraz odwrócił głowę, próbując ukryć bliznę przed moim wzrokiem.

Przedstawiłem mu sprawę. Chyba nie mógłbym być dobrym aktorem, sam odniosłem wrażenie, że to, co teraz mówiłem, nie brzmiało już tak przekonywająco jak za pierwszym razem u panny Baert. Nagle cała historia wydała mi się nieco wyolbrzymiona. Nie po raz pierwszy doznawałem podobnego uczucia, znałem je i starałem się zwalczać. Z tą relacją było podobnie jak z rozhisteryzowaną kobietą; tak wyeksploatuje partnera za pierwszym razem, że za drugim czuje on do niej tylko odrazę. Moja odraza w tym przypadku miała jeszcze dodatkową przyczynę. Otóż kanonik nie pozwolił mi wypowiedzieć wszystkiego do końca. Nieustannie przerywał mi, wpadał w słowo, weksłował rozmowę na boczny tor. Nie podejrzewam, aby robił to rozmyślnie, co nie zmieniało faktu, że męczyło mnie to, bowiem za każdym razem musiałem przerwana myśl zaczynać od nowa i często zapominałem, na czym stanęliśmy. Po piętnastu minutach z okładem wydawało się, że nie tylko nie wie, o co chodzi, ale tym bardziej nie domyśla się, czego od niego oczekujemy. Ze zdumiewającą lekkością wygłaszał okrągłe słowa, czasem nawet wtrącał głębokie w treści uwagi, które jednakże ani wprost, ani pośrednio nie odnosiły się do sprawy; dla mnie brzmiały one jak wcześniej przemyślane wnioski, przygotowane do wykorzystania w artykule dla kościelnego czasopisma, którego był sekretarzem albo nawet redaktorem. Teraz nie mogąc oprzeć się chęci sprawdzenia fonicznego efektu owych sformułowań, korzystał z nadarzającej się okazji i po prostu nam je prezentował. Nieodparcie nasuwała mi się myśl, że gdybym teraz wymierzył mu na przykład policzek, powiedziałaby zapewne bez zmrżenia oka: «Człowieku, niech pan nie zakłóca spokoju mojej parafii!» Nie poderwałem się jednak, nie wymierzyłem mu policzka i nie przerywałem toku jego rozważań. Ani ja nie byłem rzymskim żołnierzem,

ani kanonik Archimedesem. Byłem rycerzem smutnego oblicza, zaś kanonik wiatrakiem, na którym szczybiłem moją lancę.

– Jak można rozumieć miłość bez nastawienia własnej wiary na odpowiednią długość fal – zastanawiał się kanonik dalej.

Pomyślałem, że mój rozmówca jest nie tylko entuzjastą fotografii, ale również znawcą zagadnień z dziedziny radiotechniki. Spojrzeliśmy ja i Marta na siebie równocześnie i muszę stwierdzić, że oboje byliśmy w równym stopniu zdeprimowani. W korytarzu rozległy się kroki. Ktoś powłócząc nogami przeszedł koło drzwi gabinetu i dalej skrzypiącymi schodami w dół.

– Księżę kanoniku – odruchowo zdjąłem okulary – ksiądz, jako duchowny, powinien wiedzieć, że indywidua typu Drexelera są niebezpieczne dla naszego społeczeństwa przede wszystkim dlatego...

– Drexeler? Powiedział pan „Drexeler”?

– No tak.

Lemaire stał się nagle czujny. A więc jednak udało mi się zakłócić bieg jego myśli bez uciekania się do rękoczynów, wystarczyło tylko wymienić nazwisko osławionego Drexelera.

– To chyba żaden z krewnych Johana Drexelera, tego z Izby Handlowej? – zapytał z niepokojem.

– Nie, to sam Johan Drexeler we własnej, szacownej osobie – odparłem kładąc nacisk na imię.

– Ależ to niemożliwe, pan chyba się myli – powiedział cicho, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

– Byłbym niepokieszony, gdyby ksiądz miał mniemać, że przyszedłem tu z zamiarem rzucania na kogoś oszczerstw. Ta oto młoda osoba może potwierdzić wiarygodność każdego przeze mnie wypowiedzianego słowa. Niewiele bowiem brakowało, a stałaby się ofiarą niskich instynktów tego człowieka.

Kanonik Lemaire odszedł od szafy i w braku trzeciego stołka, przysiadł na paczce broszur. Jego blada, zmęczona twarz wyrażała teraz głęboką powagę. Patrzył w milczeniu na swoje ręce, na palce poplamione utrwalaczem.

– Zna go pan osobiście? – zapytałem chcąc przerwać milczenie.

– Pan Drexeler jest jednym z naszych głównych protektorów – powiedział. Nie dalej jak w ubiegłym roku przekazał nam dar: dwa niezwykle cenne witraże. Uczynił to naturalnie anonimowo, on jest kryptokatolikiem.

– Kryptokatolikiem? – wyjąkałem. Byłem zaskoczony.

– Rozumie pan chyba, że zarówno wysokie stanowisko, jak i przyjaźń łącząca go z prezydentem nie zezwalają, by popierał Kościół oficjalnie. Człowiek o jego koneksjach nie może narażać się na kompromitację, dlatego też od czasu do czasu, przy zachowaniu jak najdalej idącej dyskrecji, wspiera nas darami, jak zresztą czyni to obecnie wielu wiernych, którzy również ze względu na zajmowane stanowiska czy pozycję towarzyską nie odważyliby się głośno przyznawać do swej religii. W czasach ucisku i materializmu bardziej niż kiedykolwiek gotowi jesteśmy trzymać tylne drzwi kościoła zawsze dla nich otwarte.

To, że ze zwątpienia człowiek może stać się wierzącym, zdolny byłem zrozumieć, w tej chwili dowiedziałem się jednak, że można się stać wierzącym również z przeczności. A zatem opcja na wieczne zbawienie jak na zakup domu czy kawałka gruntu. Co mogłem na to powiedzieć? Nic, tylko w myśli dokonałem korekty mego projektu obwoluty do «PRAWDY O KOŚCIELE CHRYSZTUSOWYM»: katedrę uroczyście rozjarzoną światłem pozostawiłem na dawnym miejscu, pośrodku pustyni, zrezygnowałem tylko z szybów wiertniczych, zastępując je nieskończenie długą karawaną wpełzającą do świątyni przez tylne drzwi; wielbłądy obciążone ciężkimi jukami, pełnymi skarbów, prowadzone przez poganiaczy o twarzach buddyjskich mnichów, o twarzach Drexelerów.

– A teraz opowiada mi pan – ciągnął dalej kanonik – że właśnie ten sam Drexeler chciał uwieść jedną z pańskich uczennic, tę oto młodą osobę. Doprawdy nie wiem, co o tym myśleć. Mam dla Drexelera wiele szacunku, i to nie tylko – jak mógłby pan sądzić – za jego hojność, ale za poważny stosunek do życia. – Spuścił wzrok i zaczął nerwowo pocierać ręce. – Proszę mi wybaczyć, ale w dalszym ciągu nie mogę uwierzyć, by ten człowiek zdolny był do podobnej niczemności. Pan chyba jest w błędzie.

Przypomniałem mu aferę z bunkrami, ale odniosłem wrażenie, że nigdy o tym nie słyszał. A może słuchał tylko tego, co nie naruszało spokoju jego ducha i nie obciążało sumienia. Nie ulegało w każdym razie wątpliwości, że zaliczał się do kategorii ludzi-strusi, którzy zawsze na widok zbliżającego się stada słoni na wszelki wypadek chowają głowę w piach. Właściwie nie mogłem mieć do niego o to pretensji. W końcu każdy ma prawo bronić się przed społeczeństwem własnymi sposobami i środkami; przed tym społeczeństwem, które na podobieństwo łaknącego żeru automatu chwyta i druzgoce jednostki wrażliwe, by przetworzyć je i wypluć ze swych mechanicznych trzewi w postaci akt, perforowanych kart i statystycznych danych. Tylko jednostki silne, opancerzone, uchodzą procesowi depersonifikacji, one to bowiem obsługują ów automat, wprowadzają go w ruch, kontrolują działanie, a w przypadku wykrycia usterek zatrzymują.

Kanonik zadał Marcie jeszcze kilka pytań, zapewne w nadziei, że zdoła złapać ją na kłamstwie, a tym samym podważyć wiarygodność oskarżenia. Dziewczyna nie dała się jednak zbić z tropu, odpowiadała na wszystko szczerze i bez chwili namysłu. Kanonik był najwidoczniej zasmucony, że nie osiągnął zamierzonego celu.

– Naprawdę nie wiem, co mam o tym myśleć – powiedział w końcu. – W każdym razie mam nadzieję, że nie zamierzają państwo prosić mnie, bym wystąpił – bez względu na to w jakiej formie – przeciw panu Drexelerowi. Sytuacja jest nader drażliwa. Jeśli o mnie idzie, to muszę niestety przede wszystkim myśleć o własnym położeniu. Od lat czynię starania o uznanie mojej kongregacji, dotychczas bez rezultatu. I oto właśnie pan Drexeler obiecał mi swoje finansowe poparcie. Między innymi wyraził gotowość postawienia do mojej dyspozycji pewnego kapitału zakładowego. Czy pojmuje pan, panie Jons, co to dla mnie znaczy?

– Jonas – poprawiłem go mimo woli.

– Przepraszam, panie Jonas. Wie pan, co to dla mnie znaczy? Znaczy to tyle, że spełnienie jedyne i najważniejszego pragnienia mego życia w ogromnej mierze zależy od przychylności pana Drexelera. Przykro, że tak wypada powiedzieć, ale droga do Chrystusa prowadzi przez kapitał.

– Jeśli tak jest istotnie, to rzeczywiście smutne – powiedziałem – tylko że nie wierzę, aby tak było.

Kanonik puścił mimo uszu moją uwagę.

– Tak przedstawiałaby się osobista niejako strona zagadnienia – mówił dalej – ale nie może pan również zapominać o sytuacji Kościoła. Kościół jest uciskany. Podejmuje się szereg środków mających na celu ograniczenie jego wolności, narusza się jego autonomię, a tym samym czyni niemożliwym, aby występował samodzielnie i z należyтым autorytetem w sprawach, które go dotyczą. Pan dobrze wie, co mam na myśli: te same ustawy i paragrafy regulują sprawy nabożeństw i prostytucji. To już mówi za siebie. Kościół nie ma dziś większych swobód niż właściciel domu publicznego. W tej niewesołej sytuacji nie może sobie zatem pozwalać na jakąkolwiek krytykę instytucji czy osób, które te instytucje reprezentują. Nie podniesie niestety palca ten, kto ma związane ręce. Proszę sobie wyobrazić, że zdołał mnie pan jednak nakłonić, bym bronił tej młodej osoby przed panem Drexelerem. Nie muszę mówić, że doszłoby do skandalu, w który zamieszany byłby Kościół. Może pan być przekonany, że konsekwencją tego byłyby natychmiastowe działania wymierzone przeciw Kościołowi. Czekają tylko na taką okazję. Nie, panie Jonas, takiej odpowiedzialności nie mogę na siebie przyjąć.

Słuchałem go i czułem, że palą mnie uszy. Nie mogłem naturalnie mieć do niego żalu, że przewidywał wszystkie możliwe następstwa, być może, na jego miejscu czyniłbym to samo. Zastanawiałem się tylko, czy mój rozmówca to naprawdę ten człowiek, który miał do panny Baert powiedzieć: „Nie możemy rezygnować; my reprezentujemy sumienie świata, my jesteśmy ostatnimi w pochodzie.” A może to ja ją źle zrozumiałem?

– Księżę kanoniku – rzekłem – panna Baert opowiadała mi, że spędził ksiądz trzy lata w chińskich więzieniach. Jeżeli dobrze rozumiałem, zdołał ksiądz zbiec z chińskich więzień, aby zakopać się w katakumbach Zachodu?

Początkowo wydawało mi się, że nie udzieli mi odpowiedzi na to pytanie. Nadal pocierał dłonie i w milczeniu patrzył na posadzkę z drobnych klepek, ułożonych rzędami jak kostki maggi. Po chwili jednak powiedział:

– Kościołowi Chrystusowemu, panie Jonas, od czasu jego założenia nieobce były groźby, ucisk i prześladowania, a jego śludzy wtrącani byli do więzień, zakuwani w łańcuchy, torturowani i zabijani. I tak przez dwadzieścia stuleci na całym świecie. Mimo to Kościół przetrwał i zwycięsko wyszedł z tej próby i poniżenia. Zadziwiające jest to, że nigdy nie występował przeciw swoim wrogom i ciemnościom. Nie występował, a jednak pokonał ich i odniósł zwycięstwo. Pełen tolerancji i cierpliwości przyjmował na siebie wszystkie ciosy idąc za przykładem Chrystusa, który też nie pomyślał, by sprzeciwić się, kiedy go ujęto, przybijano włócznią, upokarzano i wreszcie przybito do krzyża. Ten, w kim jest prawda i kto prawdzie służy, nie musi protestować. Prawda pozostanie niezwyciężona nawet wówczas, gdy się ją ujarzmi. Jeszcze kiedyś Kościół podniesie się z tego poniżenia, a wraz z nim i wy wszyscy, którzy nie utraciliście wiary w jego wiekuiste posłannictwo. Ludzkość zrzuci wówczas krępujące ją więzy, nie nastąpi to jednak przez stawianie oporu, ale stanie się za przyczyną wiary. Święty Paweł w jednym ze swych listów do Rzymian pisze: sławimy wiarę i wówczas, gdy jest uciskana, albowiem wiemy, że ucisk przynosi cierpliwość, a cierpliwość doświadczenie, zaś doświadczenie – nadzieję.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kanonik wyprostował się i nasłuchiwał przez chwilę. W kilka sekund później ktoś szybko zaczął wchodzić po schodach.

– Mam nadzieję, że tak będzie – powiedziałem wstając z miejsca. – Zechce ksiądz wybaczyć, że sprawiliśmy mu kłopot.

Kanonik podniósł się również i popatrzył mi w oczy.

Wytrzymałem jego spojrzenie, był w nim jakiś smutek. Coś go zapewne gnębiło, ale nie wiedziałem co. Kiedy kierowaliśmy się już ku wyjściu, zapytał:

– I co pan teraz zamierza?

Przyszły mi na myśl słowa mego wiersza i powiedziałem:

– Zjednoczyć wszystką niemoc i zapalić sztormowe latarnie duszy...

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, ale nic nie powiedział. W korytarzu czekała na niego jakaś dziwnie wystrojona Mulatka. Jej uśmiechnięta twarz przypominała wizerunek dziewczyny reklamującej pastę do butów.

Znów znaleźliśmy się na ulicy i wtedy Marta powiedziała:

– Proszę pana, myślę, że najlepiej będzie, jeśli jednak wrócę do domu. Ma pan z mego powodu same nieprzyjemności.

– Nie, pójdiesz ze mną – odpowiedziałem stanowczo. Byłem zdecydowany doprowadzić sprawę do końca. Kazanie, jakim ufetował nas kanonik Lemaire, było nazbyt sentymentalne, aby mogło mnie przekonać.

– Ma pan jeszcze jakiś adres?

– Dziś możesz się zatrzymać w naszym domu – powiedziałem. – Załatwimy to bez trnady, a jutro zastanowimy się, co robić dalej. A teraz musimy zjeść coś ciepłego, pewnie jesteś głodna.

Udaliśmy się do taniej restauracji w pobliżu Dworca Południowego, a później zabrałem ją ze sobą do domu. Zapadł tymczasem wieczór; właśnie zamykano większość sklepów, chłopcy z hałaśliwymi buzzycabami opuszczali park, odszedł już nawet sprzedawca lodów stojący zazwyczaj przy bocznym wejściu.”

Nadal siedzieli za stołem naprzeciw Basile’a: przewodniczący ze zmarszczonym czołem, głęboko osadzonymi oczyma oraz niezgłębionymi myślami; pan Opdael o twarzy jakby z wulkanizowanej gumy i pan Vasalis w przepoconym kołnierzyku i ze śmieszną bródką przypominającą wilgotny lniany knot. Nie rozplnęli się – jak miał nadzieję, że się stanie – nie ulotnili się też niby widziadła senne, jak ektooplazmiczne postacie z mediolańskiej fabryki snów Benzonięgo. Siedzieli na tych samych miejscach chłodni, znudzeni i wydmuchiwali mu prosto w twarz kłęby cygarowego dymu. THE MANAGERS OF FEAR.

Pan Vasalis odsunął swoje krzesło, wstał i ruszył wzdłuż ściany z portretem Kobry w stronę kaloryfera, gdzie pomanipulował przez chwilę przy termostacie. Jego wygnieciona na plecach marynarka przypominała pusty miech. Kiedy pan Vasalis wrócił na miejsce, przewodniczący spojrzął na zegarek, następnie poślazym długopisem skreślił kilka adnotacji na marginesie jakiegoś dokumentu, czym jeszcze zajęty powiedział:

– Pani Simons oświadczyła, że córka jej owego wieczoru zatelefonowała o godzinie siódmej do domu i powiedziała, że przenocuje u przyjaciółki, a zatem nie wróci do domu. Kiedy to miało miejsce, panie Jonas? Przed udaniem się do restauracji, czy też później? Nic pan o tym nie mówił.

– To było chyba trochę później, około wpół do ósmej. Pomysł był mój. Siedząc jeszcze w restauracji przekonałem Martę, że powinna zatelefonować do domu, w przeciwnym razie matka zaniepokojona jej nieobecnością gotowa jeszcze zawiadomić policję.

Przewodniczący przerwał pisanie.

– Pan jej podsunął taką wymówkę czy też sama ją wymyśliła?

– Ja naprowadziłem ją na to, panie przewodniczący.

– Ciekawe, przez cały czas mówił pan o prawdzie odmieniając to słowo we wszystkich możliwych przypadkach i tonacjach, wydaje się jednak, że sam nie bierze pan tego tak dosłownie. Nie mówiąc już o tym, czy postępowanie pańskie w sensie pedagogicznym zasługiwałoby na miano, odpowiedzialnego.

Basile był zmęczony i dokuczalo mu pragnienie. Ponad godzinę nieprzerwanie mówił podobnie jak ostatnim razem, kiedy tu był. Wówczas i przesłuchujący go zaczęli odczuwać głód i potrzebę zwilżenia gardła, ale teraz nic na to nie wskazywało; przeciwnie nawet, pan Vasalis, któremu upał dawał się we znaki, po uregulowaniu temperatury w pokoju najwyraźniej ożywił się.

Wszystko wskazywało natomiast na to, że tym razem Komisja przyjęła inną metodę: oszczędzając własne siły, kazała Basilemu przez kilka godzin strzepić język, a tego nie wytrzyma kondycyjnie nawet człowiek z czterdziestoletnią praktyką wykładowcy; stopniowo słabnie odporność psychiczna, myśli się rozpraszają czyniąc niemożliwym logiczne kojarzenie faktów. Trzeba mówić, bez przerwy mówić, aż człowiek staje się mówiącą maszyną, wyrzucającą z siebie na pełnych obrotach sto dwadzieścia słów na minutę. To właśnie są humanitarne, cywilizowane, demokratyczne metody prania mózgu.

– I jak było dalej, panie Jonas? Spędził pan zatem wieczór razem z panną Simons w swoim mieszkaniu? Zjednoczyliście tę wszystką waszą niemoc i zapaliliście sztormowe latarnie duszy? Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o tym jednoczeniu i o sztormowych latarniach.

– Przecież te słowa miały tylko symboliczne znaczenie... – wyjąkał Basile.

– Symboliczne – powtórzył przewodniczący. Pochyliwszy głowę w bok, pukał poślazym długopisem w blat stołu. – Słusznie, symboliczne. Ale jak właściwie spędził pan

ten wieczór? O to przecież chodzi i tylko to jest dla nas istotne. Rozmawialiście ze sobą czy coś robiliście? Chyba nie grał jej pan przez cały wieczór na skrzypcach, prawda?

Pan Vasalis też najwidoczniej chciał mieć swój udział w wyjaśnieniu faktów, bowiem zapytał z tajemniczym uśmiechem:

– A może wykorzystał pan tę okazję do odczytania jej jeszcze innych swoich utworów poetyckich?

Wzrok Basile'a padł na nadruk umieszczony na bocznej krawędzi popielniczki. Obok napisu widać było kawałek odłupanej polewy. Drobny ten szczegół raził jego poczucie estetyki, drażnił go. Od razu wyobraził sobie dziesięć tysięcy identycznych popielniczek w biurach całego kraju. Dziesięć tysięcy nadfluczonych popielniczek, do których każdego dnia setki tysięcy urzędników strząsało popiół. Okaleczone popielniczki dla okaleczonych dusz w myśl zasady administracyjnego sprowadzania wszystkiego do jednego wspólnego mianownika. Państwo, Święte Monstrum, nabywa corocznie u producenta kilkaset uszkodzonych popielniczek. Podobno istnieje nawet specjalne porozumienie z fabryką, która na zamówienie wykonuje od czasu do czasu serię egzemplarzy z defektami. Na spodzie popielniczki mają nadrukowane inicjały Świętego Monstrum, aby zapobiec w ten sposób kradzieży mienia państwowego. W pokoju nauczycielskim stały dwie takie popielniczki, każda z cieniutkim pęknięciem. Były już bardzo stare i inicjały prawie się zatarty.

W moim pokoju stała na biurku porcelanowa popielniczka z wizerunkiem Napoleona, obok którego umieszczony był napis: „*Souvenir d'Ajaccio*”. Kiedy zapaliłem lampę, aby poszukać przyborów do czyszczenia fajki, odniosłem wrażenie, że coś tu nie jest w porządku. Nie wiedziałem jeszcze co. Spojrzałem na popielniczkę i ze zdumieniem zobaczyłem leżące w niej, na wpół wypalone cygaro. Nie wierzyłem własnym oczom. Ja nie palę cygar. Poczułem ucisk w gardle. A zatem w czasie mojej nieobecności ktoś był w mieszkaniu. Dziwne, nie oczekiwałem żadnej wizyty; nie miałem przyjaciół, a jedyna krewna, osoba w podeszłym wieku, która ewentualnie mogłaby wpaść na pomysł, by odwiedzić mnie bez zapowiedzenia, mieszkała na prowincji. Ona jednakże też nie paliła cygar, nie mówiąc już o tym, że przede wszystkim zostawiłaby dla mnie jakąś wiadomość.

Zaskoczony rozejrzałem się dokoła, ale nie stwierdziłem nic szczególnego. Wprawdzie łyżka do butów nie leżała na zwykłym miejscu, tylko na pustej paterze do owoców stojącej na kredensie, przypomniałem sobie jednak, że rano w pośpiechu sam ją tam położyłem. Pomyślałem o moich współlokatorach, ale wszyscy oni byli ludźmi godnymi zaufania, a w każdym razie na przestrzeni lat nie miałem z nimi najdrobniejszych nawet nieporozumień. Jedyny człowiek, w stosunku do którego mógłbym ewentualnie mieć cień podejrzenia, to nowy sąsiad, pan Kaak, emerytowany urzędnik starostwa, który przed miesiącem wprowadził się do mieszkania po Pelgrimsenach. Nie znałem go prawie i dlatego nie wiedziałem, co o nim sądzić. Na pewno jednak nie widziałem, by kiedykolwiek palił.

Nie chcąc niepokoić Marty, zachowywałem się w dalszym ciągu, jakby nic się nie stało. Nie zwracając na siebie jej uwagi, wszedłem do sypialni, czując się mniej więcej jak bohater filmu Hitchcocka: mogłem zastać tu intruza siedzącego na łóżku, który zapyta mnie z zimną krwią, cynicznie się uśmiechając: „A-ko-góż-to-spo-dzie-wał-się-pan-tu-zas-tać?” Na szczęście trzeźwa rzeczywistość rzadko zgadza się z groteskową fantazją autora scenariusza; i tu nie odkryłem niczego. Zajrzałem jeszcze do łazienki i kuchni chcąc upewnić się, że w wannie nie ma trupa, a z wiadra na śmieci nie wystaje okrwawiona ręka. Wróciłem do pokoju mimo wszystko niespokojny. Marta prawdopodobnie nie zauważyła mego podniecenia. Siedziała w zakiecie na fotelu i ciekawie rozglądała się po pokoju.

– Nie chciałabym być wścibska, ale ciekawi mnie, co to właściwie znaczy – zapytała naiwnie, wskazując wiszący nad biurkiem, oprawny w ramkę cytat: „*Ich finde nicht die Spur von einern Geist und alles ist Dressur*”⁴ (Goethe).

Muszę wyjaśnić, że kiedyś sam to zrobiłem; cytat wypisałem tuszem, trochę koślawymi drukowanymi literami. Widać jeszcze było pomocnicze linie nakreślone ołówkiem na kartonie. Tylko ramkę kupiłem w antykwariacie. Dopiero teraz zauważyłem całą jej szpetotę. Czułem się śmiertelnie zawstydzony, że coś równie brzydkiego wisi w moim pokoju. Wyglądało to, jakbym mistrzowi z Weimaru przytroczył brudną, wiejską zapaskę.

– To jest werset ze starego wydania *Fausta* – odparłem nieobecny myślami. Usiadłem w fotelu przy biurku. – Nie patrz na tę kiczowatą ramkę, kupiłem ją kiedyś w godzinie słabości.

– A co znaczą te słowa? Nie jestem zbyt mocna w niemieckim – dopytywała się dalej.

Przetłumaczyłem jej cytat i próbowałem wyjaśnić jego głębszy sens.

– Otóż „duch” – powiedziałem – jest właśnie tym, co kanonik Lemaire próbuje na próżno odszukać w ciemni swych marzeń. A „tresurą” określa swoje osobiste położenie. Pomyśl nad tym przez chwilę, a zrozumiesz. – Spojrzałem na niedopałek w popielniczce i pomyślałem, że muszę to w jakiś sposób wyjaśnić. – Te słowa pasują też znakomicie do czasu, w którym żyjemy. Nie znam w całej nowoczesnej literaturze ani jednego sformułowania, które by równie mocno wyrażało głód ducha i moralną samotność współczesnego człowieka. Dlatego też ten werset powiesiłem na ścianie. Właściwie powinienem zawiesić go sobie na szyi i tak paradować po ulicach, ale miałbym zapewne niejakie kłopoty z Radą Pedagogiczną, ponieważ wybrany passus nie figuruje już w nowych, poprawionych wydaniach *Fausta*. Uznano go za szkodliwy dla morale narodu i godzący w polityczny honor państwa Świętego Monstrum. Śmiejesz się? A wiesz, dla mnie to raczej smutne. I to jest też tresura: Goethe w konserwie, *Pra-Faust* jako standardowy ekstrakt. Na szczęście mam jeszcze egzemplarz nie okrojonego, przedwojennego wydania.

Podszedłem do biblioteki i otworzyłem jej dolną część, w której urządziłem sobie coś w rodzaju podręcznego składu „trucizn”. Pochyliłem się i sięgnąłem ręką do wnętrza. Wszystkie książki mają u mnie stałe miejsca na półkach, również i te z działu „specjalnego”. Mogę odnaleźć je w każdej chwili z zamkniętymi oczyma. Tym razem napotkałem puste miejsce. Książki, którą miałem wydobyć, nie było. Czułem, że blednę. Rozejrzawszy się stwierdziłem, że zginął również tom *Esejów niepopularnych* Russella, a stał na tej samej półce. Wytrąciło mnie to z równowagi tak dalece, że prawie przez pół minuty siedziałem przed szafą oniemiały nie widząc przed sobą nic, tylko puste miejsce po brakujących tomach.

– Tego już zdecydowanie za wiele – wyszeptalem.

Odsunawszy kilka książek z prawej i z lewej strony, włożyłem rękę w powstałą w ten sposób szczelinę, sięgając możliwie najgłębiej. Myślałem, że może ktoś wsunął je dalej, ale jedyne, co stamtąd wydobyłem, to kilka kłaków kurzu i starą, złożoną na pół kopertę służącą mi niegdyś za zakładkę. Na kopercie był nadruk: Ministerstwo Kultury i Oświaty. Ustawiłem w końcu książki na dawnym miejscu, wstałem i poszedłem umyć ręce.

– Nie znalazł pan? – zapytała dziewczyna uprzejmie, ale bez szczególnego zainteresowania.

– Nie, możliwe, że pożyczyłem ją komuś – skłamałem – ale nie mogę sobie przypomnieć komu.

Zamknąłem bibliotekę.

– Zdejmij, proszę, żakiet i usiądź. Czuj się jak u siebie w domu.

Zawyła syrena. W ulicę wjechała karetka pogotowia. Nie byłem w stanie zebrać myśli, tylko nasłuchiwałem. Przecież równie dobrze mógł to być samochód policyjny. Nagle poczułem w ustach dziwny smak. Marynowane płaszczyki, które jedliśmy w „El Patio”

⁴ „Nie odnajduję ani śladu ducha, wszystko jest tresurą” (niem.)

zaczynały fermentować w żołądku. Dźwięk syreny oddalał się z wolna, ale jeszcze go było słychać. Stałem się ofiarą dziwnego złudzenia: wyobraziłem sobie, że samochód pnie się teraz po stromym zboczu w górę, co naturalnie było bzdurą, bo miasto usytuowane jest na całkiem płaskim terenie.

– Nie zechciałabyś się trochę odświeżyć? – zwróciłem się do Marty. – Możesz skorzystać z łazienki. Nie włączaj tylko bojlera z gorącą wodą, bo coś z nim nie jest w porządku, wymaga naprawy.

Pragnąłem, aby na kilka minut wyszła z pokoju, chciałem być sam po to, by zebrać myśli.

– Czy nie mogłabym przedtem w czymś panu pomóc?

– To miłe z twojej strony, ale nie, dziękuję, nie możesz mi w niczym pomóc – odparłem wskazując jej drogę do łazienki. – Wyjmij z szafki czysty ręcznik dla siebie – dodałem, kiedy zamykała już drzwi.

Usłyszałem szum wody płynącej z kranu, usiadłem na kanapie. Miałem w głowie zupełny zamęt. Oparłem się i ponuro patrzyłem na *Guerniką* Picassa wiszącą na przeciwległej ścianie. Piętro wyżej pan Kaak doniosłym głosem strofował swoją małpiatkę. Miał małpiatkę z Madagaskaru, która ilekroć wpadała w zły humor, przewracała cały dom do góry nogami, zaś pan Kaak głośno mówił, co o niej w związku z tym myśli, a ja w tak akustycznym domu jak ten, słyszałem każde wypowiedziane przez niego słowo. Wszystko to było nieważne, ważne było, że ten człowiek nie palił, a sądząc z tytułów tygodników ilustrowanych o niewyszukanej humorystycznej treści, jakie każdej środy i soboty widziałem w jego skrzynce na korespondencję, nie mógł być też osobnikiem żywiącym, zainteresowania dla Goethego czy Russella.

Przymknąłem oczy i myślałem o moim szokującym odkryciu: o niedopałku cygara i o brakujących książkach. Nie doszedłem w tych rozmyślaniach do żadnego wniosku, natomiast zacząłem się bać. Dziwny, paraliżujący strach jak trucizna przenikał do mojej krwi i przypominał mi słowa panny Baert: „Zrobią z pana tchórza, jak go ze mnie zrobili.” Oni? Kim są ci „oni”? To słonie czy treserzy? Otworzyłem oczy i nagle zobaczyłem, że twarz w lewym, dolnym brzegu *Guerniki* była twarzą Drexelera. Teraz naprawdę ogarnął mnie lęk, że panna Baert mogła mieć słuszną rację. Poderwałem się z miejsca i podszedłem do biurka. Nie miałem pojęcia, co wydarzyło się tu podczas mojej nieobecności, ale coś już zacząłem podejrzewać. Otworzyłem szufladę, w której przechowywałem jedenaście moich wierszy i dziennik. Wszystko niby było na dawnym miejscu, ale wydawało mi się, że jednak ktoś szperał w szufladzie. Szumiało mi w głowie. W którąkolwiek stronę zwróciłem wzrok, jawiły mi się jakieś cienie. Właściwie powinienem zejść na dół do dozorczy i dowiedzieć się, czy nie wpuszczał do mnie kogoś w ciągu dnia. Że też nie wpadłem na to wcześniej. Wcale nie wykluczone, że tajemniczy gość zostawił na dole dla mnie wiadomość. Byłby to wprawdzie dziwny okaz intruza, gdyby tak postąpił, ale kto wie...

Właśnie miałem zamiar opuścić pokój, kiedy usłyszałem, że Marta wychodzi z łazienki. Inaczej ułożyła włosy, moim zdaniem trochę frywolnie, ale przyznaję, że wyglądała korzystnie.

Zauważyłem, że kokosowe mydło, jakie używam z uwagi na suchą skórę, wywołało na jej twarzy różowe plamy. „Musi mieć niezwykle wrażliwą skórę” – pomyślałem. Stwierdzenie było najzupełniej niewinne. Myślałem o skórze Marty, jak myślałbym o skórze mojej sędziwej krewnej czy też własnej matki. Lubiłem wszystko, co wrażliwe i delikatne; tylko ludzkich oczu nie lubiłem, bowiem w większości są one twarde i nieczułe.

Głos Marty przywołał mnie do rzeczywistości.

– A co ty zrobiłaś? Przygotowałaś moje łóżko? – zapytałem. – Ależ, drogie dziecko, to wcale niepotrzebne. Pościel trzeba powlec świeżą bielizną, bo tam ty będziesz dziś spała.

– A pan? Gdzie pan będzie spał?

– Ja tu, na kanapie – odparłem. – O mnie się nie martw, już ja dam sobie radę.

Nie mogła pogodzić się z tym od razu, próbowała protestować, ale powiedziałem krótko:

– Proszę cię, nie komplikujmy sprawy. Ktoś z nas dwojga musi przecież spać na kanapie, a nie byłoby zbyt uprzejmie, gdybym skazał na to młodą damę. To zresztą naprawdę nie jest ważne, mamy inne kłopoty. Musimy jeszcze omówić kilka spraw. Usiądź najpierw.

Usiadła na kanapie w sposób podobny jak w szkole po zakończeniu odpowiedzi: wyprostowana, z lekkim rumieńcem zażenowania na twarzy i przygryzając dolną wargę. Zająłem miejsce obok niej i nabiłem swoją fajkę. Małpiatka pana Kaaka tymczasem dalej wrzeszczała, wreszcie zaczęła czymś wściekle walić. Dziewczyna spojrzała z przerażeniem na sufit.

– Znów na górze szaleje małpiatka mego sąsiada. Przywykniesz do tego – uspokoilem ją.

– Z pewnością – odpowiedziała z powagą, ale wcale jej to nie bawiło. Ze zdenerwowania zaczęła obracać w palcach swój brzydki naszyjnik.

– Musimy zatem raz jeszcze całą sprawę dokładnie przeanalizować, zwłaszcza że ja sam...

Umilkłem. Rozległo się pukanie do drzwi.

– A to co znowu? – mruknąłem i ociągając się ruszyłem w stronę przedpokoju.

Idąc czułem, że ogarnia mnie paniczny lęk. Morderstwo, terror, porwanie, bandyci – strach przywodził mi na myśl wszystkie te możliwości zdolne w ciągu paru sekund przemienić zwykłe, spokojne życie w stereofoniczno-panoramiczny dreszczowiec. Zdawałem sobie wprawdzie sprawę z tego, że było w tym trochę przesady, jednakże nie mogłem się od niej uwolnić, tak byłem przerażony.

– Kto tam? – zapytałem z ręką na klamce.

– Księżę Edynburga – padła zza drzwi niefrasobliwa odpowiedź.

Rozpoznałem głos dozorczy. Kawalarz! Zawsze miał w zapasie różne kalambury. Częstował mnie nimi rano, kiedy wychodziłem z domu (...słuchał pan wiadomości radiowych? Opony rowerowe z Kongo znów podróżowały) i wieczorem, kiedy wracałem po pracy (...pokwitowałem za pana odbiór motorówki i trzech fortepianów. Wszystko to położyłem panu na słomiance.) W obecnej sytuacji nie bawiły mnie jego dowcipy. Uchyliwszy nieco drzwi, zapytałem, czego sobie życzy.

Próbował zajrzeć do pokoju, ale nie dałem mu okazji do zaspokojenia ciekawości, wypchnąłem go niemal na korytarz i bez względu na to, co miałby o tym pomyśleć, zamknąłem za sobą drzwi. Nie ufałem mu. Człowiek ten obdarzony był chorobliwą wprost fantazją. Dla żartu zdolny był wymyślać i rozpowiadać najokropniejsze historie.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze – powiedział ze znaczącym przymrużeniem oka – ale chciałbym panu powiedzieć, że dziś po południu policja przeprowadziła u pana rewizję. Przyszli najpierw do mnie, a ja im powiedziałem, że pana nie ma w domu. Mówiłem, żeby przyszli kiedy indziej, ale nic sobie z tego nie robili, tylko zażądali zapasowego klucza. Musiałem dać. Faceci byli na górze pół godziny, a potem oddali mi klucz.

Spojrzałem na jego niechlujny krawat w biało niebieskie pasy, jakby wykrojony z pizamy. Był poplamiony żółtkiem; nie mogło to chyba być nic innego, bowiem nawet w kącikach ust miał jeszcze przylepione resztki jajka.

– Policja? – zapytałem porywczo. – A czegoż to policja ode mnie chce? Chyba tym razem pan nie żartuje, panie Anthonis?

– Nie, tym razem nie żartuję.

– Ale kto, na litość Boską, daje im do tego prawo? Rewizja w mieszkaniu pod moją nieobecność? To przecież bezprawie. Czy pokazali panu chociaż nakaz rewizji?

– Nie. Podsunęli mi tylko pod nos legitymacje służbowe. To byli ludzie z jakiegoś wydziału specjalnego.

– Z jakiego wydziału?

– No, jakże się on nazywa? – podrapał się za uchem. – Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć. W każdym razie nie była to policja obyczajowa.

– Uspokoił mnie pan – odparłem z ponurą autoironią. Aby ukryć przed nim drżenie rąk, wetknąłem palce w kieszenie kamizelki. – Wyjaśnimy to. Prawdopodobnie zaszła jakaś pomyłka. Mimo to dziękuję za pańską uprzejmość, że mnie pan o tym zawiadomił. Policja wdziera się niespodziewanie do mieszkania, jakby się było przestępcą, a człowiek nic nawet o tym nie wie. To niesłychane!

Łagodnie wypchnąłem księcia Edynburga z przedpokoju.

Tu jednak nie ominął sposobności, żeby mnie wziąć za ramię i konspiracyjnym szeptem powiedzieć:

– Jeżeli chce pan wiedzieć, co o tym myślę... policja pewnie chciała skonfiskować pańskie skrzypce. Lokatorzy mogli wnieść na pana skargę.

– Co też pan mówi – odparłem oschle.

Dozorca wyszedł, a ja stałem jeszcze przez chwilę oparty o ścianę. Trochę racji to on pewnie miał, chociaż mówił żartem. Może istotnie skrzypce były im solą w oku. Być może policja dostała polecenie, aby dla dobra zachodniej cywilizacji i edukacji narodowej dokonać konfiskaty wszystkich skrzypiec znajdujących się w prywatnym posiadaniu. Istnieje przecież ustawa zobowiązująca do zgłaszania i oddawania broni palnej, fałszywych banknotów i narkotyków; może objęto nią również instrumenty strunowe, które na upartej można by też w pewnym sensie zaliczyć do środków odurzających.

Tak, można bez trudu skonfiskować skrzypce czy wiolonczelę, można nawet na podstawie jakiejś nowej ustawy ścigać i wydawać wyroki skazujące na wiolonczelistę albo skrzypka, jednego tylko nie można dokonać, i to pozwala na zachowanie odrobiny nadziei: nie można przeprowadzić rewizji u Bacha i Beethovena, nie można ich ścigać ani skazać. Nie można skonfiskować muzyki. Nagle spostrzegłem własne odbicie w lustrze wiszącym naprzeciw. Przerażony odwróciłem głowę. Wyglądałem jak śmierć spod Ypres. Wróciłem do pokoju nie mogąc przestać myśleć o czarnej liście; wspominała o niej panna Baert. Nie miałem już najmniejszych wątpliwości: moje nazwisko znajdowało się na owej czarnej liście, może nawet było oznaczone specjalnie krzyżykiem. A zatem maszyna chwyciła mnie w swoje tryby i już zaczęła przetwarzać na akta.

– Pan jest bardzo błady. Źle się pan czuje? – zapytała Marta, kiedy na powrót usiadłem obok niej.

– Źle wyglądam? Naprawdę? Być może jestem trochę przemęczony, ale to minie.

Z planowanej poprzednio rozmowy nic w końcu nie wyszło. Nie było już żadnych realnych problemów, były tylko problemy, od których można się było odciąć, okazując im lekceważenie. Zdecydowałem, że nie będę teraz o nich myślał. „Jutro – postanowiłem – jutro pomyślę.” Jutro wydawało się nieskończenie dalekie, jak nieznana wyspa na morzu mgły.

Odpłynąłem z tej wyspy na oślep w fiolet nocy poprzedzającej dzieło stworzenia. **MORSKA CISZA I SZCZĘŚLIWY REJS**. Szum morza i prawiecznego przestworu stapiają się w śpiewną, wibrującą melodię. I nagle sięgnąłem po skrzypce. Nie znaleźli ich, nie zabrali. Wskazującym palcem szarpnąłem struny, jedną po drugiej. Zrodzi się muzyka i świat zostanie odmieniony. Jak akord harmoniczny rozbłysło światło za pustą ścianą mgły, światło poranku Dnia Stworzenia. Zagrałem kilka taktów Corellego. Marta słuchała z zapartym tchem, wodząc oczyma za ruchem smyczka. Oczy jej promieniały, stały się wielkie. Uśmiechałem się. Dobywałem z instrumentu coraz mocniejsze tony, aż zabrzmiały melodią mojej ulubionej *Sonaty Kreutzerowskiej*. Pragnąłem tylko jednego: obyśmy nigdy nie dobili do celu, obyśmy na zawsze pozostali tak, między Bogiem a ludźmi, między wiecznością a ziemskim brzegiem. *Adagio sostenuto*. Rozdarła się ściana mgły i wielka jasność ogarnęła świat. Widziałem tylko to światło, ono wypełniało mnie bez reszty i unicestwiała. Nie ma nic wspanialszego niż być unicestwionym przez muzykę. To zbawienne unicestwienie. **LUDZIE**

BĘDĄ SOBIE BRAĆMI, DOKĄDKOLWIEK SIĘGNIE TWOJE MIĘKKIE SKRZYDŁO. Grałem z zamkniętymi oczyma, ale widziałem światło: co jak drapieżny ptak powracało do gniazda na szczytach gór, na samotną wyniosłość, ponad kurne chaty życia. Presto. Ostatni akord. Z pognębienia i samotności powstaniemy z martwych, ty i ja w tę noc Wyzwolenia i razem podążymy do Złotej Bramy, która jest wejściem do wiecznego życia. Grałem, a słowa same układały się w strofy wiersza, którego ja nie zapiszę, ale który utrwalony został przez Beethovena w ostatnich akordach jego *Kreutzerowskiej sonaty*. Nikt nigdy nie zdoła skonfiskować tych słów, nie zdoła bowiem skonfiskować muzyki nieuchwytniej jak woda bijącej fontanny, jak dusza człowiecza ulatująca ku światłu za górami.

Wycie małpiatki pana Kaaka usłyszałem dopiero wówczas, gdy przestałem grać. Zawsze wyła, ilekroć grałem na skrzypcach. Małpy w ogóle w osobliwy sposób reagują na muzykę. Chyba dlatego naukowcy chętnie wysyłają je w przestrzeń kosmiczną; chcą się ich pozbyć, drażni ich bowiem myśl, że małpy są mniej od nich agresywne i obdarzone większą niż oni wrażliwością na muzykę.

Ze zmęczenia było mi niemal słabo. Jakby w oddali widziałem Martę siedzącą bez ruchu. Plamy zniknęły już z jej twarzy, pozostał tylko lekki rumieniec, który wraz z dużymi gorejącymi oczyma czynił ją znów podobną do małej, onieśmiałej, bezbronnej dziewczynki. Niedorośle stworzenie z niedoroślami uczuciami. „Nie – pomyślałem – ona nie powinna się we mnie zakochać.” Pragnąłem, by pokochała muzykę, żeby zyskała dzięki niej wiarę zdolną obronić ją przed złem, które nosiła w swej szkolnej teczce. Zapomniałem jednak, że dziewczęta w jej wieku nie lokują swoich uczuć w muzyce, raczej obdarzają nimi tego, kto muzykę pisze czy gra. Uniesione zachwytem patrzą na szczyty niebotycznych gór, ale nie widzą ukrytego za tymi szczytami światła.

– Małpiatka płacze – wyszeptała.

– Tak – potwierdziłem.

Odłożyłem skrzypce.

– Nie będzie pan już grał?

– Jestem zmęczony – odrzekłem. – Podobało ci się?

– To było porywające – powiedziała. – Ale czuje pan pewnie klucze w palcach.

– Nie w palcach, we krwi – odparłem.

Zbliżyłem się do okna i wyjrzałem na ulicę. Doznałem rozczarowania słysząc wypowiedzianą przez Martę uwagę. A zatem jedyne, co zrobiło na niej wrażenie, to sprawność moich palców, po prostu techniczna sprawność palców. Nie Beethovenem zachwycała się, nawet nie Basile'em Jonaszem, zachwyty wzbudzały w niej tylko palce Basile'a Jonasa, być może w tym samym stopniu co palce u nóg Sima Raya. Sim Ray, król dzikiego jazzu, grywał na fortepianie palcami nóg. Oto dla jakich osiągnięć miała uznanie. Spodziewałem się po niej czegoś więcej. Tak więc Beethoven skazany był przez nią dalej na pozostanie wśród kart leksykonu muzyki jako jedno z nazwisk, i to niezbyt ważne. Ja też nie będę dla niej nigdy nikim innym jak zwykłym nauczycielem niderlandzkim, belfrem, który tkwiąc przed tablicą w marynarce ubielonej kredą, usiłuje przekazać uczennicom trochę wiedzy o Eggerwaldzie; człowiekiem, który po zajęciach w szkole poprawia w domu zeszyty, a potem wygrywa na skrzypcach porywające kawałki i fabrykuje wiersze nawet dosyć ładne, ale nie na tyle, by je publikować. Okazało się, że nie była dostatecznie przygotowana do pójścia ze mną ku szczytom, ku samotnym wyniosłościom. Rozwiały się iluzje, jakie wiązałem z tą moją młodą duchową sojuszniczką. Gotów jestem jeszcze uwierzyć, że nie przed natarczywością Drexelera uciekła i nie dlatego też, że nie darzyła go sympatią, ale dlatego, że nie potrafił wykazać się żadną wirtuozerią, nie umiał dokazać niczego niezwykłego przy pomocy palców rąk czy nóg. Byłem prawdziwie zasmucony, bowiem teraz wiedziałem na pewno, że nic dla niej nie mogę już zrobić. Słowem, nim spostrzegłem, wpadła do studni. Nie pozostawało nic innego, jak samemu rzucić się za nią. To było jedyne wyjście.

Na wycofanie się było za późno, i tak mnie obciążała moralna odpowiedzialność za wszystko, co stanie się z nią dalej.

Patrzyłem przez okno na sylwetę dźwigu w stoczni. Rysował się na tle ugwieżdżonego nieba niby rusztowanie gigantycznej szubienicy. Spojrzałem ku gwiazdom. Często w czasach dzieciństwa stawałem wieczorami przy oknie i patrzyłem na gwiazdy. Przypominam sobie, że większość ilustracji w moich książkach z bajkami miała za tło nocne niebo. Bywało zazwyczaj szafirowe albo o barwie ciemnego fioletu, zaś gwiazdy wyglądały jak powycinane ze srebrnego papieru: zdumiewająco duże, a każda o długich ostro zakończonych ramionach, jakby je mróz na szybie wymalował.

Siadywałem przy oknie i patrząc w niebo przenosiłem się w świat bajek, domy były z piernika, kobiety idące ulicą – wrózkami albo czarownicami, zaś przypadkowo zabłąkany bezpański pies – naturalnie złym wilkiem. Wyobraźnia dziecięca miała wówczas nieograniczoną swobodę, nie było bowiem jeszcze dzisiejszych dźwigów ani betonowych konstrukcji, które mogłyby zniszczyć złudzenia. Brązowe zwietrzałe mury istotnie podobne były do budowli z piernika, a i kobiety nosiły długie, miękko na ramiona opadające włosy, zupełnie jak wróżki.

Dziś dorośli odarli świat z bajkowych dekoracji i przystosowali jego kształt do własnych snów. Nawet słowa bajek zastąpili innymi, wprowadzając w ich miejsce żargon naukowo-technicznych podręczników: nie mówi się teraz o gwiazdach, ale o astrofizyce, o komunikacji międzyplanetarnej i promieniach kosmicznych. W takim świecie nie może być miejsca dla religii, muzyki i poezji, jak nie można wyobrazić sobie świętego w aureoli z promieni kosmicznych albo astronauty z futerałem do skrzybiec pod pachą, czy nawet samego geniusza Eggerwalda piszącego wiersz o strukturze gruntu satelitów Jowisza.

– Proszę pana, jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, ażebym...

– Co mówisz? – zapytałem wyrwany z zadumy. Zupełnie zapomniałem o Marcie. Wstała z kanapy i patrzyła na mnie zmieszana. Odniosłem wrażenie, że musiała tak już stać dosyć długo i patrząc na moje plecy nie miała odwagi przerwać milczenia.

– Ależ oczywiście, ja też mam zamiar pójść już spać. Wybacz, tak sobie trochę pomarzyłem – powiedziałem odwracając się do niej.

– Poradzisz sobie sama? Wyjmij czystą bieliznę pościelową z bieliźniarki. A rano... czy twardo sypiasz?

– Nie, zwykle budzę się wcześniej.

– No, ciekaw jestem – zażartowałem. Jeżeli o siódmej nie usłyszę, że wstałaś, uderzę na alarm. Pójdziemy do szkoły, a w drodze będziemy mieli dosyć czasu, żeby wszystko omówić.

– Dobrze. Nie musi pan wcześniej wstawać. Ja przygotuję śniadanie.

– Jeżeli koniecznie chcesz.

– Dobranoc.

– Dobranoc, Marto.

Przed drzwiami sypialni przystanąła na chwilę i zapytała z wahaniem:

– A koc nie jest panu potrzebny?

– Nie martw się o mnie, niczego mi nie trzeba.

Weszła do sypialni, a ja zostałem sam. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze byłem sam i pewnie do końca moich dni sam pozostanę: chłopiec przy oknie wpatrzony w gwiazdy, marzący o świecie, w którym cnota i dzielność zasługują na nagrodę, zaś nikczemność i tchórzostwo na karę; o świecie, w którym prawda zwycięża kłamstwo; o wspaniałym i sprawiedliwym świecie z dobrą wrózką mieszkającą na dnie studni.

Małpiatka uspokoiła się wreszcie. Pan Kaak dał jej zapewne dla świętego spokoju piłkę. Słychać było wyraźnie, jak odbija się i toczy po podłodze. Usiadłem przy biurku, sięgnąłem po swój dziennik i nagle spojrzenie moje padło na niedopałek cygara w popielniczce. Odczułem to jak policzek. Wróciłem do nierzeczywistej rzeczywistości po tej stronie gwiazd:

do świata Drexelerów, zimnych intelektualistów, do słoni, dźwigów portowych i czarnych list. NIE ODNAJDUJĘ ANI ŚLADU DUCHA, WSZYSTKO JEST TRESURĄ. Zdjąłem okulary i wsparłem głowę na rękach. Siedząc tak usłyszałem tłumione łkanie. Podniosłem głowę i zacząłem nasłuchiwać. Początkowo wydawało mi się, że to małpiatka. Małpy potrafią płakać równie rozpaczliwie jak ludzie. Ale nie, to Marta płakała. Leżała pewnie w łóżku i płakała. Już miałem zamiar wstać i pójść do niej, ale pozostałem na miejscu. Nie wiedziałem, co powinienem powiedzieć w podobnej sytuacji i jak się zachować. Siedziałem jak skamieniały w fotelu, czując napływające do oczu łzy. Nie mogłem jej pomóc, nie mogliśmy oboje w niczym sobie pomóc. Po raz któryś z rzędu doszedłem do wniosku, że cienkie są ściany odgradzające człowieka samotnego od życia i samotnych ludzi od siebie.

– Nie wszedł pan naprawdę? Nawet na chwilę? – dopytywał się pan Vasalis z tajemniczym uśmiechem chińskiego mandaryna, znakomicie pasującym do jego młodzieńczej twarzy, a podpatrzonym zapewne u któregoś z przełożonych.

– Nie wszedłem nawet na chwilę – odparł Basile. – Posiedziałem jeszcze trochę przy biurku, a potem położyłem się spać.

– Na kanapie?

– Tak, na kanapie.

– Dziwne. Wprost zdumiewające – stwierdził pan Vasalis, ale uśmiech spłowił na jego twarzy. Wydawało się, że sam uznał swoje wystąpienie za niewypał i był wyraźnie z siebie niezadowolony.

Basile starał się za wszelką cenę zachować przytomność umysłu. Doskonale wiedział, jaką winę usiłowano mu przypisać i udowodnić. W czasie procesu nie zdołał całkowicie podważyć oskarżenia zarzucającego mu uprowadzenie nieletniej. Zresztą jeśli o to idzie, to rozpatrując rzecz z czysto prawnego punktu widzenia musiał tak czy owak przyznać, że pojęcie „uprowadzenie” nie było w końcu całkowicie bezpodstawne. Gorzej jednak, że to samo oskarżenie w dalszym sformułowaniu zarzucało mu, że dopuścił się również uwiedzenia dziewczyny, i temu zaprzeczał już z całą mocą, co nie przeszkadza, że został uznany winnym popełnienia obydwu tych przestępczych czynów. Jeśliby więc teraz komisji udało się wydobyć od niego zeznania dotyczące tego drugiego punktu, sąd miałby wystarczający motyw do odrzucenia apelacji. W ten sposób sam przesądziłby wynik sprawy na własną niekorzyść.

– Panie Jonas – zabrał głos przewodniczący – powiedział pan przedtem, że odniósł pan wrażenie, jakoby panna Simons zakochała się w panu. To bardzo ważne stwierdzenie. W czasie procesu panna Simons zeznawała zdecydowanie na pańską korzyść, i to tak dalece, że ta solidarność ofiary z oskarżonym musiała się wydać każdemu podejrzana. Obecne pańskie stwierdzenie wyjaśnia niezrozumiałe wówczas uczucia panny Simons, które skłoniły ją do występowania w pana obronie. Przyznaje pan, w pewnym sensie, że działała powodowana uczuciem, które u dziewcząt w jej wieku i o jej usposobieniu jest przecież tylko zwykłą egzaltacją. To oczywiście nadaje sprawie całkiem inny obrót. Wypowiedź emocjonalna nie jest wypowiedzią obiektywną.

Oto znakomita próbka logiki. Basile nie wierzył własnym uszom.

– Ja miałem powiedzieć, jakobym odniósł wrażenie, że zakochała się we mnie? Nie sądzę. O ile sobie przypominam, powiedziałem, że przez chwilę obawiałem się, że mogłaby się we mnie zakochać. Myślałem jedynie o takiej możliwości jako o niepożądanym komplikacji.

– A czy nie mówił pan, że dziewczyna patrzyła na pana gorejącymi oczyma, kiedy pan grał na skrzypcach? Była zachwycona. A w którym momencie u dziewczyny w jej wieku kończy się zachwyty, a zaczyna miłość, panie Jonas?

– Ona zachwycała się moimi palcami, panie przewodniczący, tak jak zachwycała się palcami nóg Sima Raya. Wyraźnie to podkreślałem.

– Cofa pan zatem swoją wypowiedź?

– Jak mogę cofać wypowiedź, której wcale nie złożyłem? – odpowiedział pytaniem na pytanie Basile. Był szalenie zmęczony i resztkę energii, jaką zachował na pokonanie zmęczenia, w pierwszym rzędzie zmobilizował do tego, by się bronić.

Przewodniczący zwrócił się w lewo, potem w prawo i rzekł:

– Może któryś z panów zechciałby przeciąć ten gordyjski węzeł. Być może, źle zrozumiałem pana Jonasa.

Pan Vasalis dał wymijającą odpowiedź, pan Opdael zaś, jak zwykle, problem nieco odwrócił:

– Moim zdaniem, zarówno zachwyty, jak uwielbienie, należy uznać za symptomy ułomności psychicznej i potraktować je jako równoznaczne.

Przewodniczący obrzucił go krótkim spojrzeniem, ale natychmiast twarz jego przybrała dawny abstrakcyjny i wyrachowane-beznamiętny wyraz, tak charakterystyczny dla stylu w architekturze lat pięćdziesiątych, kiedy to wielkie, nagie płaszczyzny ścian wznoszonych budowli symbolizować miały ogrom pustki, jaką pozostawiła po sobie wojna. Z tej właśnie pustki zrodziła się później nowa forma biologiczna, typ człowieka UTIPRO (wymawiać: jutipro), następcy NADCZŁOWIEKA. O ile nadcześnikowi marzyło się podporządkowanie świata nowemu łańdowemu opartemu na hasłach czystości rasy i przestrzeni życiowej, o tyle dewizą człowieka UTIPRO w jego dziele organizowania świata stały się „Utility-and-Profit⁵”. Cały partyjny aparat Świętego Monstrum składał się z przedstawicieli tego nowego gatunku.

Basile patrzył na chude, bezkrwiste dłonie siedzącego naprzeciw człowieka UTIPRO. Przewodniczący był doskonałym wydaniem swego gatunku: „Fakty, panie Jonas, tylko o nie chodzi.” Fakty: *facts, nothing but facts*. Fakty są *useful i practical*.⁶ Obydwaj ławnicy, w przeciwieństwie do przewodniczącego, nie byli już tak bezbłędni; reprezentowali typy mieszadców, krzyżówkę dwu gatunków: nadcześnika z człowiekiem utipro. Istniała jednak nadzieja, że dzieci ich dzieci posiadają już cechy w pełni uszlachetnione.

– Jeszcze do tego wrócimy – oświadczył przewodniczący. – Na razie trzymajmy się faktów. A więc następnego dnia, zgodnie z umową, udał się pan wraz z panną Simons do szkoły, la w drodze zdołał ją pan nakłonić, żeby pozostała u pana jeszcze przez kilka następných dni. Tak było, prawda?

– Mniej więcej tak – odparł Basile – z tym jedynie, że ja jej nie nakłaniałem. Po prostu zaproponowałem to, jako jedyne wyjście, na co ona od razu wyraziła zgodę.

Chce pan zatem podkreślić, że nie wywierał pan na nią żadnej presji?

– Właśnie tak. Jej decyzja była wynikiem naszych wspólnych przemyśleń. Sądziłem...

– Ale chyba nie była tym zachwycona, czy może jednak?

– Zachwycona, panie przewodniczący, w takich okolicznościach? O, nie, ona nie jest tak płytka, żeby traktować to jako wakacyjną przygodę. Powiedzmy raczej: czuła się bezpieczna i spokojna, to byłoby bliższe prawdy. Zaufała mi, wiedziała, że może liczyć na moją życzliwość, że pomogę jej wybrnąć z opresji.

– Ona rzeczywiście jest istotą spokojną, niewinną dziewczynką. Jej matka też to później potwierdziła.

Basile pokręcił głową.

– Myliła się, panie przewodniczący. Myliła się świadomie i celowo. Wmawiała sobie, że Marta jest jeszcze dzieckiem, małą dziewczynką, nie dopuszczała do siebie myśli, że naiwny podłotek stał się już młodą panną, całkowicie świadomą własnego przeobrażenia. Ujmując sprawę w ten sposób, pani Simons nie dopuszczała do krytyki, jaką w przeciwnym razie mogłaby usłyszeć od dorastającej córki. Taki punkt widzenia był jej na rękę, bowiem w przeciwnym razie nie mogłaby kontynuować tak swobodnie swego *dolce vita*. To było również powodem, dla którego twierdziła, jakoby historia z Drexelerem miała być

⁵ Przydatność i zysk (ang.)

⁶ Nic, tylko fakty... pożyteczne... realne (ang.)

nieprawdziwa. Egoizm jej zwyciężył. Doskonale rozumiem, co musiało się dzieć w duszy tej kobiety nie mającej dość siły, by zrezygnować z własnych zachcianek nawet wówczas, gdy w grę wchodziła cześć jej córki. O tym, że troszczyła się wyłącznie o własne przyjemności, świadczy najlepiej jej reakcja na drugi telefon Marty. Tego samego dnia w drodze powrotnej ze szkoły namawiałem Martę, aby jeszcze raz zatelefonowała do matki i powiedziała jej, że pozostanie u przyjaciółki do końca tygodnia. Tej właśnie soboty zaczynały się ferie, pani Simons nie miała zatem powodu sprzeciwiać się prośbie Marty: dziewczyna po okresie intensywnej nauki w szkole mogła ostatecznie trochę odpocząć. Marta zatelefonowała do niej z rozmównicy publicznej, a kiedy później zapytałem, co odpowiedziała matka, usłyszałem, że nic szczególnego. Zgodziła się nie pytając nawet o nazwisko czy adres przyjaciółki. Chętnie wyraziła zgodę, bo na rękę jej było, że przez kilka dni nie będzie miała przy sobie córki. Obecność dziewczyny była czasem krępująca dla niej i uciążliwa.

Przewodniczący słuchał spokojnie, z twarzą nieruchomą, tylko prawa jego ręka, niczym aparat Morse'a, wypukiwała długopisem rytmiczny takt. Basile umilkł, a on pukał dalej. Ławnicy starali się ukryć własne myśli pod nieprzeniknionymi minami. W pewnej chwili niemal równocześnie sięgnęli po chustki i zaczęli wycierać nosy: pan Opdael głośno i energicznie, pan Vasalis dla odmiany dyskretnie i z zamkniętymi oczyma. Kiedy prychnie ucichło, przewodniczący powiedział:

– O tym wszystkim wiedzieliśmy już wcześniej. Pański adwokat zadawał sobie w czasie procesu wiele trudu, aby takie właśnie stanowisko obronić, to znaczy przypisać pani Simons winę moralną za to, co się stało. Niestety teoria ta nie posiada żadnej naukowej wartości. Instytut medyko-fizyczny przysłał nam na nasze żądanie akta panny Simons. Według opinii lekarzy nie istnieje najmniejsza nawet wątpliwość, że ich podopieczna jest istotą z gruntu spokojną. Opinia miarodajnej placówki jest dla nas dostatecznie przekonującym argumentem, że pańska hipoteza zbudowana jest na błędnych i nazbyt osobistych przesłankach psychologicznych.

– Możliwe, że się mylę, przecież nie jestem psychologiem – odpowiedział spokojnie Basile.

Rozumiał, że zdanie jednostki tak samo mało waży na symbolicznej szali ludzkiej sprawiedliwości, jak ważyłaby opinia zwariowanej małpiatki pana Kaaka. Tylko aparaty rejestrujące i perforujące w kartach otwory godne są zaufania i można je uznać, w pewnym sensie, za bezbłędne.

– Jako nauczyciel miewał pan chyba często okazję do wglądania w akta personalne swoich uczennic – zauważył pan Vasalis. – A może jednak bardziej ufał pan własnym wnioskom niż wynikom naukowych badań?

„Ufać – pomyślał Basile – piękne słowo. Ufać i wierzyć: sztormowe latarnie duszy. Czyżby Święte Monstrum miało zamiar skonfiskować również i te sztormowe latarnie, aby oświetlić nimi laboratoria i ośrodki naukowe, duszę własnej cywilizacji?”

Podchwyciwszy chytre spojrzenie pana Vasalisa, Basile szukał gorączkowo najtrafniejszej odpowiedzi na jego podstępne pytanie.

– Nauczyciel musi niekiedy polegać na własnym rozsądku – powiedział po chwili wahania.

– Nauczyciel? Jak to? Nie rozumiem – przerwał przewodniczący.

– No, w końcu nauczycielowi powierza się istoty z krwi i kości, a nie materiał statystyczny.

Przeraził się własnych słów. Zabrzmiały agresywniej, niżby sam tego chciał. Jąkając się próbował podbudować swój punkt widzenia.

– Te dziewczęta są nieobliczalne, żeby nie powiedzieć: stać je na wszystko. Najlepiej to widać w codziennym z nimi kontakcie. Nigdy nie można przewidzieć z całą pewnością, jak na co zareagują. Poza tym rozwijają się tak szybko, że żadna naukowa metoda nie nadaża za

tym rozwojem. Przychodzą do szkoły jako grzeczne, naiwne dzieci, a już w kilka lat później stają się – zwłaszcza niektóre z nich – pewnymi siebie i swego miejsca w świecie młodymi damami. Również zewnętrznie ulegają zaskakującej przemianie. Najlepiej widać to na fotografiach do legitymacji, które przy przyjęciu do szkoły składają wraz z dokumentami, a które pozostają w aktach przez cały czas trwania nauki. Najczęściej po trzech latach trudno jest je na nich rozpoznać. Będąc nauczycielem trzeba wszystko brać pod uwagę, nawet to, czego nie bierze ośrodek medyko-psychiczny.

– Słusznie – powiedział przewodniczący tonem, z którego można by wnioskować, że odpowiedź zadowoliła go pod każdym względem.

– Panie Vasalis, czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?

– Na razie nie – wyniośle odpowiedział zapytany.

– Dobrze. Proponuję wobec tego, abyśmy wrócili do tematu. Jeżeli dobrze pamiętam, stanęliśmy na rozmowie telefonicznej panny Simons z jej matką. Kiedy właściwie miała ona miejsce? Przed lekcjami czy po?

– Przed. Nalegałem, aby zadzwoniła zaraz, jeszcze przed dziewiątą, ponieważ o tej porze najłatwiej mogła zastać matkę w domu. Później, między dziewiątą a siedemnastą, codziennie wychodzi w sprawach „Lady”.

– W czyich sprawach?

– „Lady”, tak się nazywa jej pismo.

– Ach, tak. A po rozmowie telefonicznej... udał się pan wprost do szkoły?

– Marta. Ja nie. W czwartki zaczynam zajęcia dopiero dwadzieścia po dziewiątej, dlatego zdecydowałem, że pójdę do komisariatu, aby dowiedzieć się o powody, dla których przeprowadzono u mnie rewizję.

– No i?

– Oficer, którego tam spotkałem, twierdził, jakoby nic mu nie było o tym wiadome. Był bardzo uprzejmy, a kiedy powiedziałem, że polecenie wydane zostało prawdopodobnie przez Wydział Specjalny, w mojej obecności zadzwonił do sędziego śledczego. „Zaraz się dowiemy” – powiedział. Jednakże kiedy skończył rozmowę i odłożył słuchawkę, okazało się, że wie tyle, ile wiedział przedtem. Usłyszał małą reprimendę i to wszystko. Odniosłem wrażenie, że sędzia musiał go solidnie zbesztać. „Przykro mi – powiedział. – Nie mogę panu w niczym pomóc, sędzia śledczy odmówił jakichkolwiek wyjaśnień w tej sprawie. – Podniósł bezradnie ramiona w górę. – Nie ma pan żadnych chodów w sądzie?” – zapytał. Sądził, że może one ułatwiłyby mi dowiedzenie się czegoś. Od razu domyśliłem się, skąd wieje wiatr. Bez znajomości w sądzie będę odsyłany od Annasza do Kajfasza. Stosunki: „Sezanie, otwórz się”, cywilizowanego społeczeństwa. W ten sposób i dzięki nim osiąga się wszystko. Tylko aby przyjść na świat i zejść z tego świata, nie trzeba wysoko postawionych osobistości, bo i protekcja nie jest tu potrzebna. Kiedy myślę o matce Marty, jestem skłonny...

– Chciałbym pana raz jeszcze prosić o pozostanie przy faktach, panie Jonas. Nie jest pan w Hyde Parku. Nie chcemy wcale wiedzieć, co pan myśli o pani Simons, to bowiem w niczym nie posunie sprawy naprzód. Interesuje nas jedynie odpowiedź na pytanie, czy zasięgał pan jeszcze gdzieś informacji.

– Nie, panie przewodniczący. Zrozumiałem, że to nie ma sensu, i zrezygnowałem. Byłem coraz bardziej przekonany, że stałem się ofiarą pomyłki.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że nie przypuszczał pan, o co jest pan podejrzany. Przecież sam pan przedtem powiedział... jak pan to nazwał? Aha, kiedy mówił pan o czarnej liście... powiedział pan również...

– Czarna lista. Tak. Słyszałem raz, jak pewna matka powiedziała do swego niegrzecznego synka: „Pamiętaj, żebyś tego więcej nie robił, bo znajdziesz się na czarnej liście.” Tak się mówi o tych sprawach nie nadając słowom głębszej treści. Mój dziadek straszył mnie zawsze diabłami i piekłem, a pochodził z rodziny, w której mężczyźni walczyli o wolność w XVI

wieku przeciw Hiszpanom. To były zaklęcia i formy straszenia przekazywane przez wieki generacji, która lęku już nie odczuwa, ale groźbę powtarza przy nadarzającej się okazji. Równie małe znaczenie przypisuje dziś szanujący się obywatel pogłoskom o czarnej liście. Myśli sobie: „Jeżeli istotnie taka lista istnieje, ja i tak nie mam z nią nic wspólnego, ale prawdopodobnie nie ma takiej listy.” Jednak pewnego dnia odkrywa nagle, że to prawda, że lista istnieje i że nawet jego własne nazwisko znajduje się na niej. Ja doszedłem do tego dopiero w kilka tygodni po rozpoczęciu śledztwa. Dano mi wówczas do zrozumienia, że jestem podejrzany o sympatyzowanie z komunizmem i o zdradę stanu. Sympatie dla komunizmu dlatego, że napisałem kiedyś proroczy wiersz na temat duchowego samobójstwa Zachodu, zaś zdrada stanu, bo naruszyłem narodowe tabu: chciałem być białym słoniem w szarym stadzie. Innymi słowy mówiąc: byłem rzekomo komunistą, ale równocześnie indywidualistą, a więc kimś w rodzaju drapieżnika-wegetarianina. Nie pomogło zaprzeczanie; byłem elementem niepewnym i to wystarczyło. W tym samym stopniu niepewnym co panna Baert, której zapewne przypisywano te same grzechy. Ona też zaliczała się do gatunku drapieżników-wegetarianów. Jako osoba zajmująca się przez całe życie muzyką, naruszała tabu Świętego Monstrum, nie mówiąc już o tym, że występowała za żelazną kurtyną: w Polsce, na Węgrzech i w krajach bałkańskich. Każde z nas zawiniło na swój własny wprawdzie sposób, ale oboje próbowaliśmy działać na rzecz odbudowania pokojowej koegzystencji, tym samym więc działaliśmy na szkodę własnego kraju i narodu.

Managers of fear siedzieli nieruchomo, chrząkali i patrzyli przed siebie ze znudzonymi minami. Pan Vasalis sprawiał wrażenie ucznia nie ukrywającego, że lekcja go nuży. Tylko na zasuszonej twarzy przewodniczącego gościł niezmiennie ten sam wyraz.

– Chciałbym zwrócić panu uwagę na fakt, że już od kilku lat drapieżnik-wegetarianin nie jest *contraditio in terminis*. Tak zwany amuyeti, odkryty przez naszych zoologów w pobliżu Hindukuszu, może istotnie uchodzić za drapieżnika-wegetarianina. Jest to rzadka odmiana z tej samej rodziny co zwykły yeti. A dlaczegoż by, panie Jonas, nie miało być amuyeti wśród ludzi?

„Właśnie, dlaczego by nie? – pomyślał Basile. – Dlaczego nie miałyby być wśród ludzi rzadkich okazów tej zagrożonej zagładą rodziny z rzędu poczciwych ssaków? Człowiek-yeti, zwierz pilnie poszukiwany. Chyba niezbyt odległy jest czas, w którym zbrojny w majestat prawa człowiek-utipro położy przed swym łóżkiem spreparowaną skórę człowieka-yeti. Wszak przed niewielu dziesiątkami lat podjęto już próby: abażury z wyprawionej ludzkiej skóry, a przecież od tamtego czasu tereny polowań znacznie się powiększyły.”

Basile patrzył na błazeńską maskę Kobry i nie wiedział, czy prawda to, czy makabryczne złudzenie: wyraźnie słyszał, że z dużych, uśmiechniętych ust dyktatora dobywało się ciche mruczenie: dostojna głowa państwa mruczała ponad głowami oddanych sobie urzędników. Zaniknął oczy. Nie patrzył na usta Kobry, a mruczenie nie ustawało. Ucichło dopiero wtedy, kiedy głos zabrał przewodniczący.

– Po wizycie w komisariacie udał się pan zatem wprost do szkoły?

– Tak.

– I tego samego dnia po południu zaczął się ten cały skandal?

– Tak, jeżeli chce pan to nazywać skandalem, panie przewodniczący, ja nazwałbym to historyjką dla grzecznych dzieci.

– Wszystko jedno. W każdym razie wie pan, co mam na myśli. Zwróciliście na siebie uwagę, pan i dziewczyna. Komentarze w tej sytuacji były nieuniknione.

Krótkie przerwy, w których cichło na chwilę pukanie długopisu, wypełniało mruczenie Kobry.

– I wtedy został pan ponownie wezwany przez dyrektora?

– Nie, nie tak było. Dyrektor nie wzywał mnie.

– Skąd wobec tego dowiedział się pan o plotkach krążących na pański temat? Ktoś musiał pana ostrzec?

– Dowiedziałem się o tym w pokoju nauczycielskim, podczas przerwy obiadowej.

„– Kiedy wszedłem do pokoju nauczycielskiego, Stubbe stał przy stole, a obok niego Salomons trzymał rękę jak zwykle na karku, jak ktoś cierpiący na zawrót głowy.

Wydawał się bardzo przejęty tym, co opowiadał Stubbe, czytał nieomal z jego ust każde słowo. Stubbego też nie widziałem nigdy jeszcze w stanie tak wielkiego podniecenia: mrugał powiekami, a zamiast palić cygaro, bez przerwy wkładał je tylko do ust i na powrót wyjmował. W ostatnim czasie Stubbe posiwał jak gołąb. Sprawa autentyczności trzydziestego piątego rękopisu *Nibelungów*, jak również długi, jakie na prawo i lewo zaciągał jego pierworodny syn, od miesiący spędzały mu sen z powiek.

Podszedłem wolno do niego; zmieszał się na mój widok, przestał mówić i zapalił cygaro, ale z jego twarzy mogłem wyraźnie wyczytać, że myślał: «Oto i on!» Salomons zdjął rękę z karku i popatrzył na mnie, popatrzył i zaczerwienił się, a ja poczułem się winny. Moje poczucie winy nasiąkało jak gąbka słowami Stubbego, tej nie dającej się zmyć winy głupca żyjącego w grzesznym świecie. Miałem przecucie, że doznam klęski, ale równocześnie wiedziałem, iż prawda właśnie dzięki klęskom, jakich doświadcza, jest niezwykła. Szedłem więc dalej przez gęste kłęby dymu i przytłumiony gwar głosów; złamany, zrezygnowany, starałem się skurczyć we własnej powłóce cielesnej, na ile to było możliwe, ale równocześnie czułem dość siły, by przyjąć tę klęskę niczym męczennik na arenie pogańskiego cyrku. Zbliżyłem się do nich bez słowa pozdrowienia. Salomons skłoniwszy się odszedł natychmiast.

– Chyba nie przeszkadzam? – zwróciłem się do Stubbego. Odpowiedział z przesadnym ozywieniem:

– Co też pan mówi?

Tytoń z cygara spadł na stół, ściślej mówiąc na najnowszy numer «Przyczynków do kształcenia pedagogicznego i wiedzy o młodzieży», ale on wcale tego nie zauważył. Wyraźnie widać było, że jest wzburzony, oglądał się bez przerwy, a narastające ciągle zdenerwowanie nie licowało zupełnie z uśmiechem, pod którym próbował ukryć nurtujący go niepokój. I nagle, sam nie wiem dlaczego, powiedziałem:

– Nie interesuje mnie wcale, czy ma pan w swojej bibliotece domowej stare wydanie *Fausta*, gdyby jednak tak miało być, chciałbym udzielić panu dobrej rady: niech się pan go czym prędzej pozbędzie. Wczoraj skonfiskowano mi taki egzemplarz podczas rewizji w moim mieszkaniu.

Starałem się mówić możliwie najciszej; Stubbe odpowiedział tym samym tonem, tylko bardziej niż ja nerwowo:

– Pozbyłem się tego wydania już wcześniej. To nierozsądne, że przechowywał je pan u siebie do tej pory.

Stał zwrócony plecami do pokoju, dyskretnie kartkując stronicę czasopisma. «*Ich ha-be, du hast, er hat*» – myślałem. Miałem w tej chwili ochotę zapytać go: «Co pan ma, panie Stubbe?» Wydało mi się rzeczą obrzydliwą przykładać mu teraz nóż do gardła. Przecież to ja zostałem poddany próbie, ja, autentyczny głupiec, nie on, to ja powinienem przejść przez to, a nie on.

– Niechże pan coś mówi, wszyscy na nas patrzą – wyszeptał nagle.

Odruchowo spojrzałem w bok i w tej samej chwili jak na komendę trzy czy cztery głowy odwróciły się natychmiast w przeciwną stronę. Oceniając tę scenę od strony choreograficznej, ćwiczenie wykonane było bezbłędnie. Tylko panna De Paepe opóźniła się nieco, a ponieważ nie wypadało jej już przypatrywać się nam dłużej, zrobiła głupią minę i złożyła swój ptasi

dziób w szatański uśmiech mający wyrazić zdumienie: «Co-za-przy-pa-dek, spojrzeliśmy równocześnie na siebie!»

Nie mogłem zrozumieć, skąd Stubbe wiedział, że wszyscy na nas patrzą, skoro działo się to za jego plecami. Musiałem uwierzyć, że zalicza się do ludzi o szczególnie wrażliwych plecach.

– Co tu się właściwie dzieje, na litość Boską? – zapytałem. – Dlaczego wszyscy na nas patrzą?

– Na nas? – zapytał. – Na pana, panie Jonas. Proszę niech mnie pan do tego nie włącza!

– Dlaczego nie?

Spoglądałem na niego wzrokiem pełnym wyczekiwania.

Nie wiem dlaczego, ale w pewnym sensie doznałem rozczarowania. Może dlatego, że Stubbe miał tak inteligentną twarz i wrażliwe plecy, a te dwie cechy, to moim zdaniem, kombinacja nazbyt podejrzana.

– O mój Boże, panie Jonas! Balansuje pan niczym linoskoczek pod kopułą cyrku i pyta jeszcze dlaczego wszyscy na nas patrzą?. – odparł zagadkowo, po czym szybkim ruchem ręki sięgnął po czasopismo i zagłębił się w lekturze spisu treści. Był to oczywiście manewr taktyczny, bowiem za chwilę powiedział:

– A czy ja mogę dać panu dobrą radę? Niechaj pan nie liczy, że panu, podobnie jak pańskiemu biblijnemu imiennikowi, dopisze szczęście. Jeżeli pana Walfisch połknie, to już nie wypłuje.

– To dla mnie całkiem jasne; nie mam w tym względzie najmniejszych złudzeń – odparłem. – Ale dlaczego pan mi to mówi? Czy może dyrektor...

Spojrzał na mnie spoza kart *Europy*, jednej z owych broszurowych prawd w milionowym nakładzie. Mimo iż stałem obok niego, tak że dotykaliśmy się ramionami, nie widział mnie. Zachowywał się, jakbym był oddalony od niego o milę, jakbym był na księżycu.

– Dyrektor zawiadomił matkę dziewczyny – szepnął do człowieka na księżycu. – Telefonował do niej. Obawiam się, że będzie pan miał kłopoty. Matka była całkowicie zaskoczona. Myślała, że jej córka zatrzymała się na kilka dni u którejś z koleżanek szkolnych.

Gala flagowa Narodów Zjednoczonych na okładce *Europy* poruszyła się przed moimi oczyma i sformowała w paradny pochód PRZEZ RUINY EUROPY. «Oto skok w ciemność – pomyślałem. – Dalsze nastąpią. Tak, to dziwne, „ostatni w pochodzie” atakują!» Jakby z oddali dochodził mnie głos Salomonsa, a wypowiedane przez niego słowa brzmiały niby klaskanie mokrej flagi na wietrze. *Europa* obsunęła się niżej i w miejsce wspaniałych flag ujrzałem nos, a ściślej mówiąc, dwie wydatnych rozmiarów dziurki w nosie Stubbego, z których wyzierały ciemne, kręcone włosy jak haniebne świadectwo złej tapicerskiej roboty.

– Tak to więc wygląda – mruknąłem – a zatem powołał pod broń panią Simons.

– Tak, i na pewno na tym nie poprzestanie; chyba zdaje pan sobie z tego sprawę?

– A więc Marta miała słuszość mówiąc, że jutro będzie wiedziało już całe miasto. No i stało się. Pozostanie dla mnie tylko zagadką, w jaki sposób dyrektor tak szybko na to wpadł.

– Wydaje się, że wczoraj po szkole widziała was razem pani Neefs. Dziś rano opowiadała o tym w szkole, może nie w złej intencji, ale pan wie, jak to jest: zła wiadomość rozchodzi się lotem błyskawicy, tylko rzeczy dobrych nikt dalej nie powtarza. Ktoś w końcu doniósł dyrektorowi. To było nie do uniknięcia, wcześniej czy później i tak musiałby się o tym dowiedzieć. W szkole aż szumi.

– Tak, to prawda, pani Neefs widziała nas, ale czego to dowodzi? Czy to wystarczy, aby kogoś oskarżać?

Stubbe wzruszył ramionami.

– A kto tu pyta o dowody? Jeżeli może pan to zdementować, tym lepiej, ale tymczasem...

Zachowanie Stubbego rozczarowywało mnie coraz bardziej: chował głowę w piach, należał do tej samej kategorii ludzi-strusi co kanonik Lemaire. Tego właśnie nie

spodziewałem się po nim i to bolało mnie bardziej, niż dawałem po sobie poznać. Kanonikowi Lemaire nie miałem za złe jego postawy, ale przecież Stubbe należał do tych nielicznych ludzi, którym w mojej wersji społeczeństwa przyznałem trwałe miejsce, i oto teraz musiałem go zdjąć stamtąd i wpisać do innej, bardzo zagęszczonej rubryki.

– Jakie to okropne – powiedziałem wzburzony.

– Hm... – chrząknął i ostrożnie, dwiema rękami odłożył gazetę, jakby to była taca z bezcenną porcelaną.

– Cóż za okropna interpretacja – poprawiłem się. – Czy naprawdę tyle przyjemności sprawia ludziom... – słowa zaczęły mi się plątać, zacząłem z innej strony: – Nie wezwał do siebie najpierw panny Simons, zanim zatelefonował do jej matki?

– O ile mi wiadomo, nie.

Oburzyłem się.

– To niesłychane! Kto tak robi? Kto działa tak pochopnie? Byłoby przecież znacznie logiczniej wezwać do siebie przede wszystkim dziewczynę, a nawet nas oboje, i zbadać sprawę. Ale on nie! Nie sprawdziwszy nawet, ile prawdy kryje się w tych pogłoskach, od razu zawiadamia matkę. Niech pan powie, czy pan też tak by postąpił?

Denerwowałem się, a tymczasem Stubbe odwrócił się po prostu ode mnie. Widać było, że moje wzburzenie przyprawiło go o jeszcze większe zakłopotanie; odniosłem wrażenie, że czuł się nieomal skompromitowany, dla każdego bowiem musiało być bezsporne, o czym rozmawiamy teraz, wszyscy też zapewne podejrzewali, że był w tę sprawę bezpośrednio zamieszany.

– Chyba nie wierzy pan temu obrzydliwemu gadaniu? – zapytałem z błaganiem w głosie.

– W rzeczywistości wszystko jest bardziej niewinne, niż na to wygląda.

– Właściwie wcale mnie to nie obchodzi – odparł tonem zdecydowanym, chociaż łagodnie. – To, co pan robi po szkole, to pańska prywatna sprawa.

Palił nerwowo cygaro i patrzył na obraz wiszący nad stolikiem. Była to jakaś nowoczesna martwa natura: tło utrzymane w kolorze przypalonego pasztetu, upstrzone pestkami niedojrzałych owoców cytrusowych. Trudno było z całą pewnością rozstrzygnąć, co obraz właściwie przedstawiał, może NIC, może sugerował tylko bezbrzeżną pustkę?

Pustymi oczyma wpatrywał się Stubbe w tę wielką pustkę, aż coś zmieniło się w jego spojrzeniu, jakby pojawiła się w nim obawa, czy gwoździe siedzi w ścianie dość mocno, czy przypadkiem nagle wszystko, to znaczy obraz z ramą i gwoździem, nie runie na podłogę. Zląkł się, że ta ogromna pustka poruszy się, że go zmiażdży. Zastanawiałem się, dlaczego nic do mnie nie mówi. Odczułbym boleśnie, gdyby postanowił nie odezwać się już ani słowem, gdybym musiał pozostać tu zupełnie sam. Wówczas plotka połknęłaby mnie bez porównania łatwiej; plotka podobna jest do lwa na arenie; atakuje przede wszystkim bezbronnego, tego, który oddzielił się od gromadki. Martwiłem się niepotrzebnie. Stubbe ani myślał o tym, ażeby przestać się do mnie odzywać. Spoza obłoku błękitnawego dymu nagle powiedział cicho:

– Moim zdaniem, działał pan w sposób nieprzemyślany. Powinien pan wiedzieć, że będzie się o czymś takim gadało. Jeżeli idzie o mnie, nie zrobiłbym tego nigdy.

– Tak – odparłem. – Głupio postąpiłem. Powoli zaczynam rozumieć, że błędem jest słuchanie głosu własnego sumienia. Dziwi mnie nawet, że sumienie nie zostało jeszcze oficjalnie uznane za czynnik hamujący; ani to bowiem coś konstruktywnego, ani przyczyniającego się do postępu. Przeciwnie, nawet postępowi przeszkadza.

Drzwi pokoju nauczycielskiego otworzyły się, a wszyscy niemal równocześnie zwrócili głowy w tym kierunku. Weszła Kocia Skórka. Dźwigała pod pachą stos zeszytów; nie patrząc na nikogo, podreptała do rumianego blondasa Roggemena. Każde jej pojawienie się miało w sobie coś z sensacji. Usłyszałem, jak za moimi plecami panna Paepe na widok ekscentrycznych grochów na bluzce Kocie Skórki zauważyła z lekkim przekąsem:

– Nic dziwnego, jej to z pewnością potrzebne.

Nie zareagowałem ani słowem. Stałem nadal w tym samym miejscu i niezdecydowany, co robić dalej, wodziłem dookoła wzrokiem. W pewnej chwili uczyniłem ruch, jakbym miał zamiar podejść do pani Neefs, ale Stubbe ojcowskim ruchem położył mi dłoń na ramieniu i nie wyjmując z ust cygara powiedział:

– Lepiej nie. Jak pan tego tknie, będzie jeszcze bardziej śmierdziało.

Zadzwęczał dzwonek, jak zwykle o minutę później, niż należało, i w ten sposób utraciłem sposobność, aby „tego tknąć”.

– A po lekcjach znów jakby nigdy nic zadecydował pan, że zabierze dziewczynę do siebie.

– Tak uzgodniliśmy, panie przewodniczący. Zresztą nie miałem innego wyboru. Przecież nie mogłem zostawić jej samej. Zdolna była popełnić jakieś głupstwo. Czułem się za nią odpowiedzialny.

– Naturalnie w tym czasie ona też dowiedziała się o kursujących po szkole plotkach?

– Tak.

– A o tym, że dyrektor zawiadomił jej matkę, też wiedziała?

– Wiedziała i o tym. Cała szkoła wiedziała. W tym miejscu muszę przyznać rację Stubbemu: plotka rozprzestrzenia się lotem błyskawicy.

– A jak na tę wiadomość zareagowała?

– Chyba nie wzięła tego zbyt poważnie. Kiedy już staliśmy w autobusie...

– W autobusie?

„Tak. Wsiadliśmy do autobusu dlatego, że padał” deszcz, sądziliśmy też, że będzie się to mniej rzucało w oczy.. Pozostaliśmy zresztą na pomoście, gdzie nie musieliśmy przynajmniej gnieść się jak śledzie w beczce. Po chwili Marta zwróciła ku mnie mokrą od deszczu twarz i powiedziała ze stanowczością nacechowaną uporem, tak charakterystycznym dla decyzji podejmowanych przez młodzież:

– W żadnym razie nie wrócę do domu, jak długo ten wilkołak będzie tam przychodził. Jeżeli trzeba, spakuję moje rzeczy i wyjadę do Tulonu. Mam tam korespondencyjną przyjaciółkę, miła dziewczyna. Jest starsza ode mnie o kilka lat, pracuje w bibliotece morskiej.

Jechaliśmy przez aleję Parkową, koło domu dentysty, tego, który tak źle zaplombował mi ząb.

– Wybij to sobie z głowy, Marto, to już przesada – powiedziałem. – Znajdziemy przecież jakieś wyjście. Dwa bilety – zwróciłem się do konduktora podając mu pieniądze. Trzymałem wyciągniętą rękę, aż wręczy mi bilety. – Dziękuję. Nie wolno ci teraz popełnić żadnego głupstwa, bo wszystko popsujesz. Nic ci na razie nie grozi. Nie możemy naturalnie dłużej się ukrywać, ponieważ twoja matka i tak wie, że jesteś u mnie. Nie pozostaje nam nic innego, jak grać w otwarte karty. Później, po siódmej, wybiorę się do niej. Spróbuję przemówić jej do rozsądku. W tych warunkach wydaje mi się to najstosowniejsze. Ty w tym czasie spokojnie posiedzisz w domu i zaczekasz na wynik pertraktacji. Lepiej będzie, jeżeli pójde tam bez ciebie.

Autobus przystanął i kolejka czekających na przystanku zaczęła niecierpliwie tłoczyć się do środka, by jak najszybciej znaleźć się pod dachem. Deszcz nie ustawał. W jednej chwili na pomoście powstał ścisk i popchnął nas ku sobie. Staliśmy zgnieceni wstrzymując oddechy i starając się nie patrzeć sobie w oczy.

– Nic pan u niej nie wskóra – wyszeptwała. – Pan nie zna mojej matki; nie da się przekonać, ona kapituluje jedynie przed pieniędzmi.

– Nie wierzę, a zresztą pozostaw to mnie.

Jej włosy muskały mnie po twarzy. Pachniały deszczem i mięszem świeżych owoców. Patrzyłem na ulicę; minęliśmy Centrum Handlowe Północ, galerię obrazów Briela, ulicę

Kapetinger, pokryte grynspanem brązowe lwy w parku na Placu Wolności. Za zalanymi deszczem szybami przesuwają się obrazy jeden po drugim, a ja myślałem o pani Simons kapitulującej jedynie przed pieniędzmi i czułem, jak mnie z wolna opuszcza odwaga; wiedziałem, że Marta mówiła prawdę. Wysiedliśmy na przystanku za Placem Wolności i ruszyliśmy w stronę domu, kryjąc się pod ścianami budynków; nawet płaszczy deszczowych nie mieliśmy przy sobie.

– Ahoi! Koniec szkoły, początek wakacji! – zażartował na nasz widok książę Edynburga. Stał przy żardynierze i w strugach ciepłego deszczu obmywał gąbką liście fikusa. Wyglądało na to, że tym razem skończy się na tej indagacji, kiedy jednak próbowałem minąć go z ukłonem, wyprostował się nagle i powiedział: – Mam tu coś dla pana, panie Jonas. Dziś w południe nadszedł dla pana kontrakt z Broadwayu. – Podszedł do niszy w korytarzu i sięgnął po leżącą tam na stole kopertę. – «Panna Marta Simons – z korespondencją pana Jonasa» – odczytał i wręczył mi list. Przyjąłem go z ociąganiem.

– List przyniosła godzinę temu jakaś pani i prosiła, abym go oddał do rąk własnych.

– To dla ciebie – zwróciłem się do Marty. Wzięła kopertę bez słowa. Nie otworzyła jej od razu; zauważyłem, że zagryzła wargi.

– Ta młoda osoba zatrzyma się u mnie przez kilka najbliższych dni. Potrzebuje trochę pomocy w nauce – czułem się obowiązany do wyjaśnienia.

Wypowiedziawszy te słowa miałem ochotę zniknąć stąd czym prędzej, zamknąć się w swoim pokoju i nie opuszczać go wcześniej, aż stałbym się innym człowiekiem, nie marzycielem, lecz katem, fanatykiem, opancerzonym człowiekiem, wilkołakiem. Ale zmienić się można tylko przy pomocy bliźnich; w pojedynkę niczego się nie dokona. Stałem tak z rozpaloną głową, bezbronny, pełen wstrętu do własnych kłamstw, z wzrokiem utkwionym w szkaradny, pasiasty krawat księcia Edynburga, na którym jeszcze widoczne były plamy z zaschłego żółtka. Dozorca zaśmiał się szeroko owym zmysłowym śmiechem breughelowskiego kucharza z opakowań zup w proszku.

– Już sobie myślałem, że pan ma sublokatorkę – powiedział szczerząc zęby. – Życzę miłej zabawy przy korepetycjach! – Szliśmy w stronę windy, kiedy za nami zawołał: – A jak właściwie skończyło się z tą rewizją w pańskim mieszkaniu? Dowiedział się pan czegoś?

Nie odpowiedziałem na pytanie, tylko szybko otworzyłem drzwi do windy i nacisnąłem siódmą klawisz.

– Zabawny oryginał – zauważyła Marta. – Co on miał na myśli mówiąc o rewizji?

– Pewnie jakiś nowy żart.

Winda bezszelestnie wznosiła się w górę. Stałem zwrócony twarzą do tablicy rozdzielczej i patrzyłem na lampkę zapalającą się przy każdym mijanym piętrze. Słyszałem, jak Marta odstawiała teczkę i rozerwała kopertę. Zdjąłem mokre od deszczu okulary, aby wytrzeć szkła, a równocześnie starałem się sformułować w myśli kilka potrzebnych na później zdań, dla pani Simons, kiedy znajdę się w jej przedpokoju; wcale nie byłem pewien, że zechce wpuścić mnie dalej, do salonu. Powinny to być nienaganne, cywilizowane, obłudne zdania, tchnące kulturą zamrażalni, drogich apartamentów hotelowych w ekskluzywnych kurortach – według modelu KOBIEȚA W SPOŁECZEŃSTWIE DNIA JUTRZEJSZEGO – ze sztucznym uśmiechem, udawanym zainteresowaniem i cocktailową konwersacją na temat modnych filozofów mody, terapii wstrząsów oraz *American way of living*.

Jeżeli naszkicowany przez Martę obraz matki odpowiadał rzeczywistości, takie zdania powinny zrobić na niej duże wrażenie, choć – być może – nie da tego po sobie poznać. Zacząłem właśnie takie zdanie układać, kiedy winda zatrzymała się nagle. Zdanie to było bardzo zręczne i niechętnie się z nim rozstawałem. Włożyłem okulary.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiłem.

Marta nie poruszyła się. Stała wpatrując się spoza kartki papieru w jakiś punkt na wysokości moich kolan. Sprawiała wrażenie istoty całkowicie załamanej. Postanowiłem

odczekać chwilę. «KOBIETA W SPOŁECZEŃSTWIE DNIA JUTRZEJSZEGO – pomyślałem. Jak też ona zachowa się w tym społeczeństwie? Czy potrafi przystosować się do tego beznadziejnego stada? A może za rok zgoli brwi i kupi sobie modną fabryczną twarz; maskę marki Yardley, Max Factor czy Ponds, ową standardową osobowość sprzedawaną w puszkach czy słojach weka?» Wpatrywałem się uważnie w jej młodziutką czystą twarz i przy najlepszych chęciach nie mogłem wyobrazić sobie zmian, jakich mogłyby w niej dokonać Drexelerska moralność wspólnie z przemysłem kosmetycznym; jak ona będzie wyglądała za pięć lat? A może jednak mimo wszystko bajkowa studnia byłaby dla Marty najlepszym rozwiązaniem, nawet wówczas gdy na dnie nie było dobrej wróżki?

Upłynęła chwila, zanim spojrzała na mnie. *Angel face*⁷ ale nie z fabryk Ponds, lecz z cudownie uszlachetniających zakładów życia, z sojuszu dwojga nie kochających się i nie pasujących do siebie ludzi, zawartego pewnej parnej nocy letniej.

– Ultimatum od mojej matki – powiedziała.

– Co pisze?

Podła mi list. Ręka jej drżała.

List pani Simons trudno było istotnie nazwać inaczej. Zawierał kilka zaledwie linijek, których treść sformułowana była aż nadto wyraźnie:

«Marto! Jeżeli nie wrócisz do domu dziś do godziny dziesiątej wieczorem, każe sprowadzić cię policyjnie jak prostytutkę. Twoja matka.»

Do tego więc doszło. Pani Simons jest prawdopodobnie jeszcze gorsza, niż sobie ją wyobrażałem. List był podły, obrzydliwy, pełen zawziętości, zdradzał prymitywny sposób myślenia autorki i jej głupią urażoną ambicję, nie mówiąc już o tym, że zawierał aż dwa błędy ortograficzne: sprowadzić napisane było przez «z», a prostytutka przez «ó» z kreską.

– Teraz sam pan widzi – powiedziała Marta cynicznie – oto moja matka we własnej osobie, niedelikatna, arogancka, nieuczciwa, wroga, jednym słowem – nie do wytrzymania. Nie jestem dla niej warta więcej niż jedną linijkę w liście! Ale kiedy chciała złapać De Vliegera, potrafiła wypisywać do niego czterostronicowe epistoły, i to tak ckliwe, że czytającemu robiło się mdło. Naturalnie wtedy weszła pieniądze, a dla pieniędzy z przyjemnością gotowa jest nawet upokorzyć się.

– Kto to jest De Vlieger?

– Dyrektor domu towarowego, z którym miała romans, zanim poznała Drexelera.

– I tobie dawała do czytania listy pisane do tamtego?

– Nie, ale raz znalazłam w jej koszu na papierach brudnopis takiego listu.

Zawstydzony patrzyłem w podłogę. Może to dziecinada z mojej strony, ale nie mogłem się wyzbyć uczucia, że w jakiś sposób ponoszę winę za nieuczciwość, głupotę i dwulicowość jej matki; wbrew własnemu przekonaniu zacząłem też dlatego bronić pani Simons.

– Nie powinnaś zapominać, w jak trudnym położeniu znalazła się twoja matka, kiedy ojciec pozostawił ją samą. Ludzie jej pokroju tracą w podobnych sytuacjach równowagę, stają się nieprzystępni i nieobliczalni w działaniu...

– I niesprawiedliwi.

– Tak, również niesprawiedliwi, choć nie zdają sobie z tego sprawy. A czy w końcu ten krótki list, to ultimatum, nie jest dowodem jej troski o ciebie?

– Nie troszczy się o mnie nawet w połowie tyle, ile o tego wilkołaka.

– No, teraz ty jesteś niesprawiedliwa – oburzyłem się.

– Zaraz pewnie powie pan jeszcze, że wcale nie miałam powodu do uciekania z domu – odparła i rozplakała się, a ja jakbym tylko na to czekał, przy pierwszych łzach postawiłem na podłodze teczkę i nie zastanawiając się, co robię – a poważylem się na gest niezwykle – ująłem jej rękę w dłoń i gładząc ją powiedziałem:

⁷ Anielska twarz (ang.)

– Nie płacz, Marto, już ja to wszystko załatwię. – Jej ręka była bezwolna i trochę wilgotna w dotyku. – Zaraz po kolacji pójdę do twojej matki. Zobaczysz, że okaże więcej rozsądku, niż przypuszczasz. No, ale teraz już nie płacz!

Przypomniałem sobie wczorajszy wieczór i jej samotną rozpacz, to łkanie dochodzące zza drzwi sypialni.

– No, przecież jesteśmy sojusznikami – wyszeptałem.

Oparła o mnie głowę, a ja otoczyłem ją ramieniem.

Znów poczułem zapach deszczu i świeżych owoców, ale teraz było to coś zupełnie innego niż w autobusie. To, było jak...”

– Jak deszcz złotych róż – przerwał z ironią przewodniczący. – Panie Jonas, czy nie mówił pan przedtem, że pisał pan dziennik – zapytał tonem poważnym.

– Owszem, panie przewodniczący. – Basile był zaskoczony pytaniem.

– Niechaj pan wobec tego przy okazji tam wpisze te swoje liryczne wynurzenia i kulturalno-historyczne dywagacje. Nas interesują tylko fakty. Przykro mi, że muszę panu ponownie o tym przypominać.

– Fakty, naturalnie, proszę wybaczyć – odparł cicho Basile. Pot spływał mu z czoła. „Fakty – pomyślał – *nothing but facts.*” I znów portret Kobry zaczął wydawać dziwny pomruk, a pan Vasalis oblizwał wargi z miną tak zadowoloną, jakby wreszcie udało mu się dowiedzieć o tym, o czym właśnie chciał się dowiedzieć od początku.

– Proszę nam zrelacjonować rozmowę z panią Simons.. Jeszcze tego samego wieczoru udał się pan do niej?

– Tak.

– O której godzinie?

„– Wsiadłem do autobusu piętnaście po siódmej, było zatem chyba wpół do ósmej, kiedy znalazłem się na rogu ulicy Gardenii. Panie Simons mieszkają w budynku usytuowanym między jednym a drugim przystankiem, naprzeciw szkoły fryzjerskiej. Przed domem stoi tablica z zakazem wyprzedzania. Marta specjalnie zwróciła moją uwagę na ten szczegół, abym mógł łatwiej trafić pod wskazany adres. Tablicę istotnie dostrzegłem z daleka, a również i to, że stał o nią oparty bagażowy wózek rowerowy. Zapewne jaskinia Iwa uzupełniała spiżarniane zapasy; na progu stał chłopiec w czapce posłańca i podawał komuś paczkę, nie mogłem jednak dojrzeć komu.

Widziałem tylko, że zniknął na chwilę w korytarzu, pewnie brał pokwitowanie. Zaraz potem wyszedł już bez paczki, wskoczył na rower i odjechał. Serce podeszło mi do gardła. Gdyby można uniknąć tej wizyty! A może jednak panna Baert pomyliła się, może ja wcale nie byłem donkiszotem, brak mi było przecież impulsywności, szlachetnej porywczowości. Moja rycerskość nie dosiadała rumaka, ale każdego ranka i wieczoru jeździła miejskim autobusem, trzykrotnie w ciągu dnia siadywała przy kuchennym stole, męcząc się nad heksametrami i Beethovenowskimi kadencjami. Takie było to moje bohaterstwo. Jeżeli burczenie kiszek jest skargą pustego żołądka, to moje bohaterstwo było burczeniem głodnej duszy. Obejrzałem się za dziewczętami idącymi do szkoły fryzjerskiej; rozgadane dzierlatki o fabrycznych twarzach i fryzurach a la Lynn-Pearl. Wysypałem z fajki żarzący się tytoń i rozdeptałem go na chodniku. W głębi duszy miałem jeszcze nadzieję, że nie zastanę pani Simons w domu. Bywa, że człowiek przychodząc do dentysty chwytą się najbardziej nieprawdopodobnych nadziei, że może godziny przyjęć zostały zmienione czy że ból zęba to – okazuje się – wcale nie ból zęba, ale przeziębienie, albo że lekarz jest bardzo zajęty i każe przyjść później. Próbowałem dodać sobie ducha, a kiedy wreszcie jako tako uspokoiłem się, ruszyłem szybko do drzwi i nacisnąłem dzwonek. «Boże – pomyślałem – gdzie się podziały moje zdania? Jak to było?» Myślałem o tym cały czas, jadąc autobusem, i teraz nagle uleciało mi wszystko z

pamięci. Miałem w głowie kompletną pustkę. Spojrzałem na swoje buty; były nie oczyszczone. Wyschłe ślady deszczu pozostawiły na brązowej skórze jasne cętki.

Podniosłem wzrok i ujrzałem przed sobą twarz kobiety w średnim wieku. Miała nos usiany jasnymi piegami. Mimo woli uśmiechnąłem się, ale ona nie odpowiedziała uśmiechem, tylko patrzyła na mnie jak na natrętnego reportera.

– Czy mam przyjemność z panią Simons?

– Tak, to ja – odparła.

Nie miała pospolitej twarzy. Przypominała mi kogoś, ale nie wiedziałem kogo, w każdym razie na pewno nie Martę.

– Nazywam się Jonas – powiedziałem. – Chciałbym z panią pomówić.

Bałem się jej oczu; głupoty, fałszu i nieuczciwości, które mógłbym zapewne wyczytać w jej wzroku, dlatego też patrzyłem na jej dekolt i na wspaniałą broszkę tkwiącą jak róża między piersiami. Był to cenny klejnot filigranowej roboty przypominający zapinkę frankońską. Kupno tej ozdoby zostało bez wątplenia zaksięgowane po stronie kosztów produkcji Koncernu Epp.

– O, mój Boże, cóż za beczelność – usłyszałem. – Pan ma odwagę tu się pokazywać?

Mój wzrok powędrował w dół ku brzegowi sukni, którą ciągnął powietrze w otwartych drzwiach wydymał, to znów opinał wokół jej kolan. Zadawałem sobie trwożliwie pytanie, co będzie dalej, ponieważ myśl moja przestała pracować, i po prostu nie znajdowałem słów, aby powiedzieć cokolwiek. Jedyne zdanie, jakie nasuwało mi się natrętnie, pasowało akurat jak pięść do nosa: «Ona kapituluje tylko przed pieniędzmi!»

– Proszę pani... – wyjąkałem.

– Pan chciałby zapewne pomówić o okupie? – wpadła mi w słowo.

– O okupie? O tym w ogóle nie ma mowy – odparłem – ważne jest, abyśmy mogli wyjaśnić to pożałowania godne nieporozumienie.

Mówiłem do niej, jak mówi się do kogoś, komu przydarzyło się nieszczęście, a więc spokojnie, tonem łagodnej perswazji. Właściwie nie umiałbym nawet wyjaśnić dlaczego. Był to zresztą oczywisty błąd; nie zaakceptowała tego tonu i roześmiała się szyderczo.

– Nieporozumienie? Co pan nazywa nieporozumieniem? Zakręcił pan w głowie mojej córce, wprowadza ją pan, buntuje przeciw matce, a potem mówi pan o nieporozumieniu? O, biedne moje dziecko! Bóg jeden wie, co pan z nią... – nagle umilkła i z uśmiechem na twarzy skłoniła się komuś, kto przechodził za moimi plecami. Uśmiech, jak nagle pojawił się na jej twarzy, tak szybko zgasł. A zatem kapitulowała nie tylko przed pieniędzmi, ale również przed opinią sąsiadów.

– Niech pan wejdzie na chwilę – powiedziała krótko.

Wpuściła mnie do przedpokoju. Pachniało tu jak w kościele: kurzem, nagimi murami i parafinowymi świecami, choć wewnątrz nie przypominało bynajmniej kościoła; dwa trzcinowe krzesła i stolik z kafelkowym blatem, na długim parapecie okiennym zauważyłem dużą butelkę po chianti służącą za wazon, w której tkwiło kilka gałązek sztucznej mimozy. Na stoliku obok paru numerów „Lady” leżała paczka przyniesiona zapewne przez chłopca w czapce posłańca. Sznurek z jednej strony był zsunięty, najwidoczniej w chwili gdy zadzwoniłem do drzwi, pani Simons zaczęła zdejmować opakowanie.

Nie zaproponowała, żebym usiadł. Staliśmy więc, a ja zebrawszy się na odwagę od razu zaatakowałem.

– Sama pani nie wierzy w to, co mówi. Gdybym istotnie tak nawet myślał, w mojej sytuacji nie mógłbym sobie pozwolić na to, aby zakręcić w głowie pani córce, a potem ją wprowadzić. Pani wie o tym doskonale: Marta uciekła z domu z własnej inicjatywy, ponieważ...

Zawahałem się. Teraz szło o to, by możliwie najstaranniej wyważyć każde słowo i od razu na wstępie nie zepsuć wszystkiego. Przede wszystkim nie mogłem powiedzieć nic, co mogłoby ją urazić. Prowokacyjnie przechyliła w bok głowę.

– Ponieważ? – powtórzyła.

– Ponieważ była narażana na nieustanne ataki ze strony jednego z przyjaciół domu – powiedziałem. – Uciekła, ponieważ, przejrzawszy jego nieuczciwe zamiary, chciała mu zejść z oczu.

– Ma pan na myśli pana Drexelera?

– Tak, mam na myśli pana Drexelera.

Patrząc na jej twarz nagle uświadomiłem sobie, kogo mi przypominała: królową Nefretete, piękną, dumną kamienną rzeźbę z osiemnastej dynastii, reprodukowaną w większości podręczników historii sztuki. „Kokieteryjna mumia” – pomyślałem.

– To po prostu śmieszne – odparła Kokieteryjna Mumia spoglądając na mnie wyniośle. – Czy pan w ogóle wie, kim jest pan Drexeler?

Pytanie zostało rzucone niczym rękawiczka. Nie pozostawało mi nic innego, jak podnieść ją.

– Tak – powiedziałem – wiem. Pan Drexeler jest przewodniczącym Izby Handlowej i generalnym dyrektorem Koncernu Epp.

– Jest pan dosyć dokładnie poinformowany, przynajmniej w tej mierze. Sądzi pan, że pan Drexeler zajmując takie stanowisko mógłby sobie pozwolić na zalecanie się do mojej córki?

– Pan Drexeler ma stosunki i pieniądze, proszę pani – zauważyłem spokojnie.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– To, że kto ma pieniądze i stosunki, może sobie na wszystko pozwalać. Po wszystko może sięgać i po wszystkich, bez najmniejszych trudności, a gdyby nawet coś miało mu się nie powieść, zawsze przecież można sprawę zatuszować.

Moja odpowiedź zaskoczyła panią Simons; zbladła, a piegi na nosie stały się jeszcze bardziej widoczne. Nie mogłem oprzeć się przemożnej chęci, aby w cichości ducha nie opatrzyć tego widoku homeryckim epitafium: piegowata Nefretete.

– Panie Jonas – powiedziała tonem spokojnym, przyglądając suknię upierścienionymi dłońmi – niech mi pan oszczędzi swego grubiaństwa. Nie ma pan prawa obrażać naszych przyjaciół.

Powinienem przecież pamiętać, że skoro przeszliśmy już do zdań cywilizowanych, reżyserowanych, tchnących kulturą zamrażalni oraz KOBIECĄ W SPOŁECZEŃSTWIE DNIA JUTRZEJSZEGO, do zdań nacechowanych patosem z comiesięcznej rubryki pod tytułem „Rozmowy z naszymi popularnymi aktorkami” – nie dorosłem przecież do mojej rozmówczynie.

– Bardzo mi przykro, nie miałem bynajmniej zamiaru kogokolwiek obrażać – rzekłem pojednawczo. – Chciałem jedynie powiedzieć przez to, że pan Drexeler z tytułu zajmowanego stanowiska może sobie pozwolić na korzystanie z pewnych przywilejów, których ja...

Gdzieś w głębi domu zadźwięczał telefon. Nie zdążyłem dokończyć zdania, kiedy piegowata Nefretete odwróciła się i bez słowa usprawiedliwienia bezszelestnie odeszła po gąbczastym chodniku o barwie ciemnego kakao. Otworzyła drzwi i pozostawiła je lekko uchylone. Słyszałem, że podniosła słuchawkę. Jak większość ludzi zmieniała do telefonu głos, mówiła w sposób afektowany, przesadnie artykułując głoski. Byłem przekonany, że podczas rozmowy stroiła do słuchawki miny w zależności od potrzeby i nastroju. Nadstawiłem ucha. Może to Drexeler telefonował?

– Jakie zaproszenia? – usłyszałem pytanie. – Ach tak, przyniesiono mi je przed kilkoma minutami... Ile? Nie wiem, jeszcze nie otworzyłam paczki...

Słuchałem i rozglądałem się. Na ścianie z lewej strony wisiało coś w rodzaju dyplomu oprawnego w niegustowną ramę; barwnym zaś akcentem, rozjaśniającym wnękę koło okna,

było dzieło, prawdopodobnie pędzla Engelmana, naturalnie higieniczne, do dobrego tonu bowiem należało snobowanie się na ową postępową oszczędność w formie, na cocktailową konwersację o modnych filozofach, o terapii wstrząsów i o *American way of living*.

– To byłoby bardzo miłe z twojej strony, ostatnio mam tyle na głowie, nie masz pojęcia... co mówisz? – zapytała pani Simons. – Dobrze, każę ci je zanieść. Dostaniesz je prawdopodobnie jutro. Dziś to zupełnie niemożliwe...

Podszedłem do stolika i rzuciłem pobieżnie okiem na czasopisma. I tu jej styl: na okładce Lynn Pearl, seksbomba numer 1 pod palmami Miami Beach w podniecającym kostiumie kąpielowym, jakiego jednak nie odważyłaby się przywdziać prawdziwa dama.

– Tak, możesz spokojnie zadzwonić. Nadal nic nowego od Hermana?

Pomyślałem, że to jednak chyba nie Drexeler. Ciekawe, czy ona ma biały telefon. Na pewno, jest znacznie szykowniejszy niż czarny. Znów spojrzałem na moje popryskane buty i korzystając z przedłużającego się czekania, szybko wytarłem je chustką do nosa. Ledwie zdążyłem chustkę wetknąć do kieszeni, wróciła pani Simons. Była trochę roztargniona. Wyczuwałem nawet, że będzie się starała spławić mnie pod jakimś pozorem. Idąc wolno w moją stronę powiedziała:

– Właściwie nie widzę, o czym jeszcze mielibyśmy mówić. Jeżeli Marta otrzymała mój list, wie, o co chodzi. Nie zmienię decyzji, a pan, szanowny panie, nie ma prawa do tego się mieszać. Zapomniał pan chyba, że moja córka nie jest pełnoletnia i tylko mnie przysługuje prawo decydowania o tym, co powinna, a czego nie powinna robić.

Mówiła teraz spokojnie, nie podnosząc głosu, tym razem bez poprzedniej afektacji, przy czym cały czas spoglądała na paczkę leżącą na stole, mówiła niejako do paczki. Nie byłem dla niej obiektem dość interesującym, któremu warto byłoby poświęcić więcej uwagi. Któż trwoniłby czas na rozmowę z niedorzecznym belfrem, kiedy czeka stos zaproszeń na przyjęcie, pokaz mody czy wykład o KOBIECIE W SPOŁECZEŃSTWIE DNIA JUTRZEJSZEGO.

– Nawet przez chwilę nie zamierzam podawać tego prawa w wątpliwość – odparłem spokojnie i nagle odnalazłem właściwe słowa, wypowiadałem je, jakbym czytał z książki. – Obawiam się jedynie, że mogła pani podjąć błędną decyzję. Od nauczyciela oczekuje się również, że będzie czuwał nad młodymi ludźmi powierzonymi jego opiece. Dlatego właśnie uważam za swój obowiązek zwrócić na ten fakt pani uwagę: naraża pani córkę – jeśli chodzi o stronę moralną – na poważne niebezpieczeństwo, jak długo ten pan Drexeler będzie znajdował się w jej pobliżu. Marta była dość długo w mojej klasie, bym mógł ją dobrze poznać; zawsze należała do najbardziej uprzejmych, zdyscyplinowanych i posłusznych uczennic, to spokojna, trochę zamknięta w sobie dziewczyna, ale przy tym miła i nie zepsuta. Teraz jednakże osiągnęła ten wiek krytyczny, w którym dziewczęta powinny być traktowane z dużą dozą cierpliwości, rozwagi i zrozumienia.

Nie pozwoliła mi nawet wypowiedzieć się do końca. Przechyliła głowę do tyłu i przesuając na palcu jeden z kosztownych pierścionków, głosem zbolalym powiedziała:

– Mój panie, nie potrzebuje mi pan udzielać nauk. Znam moją córkę dłużej niż pan, a chyba także i dużo lepiej. To głupie i w dodatku zarozumiałe stworzenie. Nie cierpi pana Drexelera, i to wszystko. Nie podobał się jej od początku; szczerze mówiąc, nie rozumiem dlaczego; zawsze był dla niej bardzo uprzejmy i traktował ją nieomal jak własną córkę. Kto może zrozumieć te dziewczyny? Jak raz się uprzedzą do kogoś... Niestety, będzie musiała się z tym pogodzić dla własnego dobra: pan Drexeler na moją prośbę zgodził się przyjąć kuratelę nad Martą.

– Kuratelę? Nad Martą?

– Tak. Aż do osiągnięcia przez nią pełnoletności będzie miał nad nią pieczę w zastępstwie ojca.

– Przecież nie może pani tak po prostu pozbawiać pana Simonsa należnych mu praw ojcowskich – odparłem.

Odpowiedziała po chwili wahania. Rzęsy jej zadrżały, nie patrzyła już na paczkę, ale gdzieś obok mnie, na drzwi.

– To wcale nie jest potrzebne. Mój mąż nie żyje.

– Nie żyje? Ależ... – wyjąkałem – myślałem, że wyemigrował do Brazylii?

– Owszem – odparła i zacisnęła usta. – A pan pewnie myśli, że w Brazylii się nie umiera? – zaśmiała się ostro, nieprzyjemnie, jak przed drzwiami, zanim mnie wpuściła do mieszkania; może tylko tym razem już nie tak nienawistnie. – Od wielu lat nie miałam o nim wiadomości, aż na początku czerwca otrzymałam list z naszej ambasady w Rio. Zawiadomiono mnie, że mój mąż zmarł w lutym na malarię.

Dom nagle zadrgał od narastającego łoskotu silników ciężkich pojazdów. Nietrudno było nawet rozpoznać, że jadą czołgi. Wolny Zachód rozwijał szeregi. Przypomniałem sobie nawet kilka zdań z gazety na ten temat: PARLAMENT ZATWIERDZIŁ NOWY BUDŻET NA CELE OBRONNE KRAJU, GENERAL PLOVE W SWYM PRZEMÓWIENIU DAŁ WYRAZ POWAŻNEJ TROSCE O NIEWYSTARCZAJĄCY POTENCJAŁ MILITARNY BLOKU ZACHODNIEGO...

Włożyłem rękę do kieszeni płaszcza, ale natychmiast ją wyjąłem.

– Nic mi o tym nie mówiła – odpowiedziałem.

– Ona nie wie. Przemilczałam to przed nią. Tak jest lepiej. Nie pamięta już ojca, wszystko to było tak dawno; prawie siedem lat minęło, a dzieci zapominają szybko. Dla niej był już od dawna kimś, kto umarł.

Patrzyłem w milczeniu na lśniącą różę między jej piersiami. Było to mistrzowskie pociągnięcie, bardzo zręcznie, zaaranżowane, choć coś mi się w tym wydawało nie w porządku.

– Jest pani zatem zdecydowana popchnąć córkę do zguby. Przez tego człowieka... – Powinienem właściwie powiedzieć «dla pieniędzy», ale nie chciałem być gruboskórny. Grubiaństwem nikogo jeszcze nie przywiodło się do rozsądku.

– Jestem w każdym razie zdecydowana nie ustąpić w tej sprawie ani na jotę – oświadczyła.

– Co pani przez to rozumie?

Dudnienie silników ucichło, czołgi przejechały. Pijany mężczyzna wykrzykiwał coś na ulicy ochryplym głosem, jakby dobywającym się ze starego walizkowego gramofonu. Nie mogłem rozróżnić poszczególnych słów, ale ten głos denerwował mnie i dlatego niecierpliwym tonem powtórzyłem pytanie.

– Co pani przez to rozumie?

– To, że oczywiście nie omieszkam podjąć właściwych kroków – odpowiedziała. Zabrzmiało to jak ponura groźba; bardziej jednak niż słowa przeraził mnie sposób, w jaki na mnie spojrzała.

– Co zamierza pani zrobić? – zapytałem trochę zgnębiony.

Spojrzała na zegarek.

– Nie muszę właściwie panu zdawać z tego rachunku. – Najbardziej ponura groźba nie byłaby w stanie przyprawić mnie o uczucie takiego strachu, jak nienawiść w jej oczach. – To pan jest mi winien wyjaśnienie. Pomylił pan role.

– Przede wszystkim powinniśmy zdawać rachunek wobec własnego sumienia. – Zadowolony byłem z siebie, że udało mi się wypowiedzieć to bez goryczy. Ale cóż z tego, już było za późno. Moje słowa do niej nie dotarły. Patrzyłem, jak jej twarz zamykała się powoli przede mną, niczym kielich trującego kwiatu. Widziałem tylko ten zamknięty kielich i pomyślałem: «Teraz zamyka się też jej sumienie, a że dzieje się to tyle razy w ciągu dnia, może już nawet umarło od uduszenia.» Sumienie musi oddychać, sumienie to płuca wyższej

świadomości człowieka. Milczenie, głupie uparte milczenie i bezpodstawna nienawiść, emanująca z oczu pani Simons, dotykały mnie do żywego. Nie mogłem bronić się przed tą ciszą i nienawiścią ani słowem, ani gestem; upokarzały mnie one, czyniły bezsilnym, ujmowały powagi rozmowie. Na ulicy też zrobiło się cicho; mężczyzna o głosie z His-Masters-Voice odszedł. Zrezygnowany odwróciłem się od pani Simons, dodając jeszcze:

– Ponieważ pani nie chce okazać dobrej woli, czuję się obowiązany próbować dotrzeć do pana Drexelera. Może zgodzi się na rozmowę – powiedziałem z trudem panując nad wzburzeniem.

– Musi się pan wobec tego pospieszyć. Zgodnie z moim ultimatum, pozostały panu tylko dwie godziny.

Zrobiłem kilka kroków w stronę drzwi i ściągając mocniej pasek płaszcza, powiedziałem bez odwracania głowy:

– Nie wierzę, aby mogła pani coś takiego zrobić.

– Nie wierzy pan? Naprawdę?

– Nie. Niemożliwe, żeby zależało pani na skandalu, przeciwnie...

– Jak to? Dlaczego przeciwnie?

– Bo wówczas sama znalazłaby się pani w niezręcznej sytuacji. Pani i pan Drexeler.

Kąciki jej ust drgnęły nerwowo; ten tik psuł całą jej pozę.

– Pan naprawdę myśli, że ja dam się zastraszyć? Jest pan nie tylko arogantem, ale w dodatku jeszcze głupcem.

Spojrzałem na jej kosztowną biżuterię: na broszkę, na pierścionki. Pomyślałem sobie o jej niefraszobliwej przeszłości, o błędach ortograficznych w liście, o Marcie i właściwie poczułem dla niej litość. Ta kobieta zajdzie daleko, o wiele dalej niż ja, którego zawsze spotykają tylko niepowodzenia, a mimo wszystko litowałem się nie nad sobą, a nad nią.

Z wzrokiem utkwionym w chodnik koloru mocnego kakao i z ręką na klamce, powiedziałem może nazbyt uroczyście, ale życzliwie:

– Mam nadzieję, że nigdy nie będzie pani musiała robić sobie wyrzutów z tego powodu. Byłoby mi przykro zarówno ze względu na panią, jak i na Martę. Do widzenia.

Znalazłszy się znów na ulicy, udałem się w niewłaściwym kierunku. Dostrzegłem pomyłkę, dopiero kiedy mijałem następny blok mieszkalny. Zatrzymałem się niezdecydowany. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pójść do Drexelera, czy dla dobra sprawy nie zdobyć się jednak na tę ostatnią, desperacką próbę, ale sama myśl o tym przyprawiała mnie o mdłości i budziła tyle oporów, że w końcu zrezygnowałem. Zresztą i tak pewnie nic by z tej rozmowy nie wyszło. U pani Simons miałem jeszcze przynajmniej nadzieję, że moja stanowczość zrobi na niej wrażenie; chciałem, by uwierzyła, że ja też nie ulękę się w tej sprawie niczego.

Przygnębiony szedłem ulicą powoli; tu i ówdzie nawierzchnia pozrywana była gąsienicami czołgów. Wszedłem do kawiarni na rogu, zamówiłem filiżankę kawy i zanim ją otrzymałem, przyglądałem się kilku żołnierzom zajęтым grą przy automatach. Zdjęli pasy i zawiesili je sobie na szyjach jak stuły; klęli, śmieli się, spierali ze sobą, hałasowali, ale to mi nie przeszkadzało. Sprawiali wrażenie zdrowych, okrutnych i szczęśliwych ludzi. Patrząc na nich przypominałem sobie bezlitosne słowa, jakie kiedyś wyczytałem w jednej z książek Grahama Greene'a: «Wskaż mi szczęśliwego człowieka, a udowodnię ci, że jego szczęście składa się z nazbyt pochlebnego o sobie mniemania, egoizmu i złościwości albo z całkowitej nieświadomości.»

Było wpół do dziewiątej, kiedy wyszedłem z kawiarni i wsiałem do autobusu jadącego w stronę mego domu. Nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji, co robić dalej. Jadąc patrzyłem zdumiony przez okno na mijane ulice, domy, place, jakbym je widział po raz pierwszy. Przed Teatrem Narodowym stały wozy TV transmitujące wybory Miss Dolar. Wokół samochodów tłoczył się na chodniku tłum gapiów. Patrząc na nich oczyma wyobraźni widziałem

starożytnych Rzymian tłumnie ciągnących do Colosseum i do Circus Maximus, widziałem zmysłowość, upojenie, próżność, całą procesję ludzkich namiętności zdążającą ku upadkowi. Niewiele zmieniło się od tamtych czasów, prawie wszystko pozostało, jak było: widowiska, targi niewolników, domy publiczne, tyle tylko, że cywilizowane i bardziej obłudne. Historia zupełnie niepotrzebnie nadłożyła taki szmat drogi. Podałem bilet; po raz pierwszy czułem wzbierający we mnie bunt. Przeciw czemu – nie wiem – przeciw wszystkiemu i każdemu, przeciw przesytności i nędzy, przeciw niedoskonałości życia i doskonałości śmierci, przeciw bezsensowi tego, co uchwytnie, i nieuchwytności bezsensu, przeciw owym ogniom, których brak w łańcuchu między ludzkimi pragnieniami a wiecznością. Za szklaną taflą szyby, o którą się opierałem, szumiał gwarny, upalny wieczór niby wzbierające wody tropikalnego strumienia.

Pomyślałem: «Będzie jeszcze wiele dni, ale żadnej już niedzieli.» Za oknem autobusu przesuwały się oświetlone wystawy Handlowego Centrum Północ, wizytówki zachodniego dobrobytu.

Obok mnie usiadła jakaś kobieta. Biła od niej woń kamfory, potu i biedy. Chętnie zapytałbym tę kobietę, ja, KOBIECĘ W SPOŁECZEŃSTWIE DNIA JUTRZEJSZEGO, czy ona też buntowała się kiedy przeciw czemuś. Pytanie to paliło mi usta, ale skoro przyjrzałem się lepiej mojej współtowarzyszce autobusowej podróży, zauważyłem, że wygląda ona podobnie jak żołnierze w kawiarni na istotę zdrową, okrutną i szczęśliwą; pojąłem zatem, że moje pytanie byłoby równie nie na miejscu i bez sensu, jak ów objazd, jaki zrobiła historia nakładając niepotrzebnie drogi na trasie od teatru Nerona do Teatru Narodowego.

Wysiadłem na Placu Wolności. Patrzyłem za odjeżdżającym autobusem, który okrążył plac, i myślałem jeszcze o kobiecie; ona pojechała dalej, a ja doznałem uczucia, że autobus i siedząca w nim pasażerka objadają nie plac, ale życie, z którego wysadzili mnie w środku drogi.

Powróciwszy do domu otwierałem właśnie drzwi, kiedy jakaś niewidzialna ręka zapaliła dla mnie światło na korytarzu. Był to pan Kaak, wyszedł ze stróżówki i zamierzał wejść na schody. Spotkania z nim były mi zawsze przyjemne, nie dlatego, żebym miał szczególną ochotę na rozmowę, ale po prostu z przyjemnością na niego patrzyłem. Z wyglądu przypominał operetkowego Cygana: smagła cera, długie, czarne włosy, które chyba podfarbowywał sobie zawsze, płomienne oczy, przy tym stale nosił jaskrawe koszule, czerwone albo żółte. Do kompletu brakowało tylko kolczyków w uszach. Liczył sobie sześćdziesiąt dwa czy trzy lata, ale nie wyglądał na tyle, można by mu dać najwyżej pięćdziesiąt.

Wsiedliśmy razem do windy.

– Byłem na telewizji – powiedział – transmitowali wybory Miss Dolar. Nie mogę niestety zbyt długo przebywać poza domem. Bobo nie lubi samotności, a jak wpadnie w zły humor... No, pan pewnie to słyszy...

Bobo to małpa, jego małpiatka z Madagaskaru. Skinąłem na potwierdzenie głową. Zauważyłem, że pan Kaak miał pękniętą dolną wargę.

– Diabelnie ładne dziewczyny tam były – dodał.

– Hm...

– To nie była defilada manekinów wystawowych.

– No, z pewnością nie.

Myślamy byłem całkiem gdzie indziej, ale on tego nie spostrzegł i ciągnął dalej:

– Wie pan, kto zasiadał w jury?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Ten słynny Drexler. Pan chyba zna skandal z bunkrami?

Brzmienie tego nazwiska poraziło mnie jak prąd elektryczny; doznałem szolcu, krew uderzyła mi do głowy.

– Czyżby został również ekspertem od kobiet? – zapytałem siląc się na możliwie obojętny ton, a równocześnie stwierdziłem z ulgą, że winda już się zatrzymała.

– Czy ja wiem. Ekspertem od dolarów to on jest w każdym razie na pewno – odparł pan Kaak i otworzył mi drzwi.

Wyszedłem, powiedziałem „dobranoc”. Winda pochłonęła głos pana Kaaka. Słysząc było tylko, że jadąc w górę śpiewał coś jak pijany anioł, a może śmiał się do siebie. Są ludzie wiecznie oczekujący wielkiego szczęścia, które nigdy nie stanie się ich udziałem. Czekają na nie, choć nie będzie im dane go zaznać, albowiem słońce nie świeci dla ubogich duchem.

Idąc korytarzem zdejmowałem płaszcz. «Johan Drexeler i Miss Dolar, symboliczne skojarzenie – pomyślałem. – Mój ojciec tak często to powtarzał, że nigdy tego nie zapomnę: „Pieniądze i kobiety rządzą światem!” Matka mówiła, że to frazes. Mieli rację oboje: ojciec i matka.» Nasłuchiwałem. Było cicho. Może Marta zasnęła? Z niespokojnie bijącym sercem wszedłem do ciemnego pokoju.

– Halo! – powiedziałem przyciszonym głosem.

Na dźwięk własnego głosu, trochę ochryplego i w ciemnościach brzęącego prawie obco, zbudziło się we mnie przecucie, niby złośliwe zwierzę, któremu przerwano sen.

– Halo! – powtórzyłem raz jeszcze, ale odpowiedzi nie było. Serce mi się ścisnęło. Nerwowo zacząłem szukać kontaktu i nagle światło jak burza wdarło się do pokoju. Rozejrzałem się dookoła: było pusto. Słyszałem, że na górze pan Kaak wszedł do mieszkania, słyszałem trzask zapalanej świecy, śmiech pijanego anioła i skrzekliwy wrzask Bobo.

Zawiedziony wróciłem do przedpokoju. Teraz nie miałem już wątpliwości: jej żakiet od kostiumu i teczka, która przed moim wyjściem stała pod wieszakiem, zniknęły. Próbowałem zastanowić się, co się stało, dlaczego i dokąd odeszła? Mogłem wprawdzie snuć dowolne hipotezy, ale myśl moja wracała do najbardziej prawdopodobnego przypuszczenia: przyjaciółka korespondencyjna z Tulonu.

Oparłem się o futrynę drzwi. Stojąc tak zatrzymałem wzrok na etykiecie firmowej mego płaszcza przyszytej na podszewce: między słowami „Sizalcoat” i „Waterproof” był żaglowiec osadzony na falistej linii, mającej symbolizować morze. Stateczek chybotął się na wzburzonej fali moich myśli i płynął do portu w Tulonie. Poczuję się oszukany. Wróciłem do pokoju i niezdecydowanie rozglądając się dookoła, dostrzegłem na biurku list. Usiadłem. Była to kartka wydarta z zeszytu, niemal cała zapisana nerwowym dziewczęcym pismem. Zanim zacząłem czytać, podniosłem papier ku światłu, aby zobaczyć wodny znak. Nie było na nim ani rolnika siewcy, ani dziewczyny zbierającej kłosa, ani wagi, nie, nic z tych rzeczy: był jak zwykle *elephants triumphans* ze znakiem Pyrrusa. Zakreśliło mi się w oczach. Tryumfujący słoń! Nieostrzegalna groźba stała się realnym niebezpieczeństwem. Oto znak na ścianie: «Połączcie wszystką waszą niemoc, martwi bracia...» Gdzie byli moi bracia, poczciwe świniopasy? Czyżby zmarli wszyscy? Może wszyscy byli na czarnej liście? Czyżbym pozostał sam jeden w kurnej chacie życia, którą za chwilę stratuja słońce?

Kartka drżała w mojej ręce. Położyłem ją na biurku. «Drogi Panie» – czytałem poruszony. Zawiadamiła mnie, że podczas mojej nieobecności postanowiła wrócić do matki, aby nie być mi ciężarem. «Przez cały czas myślałam, że byłoby okropne, gdyby wina za to wszystko miała obciążyć pana i gdyby właśnie pan musiał za to odpokutować. A do tego będzie dążyła moja matka, ponieważ mnie zaszkodzić nie może, to jasne. Będzie starała się chociaż zniesławić pana, i to nie dlatego, że potrzebny jej kozioł ofiarny, ale dlatego, że ma po prostu zły charakter. Otóż właśnie to zrujnowałoby moje całe życie, ponieważ nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka tak godnego podziwu, szlachetnego i prawego jak pan.» Na końcu był dopisek: «Niech się pan o mnie nie martwi, jakoś dam sobie radę. Najgorsze, co może mnie spotkać, to to, że – być może – zostanę zmuszona do okazania uległości temu wilkołakowi, ale od tego, jak widać, nie umiera się, nawet przeciwnie, nigdy jeszcze nie widziałam, by matka moja wyglądała tak kwitnąco jak teraz.»

Czytałem list i zrobiło mi się niedobrze. Właściwie nie czytałem, ja te słowa słyszałem. Słyszałem głos dziewczyny nieśmiało, trochę rozwlekłe wypowiadającej słowa dziwne, nie pasujące ani do jej ust, ani wieku; głos, w którym czasem obcym dźwiękiem zadrgało tajone uczucie czy tłumione wzburzenie.

A zatem przyjęła ultimatum i zdecydowała się wrócić do domu z własnej woli. Miałem przed oczyma ten dom: chodnik o barwie kakao, higieniczny obraz pędzla Engelmana w przedpokoju przesyconym wonią kurzu, nagich murów i parafinowych świec. Mogłem też wyobrazić sobie, co powiedziała na powitanie uciekinierki piegowata Nefretete: «A, więc jesteś, ty dziwko! Wyrzucił cię ten twój rycerski amant?» – słowa jak smagnięcie batem, nie te poprawne, cywilizowane, gładkie, o nie, cisnęła jej w twarz z gruba ciosane słowa z brudnego słownika na użytek domowy.

Z wolna ustępowało uczucie mdłości. Kiedy tak siedziałem, nagle zadrżały ściany; przez sufit wdarły się w ciszę głucho dudniące rytmy dzikiego jazzu. Szlagier Buffelheadów. Pan Kaak nastawił radio fortissimo, a melodii z głośnika towarzyszyły wrzaski i histeryczny werbel w wykonaniu małpiatki.

W takim samym tempie, w jakim cywilizacja opanowywała dżunglę, dżungla rozprzestrzeniała się w cywilizowanym świecie, a to, że dwa te prądy krzyżując się z sobą w sercu Europy nie niszczyły się wzajem, zaliczyć można do najdziwniejszych anomalii historycznych obecnego stulecia.

Czekałem cierpliwie w nadziei, że wreszcie popękają głośniki u pana Kaaka, kiedy jednak po upływie pół godziny nadzieje moje nie ziściły się, wstałem i podszedłem do okna.

Wpół drogi nadepnąłem na coś twardego, co zatrzeszczało pod moim butem. Schyliłem się, aby podnieść ów przedmiot; był to szkaradny fetysz, wisiołek z kości słoniowej, stwierdziłem, że łańcuszek był rozerwany, z czego wywnioskowałem, że Marta musiała go zgubić bezpośrednio przed wyjściem z domu. Zafascynował mnie ten mały, biały słoń. Przełożyłem go do drugiej ręki, patrząc nań zastanawiałem się, dlaczego do tej pory tak mnie denerwował. Teraz, kiedy leżał na mojej dłoni, byłem nim oczarowany. Czyżby dlatego, że nabrał w moim życiu specjalnego znaczenia? Był symbolem: biały słoń wśród szarego stada. Symbol naszej słabości, samotności, wspólnego pragnienia prawdy, trwały znak naszego przymierza.

Postanowiłem zatrzymać go sobie.”

Można by pomyśleć, że pan Opdael się modli: miał oczy zamknięte i poruszał wargami. Naturalnie tak to tylko wyglądało, w rzeczywistości bowiem modlitwa, podobnie jak poezja, muzyka czy przyjaźń, uznana została za czynnik hamujący. Mieszaniec nadczłowieka z człowiekiem utipro może być członkiem oficjalnej podkomisji tylko wtedy, jeżeli należy do tak zwanej „higienicznej grupy krwi”, do owej grupy, która nie reaguje na uczucia subtelne. Wszelkie takie uczucia wpływają hamująco na postęp odbudowy idealnego społeczeństwa. Pan Opdael w sposób widoczny zadawał sobie wiele trudu, aby uchodzić i być naprawdę idealnym przedstawicielem idealnego społeczeństwa, a jeżeli nie o każdej porze dnia mu się to udawało, winę należało nie jemu przypisać, ale właśnie społeczeństwu. W pewnym sensie przypominał inwalidę z drewnianą nogą, startującego do biegu na czterysta metrów z przeszkodami.

Przewodniczący znów zaczął pukać długopisem; pan Opdael otworzył oczy i nie odwracając głowy spojrzął w prawą stronę tak daleko, jak w tej pozycji było to możliwe. Basile stwierdził, że ma na gałce ocznej małą krwawą wybroczynę. A ile takich wybroczyn miał na sumieniu? Ile razy musiał posłusznie stawać na baczność, służyć i podawać łapę, od czasu kiedy został mianowany członkiem komisji?

Przewodniczący przerwał pukanie w stół i pochylił się do przodu. Nawet sposób, w jaki się pochylił, miał w sobie coś bezosobowego. Mimo iż w obecnej pozycji twarz jego znalazła

się bliżej twarzy Basile'a, to uczuciowo – jeśli w ogóle wiedział, co to są uczucia – zachował jeszcze większy dystans niż poprzednio.

– Czy ma pan jeszcze w kieszeni ten wisiołek? Może pan nam go pokazać?

Obydwa ławnicy w nadziei, że obejrzą małego białego słonika, też pochylili się ku przodowi.

– Został mi skonfiskowany – odparł Basile. – Przez sąd – dodał.

– A... list panny Simons, ma pan może jeszcze?

– List również mi odebrano.

Przewodniczący zagryził dolną wargę. Pomyślał przez chwilę, po czym uzupełnił wcześniej wyrażoną myśl:

– Byłoby pożądanym, ażebyśmy mogli ten list zobaczyć – zwrócił się do sąsiada z prawej strony.

– Jest to w każdym razie ważny dokument – potwierdził natychmiast za przewodniczącym pan Vasalis.

– Zechciałby pan, panie Vasalis, skontaktować się w tej sprawie z kancelarią?

– Zaraz podejmę odpowiednie kroki, panie przewodniczący – odpowiedział indagowany; jego młodzieńcza twarz wyrażała zdecydowanie. Widoczne było, że należycie docenia wagę otrzymanego polecenia. Zaciskał usta, aby ukryć uśmiech zadowolenia.

– Wróćmy zatem do faktów – powiedział przewodniczący. Powoli i cierpliwie, jak robak w mięszu jabłka, drążył sobie drogę w gąszczu faktów.

– Czy zanim został pan aresztowany, widział się pan jeszcze z panną Simons?

– Nie, panie przewodniczący. W ostatnim dniu zajęć w szkole źle się poczułem i zostałem w domu, a potem zaczynały się już wakacje i nie miałem okazji do zobaczenia Marty.

– Był pan naprawdę chory czy też symulował pan złe samopoczucie?

– Byłem chory. Obudziłem się z potwornym bólem głowy i w ogóle czułem się okropnie.

Przewodniczący zmarszczył brwi i kilkakrotnie zapukał długopisem w popielniczkę.

– Kiedy został pan aresztowany?

– Czwartego dnia wakacji, to było w środę po południu.

– Naturalnie od razu wiedział pan dlaczego?

– Tego właśnie nie wiedziałem – odparł Basile. – Sądziłem... – zamilkł. Położył rękę na czole... – Przepraszam... czuję się ogromnie zmęczony.

– Bardzo mi przykro, ale musimy kontynuować. A zatem, co pan sądzi?

Kobra zaczął mruzczyć. Basile spojrzał w tę stronę i zobaczył błazeńsko uśmiechnięte usta. Poczł pustkę w głowie. O niczym innym w tej chwili nie myślał, jak tylko o fali gorąca, którą poczuł najpierw w brzuchu, potem powoli ogarnęła jego żołądek, wreszcie wstrzymał oddech, dopóki nie ustąpiła.

– Początkowo myślałem, że to rezultat rewizji przeprowadzonej w moim mieszkaniu, że miało to jakiś związek z czarną listą. Nic dziwnego chyba, że najpierw pomyślałem o tym. Dopiero kiedy siedziałem na ławce w korytarzu Pałacu Sprawiedliwości, obrazowo mówiąc i dosłownie, otworzyły mi się oczy...

– Jak to dosłownie?

„– Kazano nam czekać około pół godziny w korytarzu. Towarzyszący mi inspektor zaproponował papierosa. Ponieważ zapomniałem zabrać ze sobą fajkę i tytoń, chętnie skorzystałem z jego propozycji. Ten uprzejmy gest dodał mi trochę otuchy. Odczekawszy chwilę postanowiłem zapytać go, czy nie wie, o co jestem oskarżony.

– Nie. Nie wiem – odpowiedział – dowie się pan niedługo.

W końcu korytarza otworzyły się drzwi, elegancki mężczyzna, o władczym spojrzeniu i donośnym głose, gestykulując ręką, w której trzymał okulary w grubej rogowej oprawie, wyprowadzał z pokoju uważnie słuchającego jego słów łysego pana. Człowiek z okularami –

najpewniej urzędnik – kontynuował rozmowę jeszcze w korytarzu, przy czym raz po raz podchodził do pana z łysiną i wysunąwszy do przodu zausznicę okularów, mierzył z nich niby z pistoletu w jego pierś. Łysy pan, niższy od urzędnika, stał z przewieszonym przez ramię kosztownym płaszczem szkockim, mówiąc niewiele; zachowywał się tak, jakby bez chwili zwłoki musiał udać się w wiadome miejsce.

Spojrzałem bez szczególnego zainteresowania w ich stronę i nagle coś, sam nie wiedziałem co, zafrapowało mnie, a kiedy mężczyzna z łysiną odwrócił głowę, doznałem Szoku. Popiół z papierosa spadł mi na spodnie, ale byłem nazbyt podniecony, aby zwracać uwagę na taki drobiazg. Nigdy dotychczas nie widziałem go na własne oczy, zazwyczaj tylko w telewizji albo w prasie, mimo to poznałem natychmiast. Serce podeszło mi do gardła i biło nawet w moich słowach, kiedy powiedziałem do inspektora:

– Tak, teraz już wiem wszystko.

– Co pan wie? – zapytał.

– O co jestem oskarżony – odparłem nie spuszczać wzroku z łysiego mężczyzny. – Czy ten łysy to nie jest pan Drexeler?

Spojrzał za moim wzrokiem.

– Oczywiście, to jest pan Drexeler, przewodniczący Izby Handlowej – potwierdził.

– Często tu przychodzi?

– Czasami, nieregularnie – odpowiedział inspektor.

– A kim jest ten drugi?

– To sędzia śledczy.

– Sędzia śledczy – wyszeptalem do siebie. – A jak się nazywa?

– Galie.

Oszołomiony wpatrywałem się w mężczyznę z okularami, który właśnie wymienił niezwykle serdeczny uścisk dłoni z przyszłym prawnym opiekunem Marty. Rozdeptałem pod ławką niedopałek papierosa. Starłem się za wszelką cenę zachować spokój, mimo iż myślałem: „Basile’u Jonas, teraz wybiła twoja godzina.” To głupie, ale nie przewidziałem, że wrogowie też mogą zawrzeć przymierze. Teraz wyraźniej niż kiedykolwiek widziałem już wszystkie powiązania i wiedziałem, co mnie czeka: z zimną krwią zetną mi głowę. Pieniądze i władza, podstawowe filary Świętego Monstrum, zjednoczyły się przeciw „ostatnim w pochodzie”, przeciw kongregacji ludzkich sumień. Stało się to nie dlatego, że bezpieczeństwo Świętego Monstrum zostało zagrożone, lecz dlatego, że kongregacja taka była ołtarzem wzniesionym ku czci ludzkiego sumienia i dlatego, że w tak zwanym „wolnym świecie” nikt nie ma prawa wznosić nikomu ani niczemu ołtarzy, jeżeli nie uzyskał przedtem zezwolenia Świętego Monstrum. Mimo woli pomyślałem o słowach kanonika Lemaire: «Nawet ujarzmiona prawda pozostaje prawdą niezwykłą.» Kanonik Lemaire zbiegł z chińskich więzień, aby zakopać się w katakumbach Zachodu! Jego słowa podobne nikłemu promieniowi światła, płynącego z wysokości dachowego okna, przenikały do mego serca; starałem się usilnie zachować w sobie wiarę, że nie mam powodu do popadania w zwątpienie.

Johan Drexeler minął nas nie odwracając głowy, nawet nie spojrzał w naszą stronę. Przeszedł obok, jak pieniądze przechodzą obok miłości. Spuściłem oczy i patrzyłem na jego duże stopy, tkwiące w czarnych, wyczyszczonych do lustrzanego połysku pantoflach, i wyobraziłem go sobie idącego tak, przepychającego się przez życie, jakby cały świat do niego należał; jakby chciał odcisnąć w woskowej warstwie historii każdy ślad swego kroku. Zmuszałem się, żeby nie patrzeć na niego, nie widzieć tej twarzy, a zwłaszcza oczu. Ludzkie oczy napawały mnie w ogóle lękiem, ale jeżeli chodzi o Drexelera, to przekonany byłem, że jego wzrok przyprawiłby mnie natychmiast o chorobę.

Bez ruchu i z pokorą – niczym niewolnik prawdy przykuty łańcuchem do własnego sumienia – siedziałem na ławce i czekałem, aż przejdzie. Kiedy wreszcie usłyszałem z

drugiego końca korytarza, że schodzi ze schodów, odetchnąłem zadowolony, że jednak nie spojrzałem na niego.

W chwilę potem zostałem wprowadzony do gabinetu sędziego śledczego. Sędzia Galie miał szczeciniaste ryże brwi, bardziej blond niż rude sumiaste wąsy i miękko zarysowany, śmiesznie mały podbródek. Odniosłem wrażenie, jakbym go już kiedyś, kiedy jeszcze chodziłem do kina, widywał dosyć często w angielskich szpiegowskich albo wojennych filmach, i to w mundurze pułkownika *Her Majesty's Army*. Irytowała mnie zwłaszcza jego niezwykle krótka broda. Trudno było po prostu oprzeć się wrażeniu, że dolna część jego twarzy ukształtowana została po partacku, a on, mając pełną świadomość niedoskonałych proporcji własnej fizjonomii, usiłował tuszować je przez eksponowanie górnej, bardziej udanej części. Zauważyłem to zresztą już wtedy, kiedy stojąc na korytarzu gestykułował energicznie i wkładał na nos okulary w szylkretowej oprawie. Teraz stałem przed nim i pomyślałem sobie, że człowiek ten może wystąpić wobec mnie w trzech różnych wcieleniach: jako nieugięty funkcjonariusz, któremu kodeks karny służy za poduszkę, jako sojusznik Drexelera i wreszcie jako ojciec Elwiry. Zastanawiałem się, w której z tych trzech wersji okazałby się dla mnie najbardziej niebezpieczny. Przy stoliku ustawionym w głębi pokoju siedział przy elektrycznej maszynie do pisania młody, blady człowiek. Maszyna i obsługujący ją młodzieniec tworzyli razem jeden z owych nigdy nie nasyconych automatów, które chwytają w swe tryby indywidua szczególnie wrażliwe, miażdżą je i wypluwają w postaci akt. Sędzia śledczy ustawił mnie na niewidzialnej taśmie transportera i przesunął w stronę automatycznego molocha, blady młody człowiek wkręcił mnie w tryby maszyny, która zarejestrowała moje personalia. Po dokonaniu czynności, zwanej spisaniem personaliów, automat przesunął mnie znów w stronę sędziego śledczego i zaczęło się właściwe przesłuchanie. Teraz dostałem się w ręce urzędnika. Początek zatem nie był najgorszy; lepiej, że był to urzędnik, niż na przykład sojusznik Drexelera albo ojciec Elwiry.

– Pani Simons wniosła przeciw panu skargę. Chodzi o uprowadzenie i o uwiedzenie jej nieletniej córki Marty, która nota bene jest jedną z pańskich uczennic. Czy przyznaje się pan do popełnienia wymienionych czynów?

– To oskarżenie jest dla mnie obelgą, ono znieważa mnie, panie sędzio – powiedziałem.

– Zaprzecza pan zatem?

– Tak.

Maszyna do pisania zaczęła działać. Notowała. Twarz młodego człowieka, pochylonego nad klawiaturą, nabrała żywszej barwy; był całkowicie pochłonięty pracą, stanowił niejako część maszyny i nawet razem z nią się zagrzewał.

– To nierozsądne zważywszy na fakt, że istnieją dowody i świadkowie – krótko stwierdził sędzia.

Zaskoczony spoglądałem na jego ręce; żółtawe, prosto obcięte paznokcie przypominały kościaną okładzinę na klawiszach pianina.

– Świadkowie – powiedziałem – tak, wiem, kogo pan ma na myśli: dyrektora Walfischa, panią Neefs, pana Drexelera...

– Wydaje się zatem, że pan dobrze wie, do czego zmierzamy – powiedział sędzia.

– Tak. Nawet wiem, dokąd pan zmierza.

Zbył milczeniem moją uwagę. Zrozumiałem, że nie chciał zniżać się do mego poziomu, i nagle poczułem do niego tak palącą odrazę, że zapomniałem o postanowieniu, iż będę służył prawdzie bez względu na upokorzenia, jakich miałbym doznać.

– Są też świadkowie obrony – odparłem wzburzony i wymieniłem nazwiska panny Baert i kanonika Lemaire. W chwili gdy o nich mówiłem, nie pomyślałem nawet, że mogę narazić ich na kłopoty. Sędzia zapewnił mnie, że moi świadkowie też zostaną przesłuchani; szedł mi na rękę, a zatem trzeba było mieć się na baczności.

– A dowody? – zapytałem.

Bez słowa otworzył teczkę z aktami i wyjął z niej mały, zapisany świstek papieru. «Teraz urzędnika zastępuje sojusznik Drexelera – pomyślałem – a ten z pewnością nie tylko przepuści mnie przez tryby, ale zmiażdży bez pardonu.» Nie pomyliłem się.

– Mam przed sobą świadectwo lekarskie, wystawione dopiero przedwczoraj przez lekarza domowego pani Simons. Jest to oficjalne stwierdzenie, że nie dalej jak przed czternastu dniami panna Simons została pozbawiona dziewictwa. Zrozumiałe jest, że takie stwierdzenie poważnie pana obciąża.

Zaniemówiłem. Na takie łajdactwo nie byłem przygotowany. Ciekawiło mnie, czy lekarz został po prostu wciągnięty do spisku, czy też dziewczyna ze wstydu i lęku nie wyznała mi, że Drexeler wykorzystał ją wówczas w wiejskiej rezydencji.

– To jest ohydne – wyjąkałem. – Oświadczenie lekarza jest niezgodne z prawdą. Postępuje pan niesłusznie traktując je poważnie.

– Nigdy nie postępuję niesłusznie – odparł sędzia lakonicznie. – Słuszność jest zawsze po stronie prawa, a ja reprezentuję prawo.

– To ohydne – powtórzyłem. – Żądam ponownego badania lekarskiego.

Młody człowiek wkręcił w maszynę nowy arkusz papieru. Patrząc na niego odczuwałem nieprzepartą chęć, by powiedzieć coś bezwstydnego, coś szokującego, co pozostałoby na papierze niczym trwale oskarżenie, niczym hańbiąca plama na zdławionym sumieniu sług Świętego Monstrum. Nie znalazłszy jednak właściwych słów, zrezygnowałem.

– Ponowne badanie może być przeprowadzone jedynie za zgodą rodziców – wyjaśnił sędzia – w tym przypadku matki i prawnego opiekuna dziewczyny. 1

– Tak, rozumiem. Jestem bezbronny i wydany na łaskę prawa, po stronie którego jest zawsze słuszność.

– Dlatego właśnie nie musi się pan denerwować, panie Jonas. Oskarżonemu też przysługują prawa, których nikt nie może go pozbawić, i zapewniam pana, że prawa te zostaną panu w całej rozciągłości zagwarantowane. Śledztwo będzie prowadzone z największą skrupulatnością.

Po zaaplikowaniu mi tej śmiesznej pigułki, mającej mnie uspokoić, sędzia zdjął okulary i powiedział:

– Mam nadzieję, że uda mi się w najbliższym terminie skonfrontować pana z panną Simons, chociaż, muszę wyznać, wiele po tym nie oczekuję. Dotychczasowe zeznania panny Simons nie mają dla mnie zbyt wielkiej wagi. Ta młoda osoba jest chyba nieco egzaltowana. Właśnie wczoraj przesłuchiwałem ją i jeszcze bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, że jej zeznaniom brak obiektywizmu. Żeby powiedzieć jaśniej: odnoszę wrażenie, że z pańskiej inspiracji zrodziło się w niej niezdrowe uczucie i że wykorzystał pan swój ujemny zresztą wpływ na nią, aby uczynić ją sobie powolną. – Umilkł i przez chwilę patrzył mi badawczo w oczy, ponieważ jednak nie zareagowałem na to słowem ani gestem, wskazał mi miejsce, prosząc, ażebym usiadł. Usiadłem i w tej samej chwili wyłączyłem się całkowicie. Po prostu przestałem słuchać, co do mnie mówił. Z tego, o czym dowiedziałem się przed chwilą, mogłem w każdym razie wywnioskować, że Marta mnie nie zawiodła. A czy obawiałem się tego? Nie wiem. Wiem w każdym razie, że teraz czułem się tym bardziej z nią związany. Nie skapitulowała zatem, nieustraszenie szła przez długą noc, pewne więc ponad wszelką wątpliwość było, że spotkamy się u wrót do wieczności.

Maszyna terkotała; młodzieniec o wysokich, szczupłych ramionach wkręcał do niej coraz nowe arkusze papieru. Przez pewien czas słyszałem tylko ten dźwięk dochodzący z głębi pokoju, podobny nieustannemu szumowi wieczności, do której tak tęskniłem. Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność. Nieobecny myślami odpowiadałem na zadawane mi pytania mechanicznie, jakby wszystko to było dla mnie nieważne. Myślałem w tym czasie o różnych błahych sprawach i rzeczach, jakie wyobrażenia przywodziła na pamięć, jawiąc mi przed oczyma obraz szkoły, twarze dyrektora Walfischa, Kociej Skórki, Stubbego, panny De Paep,

koleżanek klasowych Marty z ich naiwnymi, figlarnymi albo agresywnymi spojrzeniami, oczy Lei Grootaer, Gilberty Verlinden, Elwiry Galie. Widziałem labirynt chłodnych korytarzy łączących sale klas, boisko... Myślałem o tym i o owym, zresztą bez żadnego związku ze sprawą, a pytania sędziego osaczały mnie tymczasem, okrążały niczym szeregi zdyscyplinowanych podlotków w białych gimnastycznych kostiumach. Mówiłem „tak” albo „nie” i to, że udowodnienie samych zamiarów jest niemożliwe, aż wreszcie wyskoczył ku mnie z gąszczy cywilizowanej dżungli lew wegetarianin: sympatie prokomunistyczne, zdrada stanu... – co usłyszawszy zrezygnowałem całkiem z dalszej obrony i nie odezwałem się już ani słowem. Przypomniała mi się opinia sędziego śledczego wyrażona wobec dyrektora, który mi ją potem powtórzył. Otóż człowiek ten, urzędnik o niezłomnych zasadach, ocenił moje wystąpienie w szkole jako niewłaściwe; jego zdaniem nie powinienem czytać w klasie własnych wierszy. Jako filar wzorowego technokratycznego państwa uznawał jedynie Eggerwalda i innych przedstawicieli nowych kierunków w sztuce, których nazwiska oznaczone były na liście zalecanych autorów dwiema gwiazdkami. Jakże mogły znaleźć łaskę w jego oczach liryczne wynurzenia jakiegoś komunistycznego indywidualisty?

– Panie Jonas...

Podniosłem wzrok. Sędzia przez dosyć długą chwilę patrzył na mnie, jakby rozważając, do której rubryki należałoby mnie zakwalifikować. Serce uderzyło mi mocniej. Byłem prawie pewny, że zaraz obwieści mi coś ważnego, ciekaw byłem tylko, kto w tym, co zostanie mi zakomunikowane, dojdzie do głosu: rygorystyczny urzędnik, sojusznik Drexelera czy ojciec Elwiry?

– Panie Jonas – odezwał się po raz wtóry – pańskie spojrzenie w moim odczuciu ma w sobie coś ze spojrzenia Kasjusza.

– Kasjusza?

Podniósł się z miejsca, podszedł do okna i patrząc na ulicę powiedział cedząc słowa wolno, a przy tym z fatalnym akcentem:

– *Yond Cassius has a lean and hungry look, he thinks too much, such men are dangerous.*⁸

Byłem zaskoczony, że w ogóle czytał Szekspira, a przy tym nawet poważyl się cytować go głośno. Szekspira przecież nie było na liście zalecanych autorów, nazbyt bowiem brutalnie demaskował słabość i niedoskonałość ludzkiej natury, podczas gdy według definicji Eggerwalda człowiek jest „absolutnym superlatywem”.

Sędzia spojrzał na mnie wymownie, niejako prowokując mnie do repliki. Odpowiedziałem więc:

– *I do not think too much. I love too much.*⁹

Maszyna do pisania umilkła. Młody człowiek podniósł głowę: dostrzegłem wyraz niezdecydowania w jego twarzy. Uszło to uwagi sędziego, ale ja domyśliłem się przyczyny tej nagłej konsternacji i, aby mu dopomóc, powiedziałem:

– Too pisze się przez dwa o.”

– *A lean and hungry look*, to bardzo znamienne – stwierdził pan Vasalis obrzucając Basile’a surowym spojrzeniem.

– Tylko szkoda, że to z Szekspira – wtrącił pan Opdael.

– A kto mówi, że to z Szekspira? – zapytał pan Vasalis. – Równie dobrze może być z Kerouaca czy Osborne’a.

– Niech sobie będzie – zgodził się pan Opdael osłaniając usta ręką dla ukrycia, że ziewa.

⁸ Ten Kasjusz wygląda chudo i głodno, snadź za wiele myśli, z takimi ludźmi niebezpiecznie (Juliusz Cezar, przeł. J. Paszkowski)

⁹ Nie myślę za wiele, kocham za wiele (jw.)

– Proszę panów... – upomniał ławników przewodniczący. – Jeżeli zaczniemy wdawać się w literackie dywagacje, nie zdążymy przed trzecią na lunch. – Podsunął w górę mankiet koszuli i spojrzął na zegarek. – Z Szekspira, Osborne’a czy Agaty Christie, to przecież nie jest ważne, skąd pochodzi ten cytat. Sędzia śledczy chciał zapewne w ten sposób wyrazić, że uważa pana Jonasa za człowieka niebezpiecznego. I teraz też tylko o to idzie, zresztą ważniejsze od tego, kto jest autorem cytatu, jest jego zakończenie: „*such men are dangerous*”.

Zapadła cisza. Pan Vasalis znów zaczął się pocić. Wyjął chustkę i składając ją powiedział:

– Jeżeli sędzia śledczy był istotnie przekonany o tym, to jak wobec tego wytłumaczy pan fakt, że pan Jonas nie został po przesłuchaniu zatrzymany? Człowieka niebezpiecznego nie pozostawia się przecież na wolności!

– Wyjaśnienie tego nie do nas należy, panie Vasalis – przywołał go do porządku przewodniczący. – Nasze zadanie ogranicza się do zebrania faktów, a ich interpretację pozostawmy już Radzie Pedagogicznej.

Wyraźnie zbity z tropu pan Vasalis umilkł. Chustkę, której nawet nie użył, włożył na powrót do kieszeni. I znów zapadło milczenie. Przewodniczący przeglądał poczynione uprzednio na marginesie akt uwagi i wreszcie powiedział:

– Sądzę, że możemy przejść od razu do ostatniego punktu, a mianowicie do samego procesu. Nie zajmie nam to dużo czasu, ponieważ mamy kopie akt sądowych. Zobaczmy zatem...

Basile wsparł dłoń na kolanach. Opuścił wzrok i spojrzenie jego padło na widoczne pod stołem nogi przewodniczącego, na ostro zaprasowane kanty spodni; ostro i bezbłędnie jak słowa i gesty tego człowieka. I nagle ujrzał sam siebie: siedzi na ławie oskarżonych w sali rozpraw, słaby, poniżony, niewinny, przerażony, on, Basile Jonas, z autentycznym nieomal poczuciem winy w obliczu wszystkich tych surowych, wrogich, groźnych i obojętnych spojrzeń ludzi reprezentujących prawo i prawdę. Z zamętem w głowie opiera się o balustradę, aby zamienić kilka słów ze swym obrońcą. Sala szumi. Rozgląda się po amfiteatrze, ale widzi tylko niewyraźne zarysy twarzy, których jego krótkowzroczne oczy nie są w stanie rozpoznać, i wydaje mu się, że znalazł się nie w sądzie na ławie oskarżonych, ale w łoży teatralnej. Wrażenie to nie opuściło go nawet wówczas, gdy na podium zajął miejsca wysoki sąd i otworzył rozprawę. Słuchał ze znudzeniem napuszonych monologów, wygłaszanych przez aktorów tego monstrualnego widowiska, a rzecz była o niejakim Basile’u Jonasie, nauczycielu, osobniku zdeprawowanym, pisującym wiersze i grywającym na skrzypcach, który w becznych zamiarach zwabił do swego pokoju dziewczynę, i to w dodatku własną uczennicę. Do rzeczywistości przywołało go dopiero nazwisko matki i ojca wypowiedziane głośno przez sędziego; nagle z całą brutalnością wróciła świadomość, że to on sam znalazł się w punkcie centralnym akcji tej sztuki i w milczeniu grał swoją główną rolę. Aktorzy dalej wygłaszali swoje kwestie, otwierali groby jego rodziców, wdzierali się do jego przeszłości jak do obskurnego domu, otwierali drzwi sypialni i buszując wszędzie odnajdywali rzeczy, jakich tam nigdy nie było; biegali po mrocznych zakamarkach jego wyobraźni, odzierali go z uczuć, karykaturowali je, imputowali mu wszelkie możliwe kompleksy, jakie ludzkość zdołała wymyślić od czasu Freuda. Melodramat przy zamkniętych drzwiach.

– Czy pan Drexeler poparł wówczas oskarżenie wniesione przez panią Simons?

– Tak jest, panie przewodniczący. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu została mu bowiem sądownie przyznana opieka prawna nad Martą. W ten sposób zyskał naturalnie duży atut dla siebie. Aby zapobiec skandalowi, do jakiego mogłoby dojść, gdyby Marta zechciała publicznie potwierdzić swoje zeznania, zaczął już wcześniej działać za kulisami tej całej historii. Wszystko gruntownie przemyślał; przyznane mu prawo opieki nad Martą upoważniało go do występowania wraz z jej matką w roli strony oskarżającej, innymi słowy: zyskał tytuł do oficjalnego reprezentowania interesów Marty. Występował zatem w jej

imieniu przeciw mnie *de facto* i *de iure*. Trzeba przyznać, że niezwykle zręcznie udało mu się zamienić role: z napastnika sam stał się nagle obrońcą, czyniąc z rzeczywistego obrońcy – napastnika. W tej sytuacji zeznanie Marty obciążające Drexelera wszyscy uznali za co najmniej przesadzone; jej słowa bardziej go obrażały, niż oskarżały. Zeznawała nawet na własną niekorzyść, a kiedy wreszcie wystąpiła w mojej obronie, jej wypowiedź nie zaskoczyła sali ani wzburzyła, po prostu wzbudziła ogólną wesołość. Prokurator z uśmiechem na twarzy, teatralnym gestem wznosił obydwie ręce do góry, co miało wyrażać ubolewanie – i chociaż nie powiedział przy tym ani słowa, dla wszystkich jasne było, co miał na myśli: ta młoda osoba upadła na głowę. Kiedy wreszcie bezradna Marta zaczęła płakać z gniewu, uznano jej reakcję za dowód egzaltacji, co zresztą już w czasie wizyty Drexelera u sędziego śledczego zostało mu starannie zasugerowane, aby w odpowiedniej chwili móc się na to powołać. Przykro było patrzeć i słuchać, w jaki sposób pod pozorem prawa zdławiono i ośmieszono prawdę. Nie mogłem dłużej na to patrzeć. Ukryłem twarz w dłoniach i pomyślałem: *tirez le rideau, la jarce est jouée*.¹⁰

Farsa przy drzwiach zamkniętych. Drexeler nalegał, aby proces odbywał się przy zamkniętych drzwiach, bo chociaż starannie przygotował swój *coup de théâtre*, wolał mieć całkowitą pewność. Po skandalu z bunkrami nie mógł ryzykować, nie wolno było dopuścić, aby jego nazwisko raz jeszcze miało znaleźć się na łamach prasy w związku z tak niesmaczną aferą; bezpieczniej było nie wpuszczać publiczności ani prasy na salę. Czy można było w stu procentach przewidzieć, że na przykład jakiś dowcipny dziennikarz nie zechce pogrzebać w sprawie głębiej. Nie ulegało wątpliwości jedno: sprawa Basile’a Jonasa nie powinna nabrać rozgłosu i nie nabrała. Ściany sali sądowej okazały się dostatecznie hermetyczne.

– Czytając zeznania panny Baert i kanonika Lemaire – ciągnął przewodniczący – stwierdziłem, że wypowiedzi ich cechowała duża powściągliwość. W jednym punkcie były one nawet całkowicie sprzeczne z tym, co pan nam tu powiedział. Na przykład na pytanie sędziego, czy prawdą jest, jakoby zwracał się pan do nich o pomoc w znalezieniu tymczasowego pomieszczenia dla panny Simons, panna Baert zaprzeczyła, zaś kanonik dał odpowiedź wymijającą. To co najmniej dziwne. Chyba nie zechce pan twierdzić, że świadkowie ci zeznawali pod presją. To byłoby nazbyt naiwne, czyż nie tak?

– Tak. Prawda jest mniej skomplikowana. Oni po prostu bali się i to tłumaczy wszystko. Panna Baert i kanonik Lemaire należą do „ostatnich w pochodzie”. Czy pan wie, co to znaczy? Znaczy to, że czują się zagrożeni przez państwo, które ochrania silnych, a tępi słabych, zagrożeni przez społeczeństwo, które hołduje zbiorowym selekcjom. Jedyne sposoby obrony, aby nie stać się łupem tego społeczeństwa, to właśnie ukryć się, zaszyć we własny strach i tchórzostwo, utwierdzić w sobie poczucie własnej nieprzydatności. Może przypomina pan sobie słowa panny Baert: „Zrobią z pana tchórze, jak go zrobili ze mnie. Tchórze albo pariasa.” To jest właśnie nieuniknione następstwo *Utility-and-Profit-Moral*: z odważnych robić tchórze, a z tchórze bohaterów! *And thus they make cowards of us all*¹¹. Szekspir i jeszcze raz Szekspir! Przepraszam. Oto cała prawda, panie przewodniczący: panna Baert bała się, bo jej nazwisko znajduje się na czarnej liście, i kłamała, ponieważ brak jej było odwagi, aby mówić prawdę. Kanonik Lemaire też się bał, że ujawniając kryptokatolicyzm prezesa Izby Handlowej, mógłby skompromitować go. Czy pamięta pan, co powiedział: „Mam nadzieję, że nie zażąda pan ode mnie, abym podejmował jakiegokolwiek kroki przeciw panu Drexelerowi? Jestem w szczególnie trudnej sytuacji i muszę niestety myśleć o sobie.” Jego trudna sytuacja to pieniądze obiecane mu przez Drexelera dla potrzeb kongregacji. Może lękał się też, że mógłby sprowadzić na kościół infamię. Człowiek nie dorósł do tego, aby w pojedynkę stawić czoło takiej przemocy. Ogarnięty strachem, osaczony, godzi się na największe nawet upokorzenie, odwraca wzrok od prawdy. Jeśli jest kanonikiem i nazywa się

¹⁰ Spuście kurtynę, farsa skończona (fr.)

¹¹ Tak to oni czynią nas tchórzami (nieściśle cytując z Hamleta, przeł. J. Paszkowski)

Lemaire, najwyżej może zasiąść przy organach w swym opuszczonym kościele, uderzyć w klawisze, włączyć wszystkie rejestry, próbować zagłuszyć własne sumienie i w tej straszliwej samotności wśród ludzi znaleźć się bliżej Boga, o ile jeszcze w ogóle w Boga wierzy. Chwyta się kurczowo muzyki, chociaż i to nie ujdzie mu bezkarnie; przecież i Bóg, i muzyka są tabu.

Trudno powiedzieć, czego trzymał się kurczowo kanonik Lemaire, kiedy zasiadłszy na ławie dla świadków, zwrócił ku sędziom swą zmęczoną twarz. Zjawił się na sali w stroju duchownego, może dlatego, żeby nie uchybić szacownemu gronu, a może, aby wytrwać do końca w tym, czego wartość sam zresztą kiedyś podnosił: w biernej uległości wobec przemocy. Gdy tak siedział z podniesioną głową i skrzyżowanymi rękami, wydawało się, jakby postanowił na własne oczy popatrzeć na względność światowego ładu, jakby nastawiał swoją wiarę na właściwą długość fal ponad głowami obecnych na sali.

Basile z zapartym tchem słuchał jego wypowiedzi. Od początku wiedział, że zarówno kanonik, jak panna Baert wyprą się, zaprzeczą wszystkiemu, ale nie miał im tego za złe. Niczego innego nie oczekiwał po nich. Tam gdzie istnieje ucisk, każdy jest niewolnikiem samego siebie, Kanonik Lemaire złożył Bogu siebie w ofierze, ale jego cień-niewolnik siedział na ławie dla świadków i spokojnie odpowiadał na pytania przewodniczącego kompletu sędziowskiego. Kiedy wreszcie powłóczęc nogami wychodził z sali ze spuszczoną głową, jak zawstydzony chłopak, nawet na nikogo nie spojrział. Basile patrzył za wychodzącym, współczuł mu nawet, ale w piersi czuł, jak uderzenia młotem każde słowo panny Baert, powtórzone przez nią jako jego słowa: „Nigdy nie wolno nam rezygnować, ponieważ my jesteśmy sumieniem świata, my jesteśmy ostatnimi w pochodzie.” Teraz dopiero pojął, że były to czcze frazesy, jakimi klerykalna prasa fetowała męczenników powracających z komunistycznych Chin, historyczne slogany, którymi Kościół pozdrowiał i balsamował swych wiernych, pokonanych „ostatnich w pochodzie”. Kanonik Lemaire rzucił się łakomie na te komunały, ponieważ w chińskich więzieniach był źle traktowany i szykanowany za wiarę w Chrystusa. Kiedy jednak powrócił do ojczyzny, nikt tu już nie wymawiał imienia Chrystus, zaś cierpienia, jakich tam doznał, ukazane zostały w szerszym kontekście; nawet nie, wiedział, że to on sam reprezentuje sumienie świata, albo inaczej mówiąc: że przyjął na siebie cierpienia całej ludzkości i stał się niejaka symbolem jedności narodów dźwigających jarzmo politycznej niewoli. Jego posłannictwo przerosło tym samym posłannictwo Kościoła i objawiło się niczym promienista tęcza, rozpięta nad ziemią. Tak właśnie było: kanonik Lemaire stworzył sobie sumienie z własnych rozczarowań, z pamfletowej literatury „Rzymskich Kurantów” i „Katolickiej Gazety Porannej”.

– Chciałbym jeszcze wrócić do tego, dlaczego proces odbywał się bez publiczności. Otóż pan przypuszcza, jakoby decyzja taka podjęta została na interwencję Drexelera, a nie bierze pan – jak mi się wydaje – pod uwagę najbliższej prawdzie przyczyny. Można było przewidzieć, że sprawa wywoła sensację, burzliwe komentarze, chodzi mi o pytanie, czy panna Simons została uwiedziona, czy nie, a jeśli tak, to w jakich okolicznościach, gdzie i przez kogo. Ze względu na drastyczność samego problemu wydaje się, że podjęcie takich środków okazało się ze wszech miar usprawiedliwione. Na ile mogę wnioskować z akt sądowych, nie wyjaśniono tego w sposób jednoznaczny. Lekarz domowy, powołany przez stronę skarżącą na świadka, podtrzymał zdecydowanie poprzednio wydaną opinię, mimo to panna Simons uparcie obstawała przy twierdzeniu, jakoby nigdy dotąd nie miała z żadnym mężczyzną stosunku płciowego. Pan Drexeler przyznał, że istotnie zabrał dziewczynę raz do swej wiejskiej rezydencji, nie kierował się jednakże przy tym żadnymi ubocznymi intencjami i kategorycznie zaprzeczył insynuacjom tej młodej osoby, sugerującej, jakoby próbował ją tam uwieść. A pan, panie Jonas, też upiera się przy swoim, że obcując bliżej z panną Simons nie nawiązał pan z nią żadnego intymnego stosunku. Co można z tego wszystkiego wnioskować? Konfrontacja tych zagmatwanych i sprzecznych ze sobą wypowiedzi nie przybliżyła nas nawet o krok do prawdy. Z drugiej strony, i to zostało już w czasie procesu

stwierdzone, poważnie obciąża pana podany przez lekarza czas, w jakim zgodnie z jego atestem, miał miejsce czyn, o dokonanie którego jest pan oskarżony. Wycieczka pana Drexelera z panną Simons miała miejsce na miesiąc przed badaniem lekarskim i żadna z zainteresowanych stron tego nie neguje. Tym samym jednak podejrzenie spada na pana, zwłaszcza że początek całej tej historii z udzieleniem pannie Simons schronienia przypada właśnie na ten okres. Może pan oczywiście twierdzić, że zbieżność dat jest tu przypadkowa, może pan wysunąć nawet trzecią alternatywę i przypisać odpowiedzialność za to, co się stało, jakiemuś nieznanemu adoratorowi panny Simons, jednakże proszę nie mieć nam za złe, że ani w pańskich zeznaniach, ani w faktach, jakie rzeczywiście miały miejsce, nie dopatrzyliśmy się przekonującego dowodu pańskiej niewinności.

Basile słuchał słów przewodniczącego oszołomiony; dyszał każde uderzenie własnego tętna, dudniącego mu w uszach, na przemian z dziwnym pomrukiem Kobry. Doszedł teraz do wniosku, że nie pozostaje właściwie nic innego, jak pokora wobec tak kunsztownie zmontowanego oskarżenia, kategorycznie domagającego się orzeczenia winy i kary. Podobnie jak teraz czuł się, kiedy po raz pierwszy odczytano mu wyrok skazujący na dwa lata więzienia.

– Jak mógłbym mieć panom cokolwiek za złe – powiedział. – Panowie nawet nie dali mi ku temu sposobności.

– Co pan ma na myśli?

– Myślę, że metoda, według której panowie gromadzą fakty, przypomina mi sposób, jaki zwykliśmy praktykować w szkole podstawowej przy zbieraniu kasztanów. Waliło się wtedy kijami w gałęzie, strząsając przy tym więcej liści niż kasztanów. Sposób, w jaki zgromadzone fakty rozdziela się pomiędzy osoby za nie odpowiedzialne, też jest podobny do tamtego szkolnego, stosowanego przy rozdziale zdobytych kasztanów: dwa dla mnie – jeden dla Jana, dwa dla mnie – jeden dla Fransa...

Wtedy też nie można było mieć za złe niczego, bowiem ten, który kasztany rozdzielał, był najsilniejszy z nas. Nazywał się nawet Josef De Staercke¹², samo nazwisko mówiło za siebie. Musieliśmy uznać w nim naszego przywódcę, bo nie tylko był najsilniejszy ze wszystkich chłopców, ale i najbardziej brutalny. Już dziesięcioletnie dziecko wie, że nie najuczciwsi i nie najmądrzejsi zostają przywódcami, ale najsilniejsi i najbardziej brutalni.

– Tak właśnie powinno być – stwierdził przewodniczący. – Pocziwcy są na ogół słabeuszami, a jeśli w dodatku są mądrzy, stają się idealistami albo utopistami. Społeczeństwu nie trzeba takich przywódców, bo społeczeństwo to rzeczywistość, a rzeczywistości nie można budować z sennych marzeń. Nawet tak romantyczny lekkoduch jak Björnson otwarcie to przyznał. „Świat gardzi słabeuszami – oznajmił kiedyś – świat żywi podziw dla siły, nawet jeżeli miałyby ona pochodzić od diabła.” Spojrzał na przeguby swych rąk i uśmiechnął się cynicznie. – Widzi pan, panie Jonas, nie obawiamy się przyswajając sobie poglądów i tych autorów, którzy nie znajdują się na liście zalecanych lektur.

Pan Vasalis poparł słowa przewodniczącego zagadkowym uśmiechem chińskiego mandaryna; nawet w powulkanizowanej twarzy pana Opdael rozblęskło ożywienie. Prawdopodobnie zastanawiał się w tej chwili, czy jego lunch nie okaże się przypadkiem sennym marzeniem w tej gloryfikowanej przez przewodniczącego rzeczywistości.

– Czy chciałby pan jeszcze coś dodać do złożonych wyjaśnień?

– Ani dodać, ani ująć, panie przewodniczący.

Słowa pożeglowały w ciszę jak żółtozielone obłoki po burzy, która przeszła bokiem. Basile postanowił, że po powrocie do domu przede wszystkim weźmie kąpiel. Aż dziwne, że w ogóle mógł teraz myśleć o domu i kąpeli, jakby nie istniały sprawy ważniejsze. A może nie istniały naprawdę? Może właśnie dom, kąpiel i łóżko są dla człowieka, nie mogącego

¹² Silny (holend.)

znaleźć swego miejsca w cywilizowanym społeczeństwie, jedynym miejscem, gdzie może on jeszcze być sam? Wodopojem białego słonia.

– Jeszcze jakieś pytania, panie Vasalis?

– Nie, panie przewodniczący.

– Pan Opdael?

Pan Opdael też nie miał więcej pytań. Przewodniczący zamknął teczkę z dokumentami.

– No, to skończyliśmy już z panem, panie Jonas. Dziękujemy za pomoc i współpracę. Być może, jeszcze w tym tygodniu otrzyma pan zaproszenie na badania psychotechniczne. O terminie zostanie pan w odpowiednim czasie powiadomiony. W każdym razie proszę być na to przygotowanym.

Przedstawienie dobiegło końca, *managers of fear* odsunęli swoje krzesła, otrzepali z ubrań niewidoczny pył, włożyli płaszcze i ustawili się w rzędzie, jakby gotowi byli za pół godziny odlecieć do Londynu albo Genewy i tam znów w charakterze członków jakiejś komisji zbierać wszystko jedno jakie fakty w sprawie obojętnie jakiego nauczyciela, dotkniętego aberracją, jakiegoś indywidualistycznego komunisty albo też homo-yeti.

Basile też wstał ze swego miejsca. Ociągał się z wyjściem, czekał, aż przewodniczący spojrzy na niego, i wtedy zapytał:

– Czy zostanę zwolniony z pracy?

– Podejmowanie kroków dyscyplinarnych nie leży w naszej kompetencji. O tym musi zdecydować Rada Pedagogiczna – odparł przewodniczący cofając się w stronę ściany, do której wreszcie dobrnąwszy odwrócił się i przesunął w bok portret Kobry. Obraz maskował skrytkę z umieszczonym w niej magnetofonem. Basile nie wierzył własnym oczom. A więc cała rozmowa została nagrana na taśmę. Nie było wprawdzie dla nikogo tajemnicą, że Święte Monstrum posługuje się podobnymi środkami, a i sama metoda nie była bynajmniej nowa, zaś czarne listy i ukryte magnetofony należały do normalnego wyposażenia nowoczesnego totalitarnego państwa, mimo to nawet przez chwilę nie pomyślał o takiej możliwości.

Basile stał obok, wcale nie krępowało ich, że patrzył, pozwalali mu patrzeć. Pan Vasalis ruszył w tym czasie w stronę kaloryfera i pokręcił coś przy termostacie. W tej samej chwili Kobra przestał mrużyć, nagle ustał ów osobliwy szum, jaki słychać było przez cały czas. Wszystko teraz stało się jasne. Termostat nie był więc zwykłym termostatem, ale pokrętelem włączającym magnetofon. Nadzwyczaj pomysłowe urządzenie. Mikrofon wbudowany był prawdopodobnie w jedno z żeberk radiatora.

Pan Opdael nie bardzo chyba znał się na technice, bo stał z boku i przyglądał się tylko czynnościom kolegów. Nagle obejrzał się zdziwiony, że Basile jeszcze nie odszedł. Po krótkim wahaniu, okrążywszy stół, zbliżył się do niego.

– Widzi pan – powiedział trochę konfidencjonalnie – teraz już pochwyciła pana maszyna. Wszystko pan wiedział, a mimo to dał się pan jej pochwycić. Tak, tak, nie ma innego wyboru; jeżeli człowiek nie stanie się sam maszyną, to maszyna pochwyci go i unicestwi.

– Ja mam serce – odpowiedział Basile. – Maszyna nie ma serca. Nie mogę stać się maszyną.

– To rozumowanie romantyczne. Serce jest jednym z organów, to tylko zwykły mięsień, urządzenie mechaniczne złożone z komór i zastawek, z żył i kto wie jeszcze z czego. A pan myśli, że czym jest maszyna? Jest właśnie precyzyjnym sercem, panie Jonas.

Uczył gest, jakby miał zamiar poklepać Basile'a po plecach, ale zreflektował się w porę i szybko cofnął rękę. Plamy na jego twarzy nabrały osobliwej fioletowej barwy, wyglądały jak pęcherze wypełnione krwią. Basile patrzył pełen obrzydzenia i w końcu sam już nie wiedział, co bardziej było w panu Opdael odrażające: to, że występował w obronie przekształcenia człowieka w automat, czy też emanujące z niego samozadowolenie, a może ta okropna powulkanizowana twarz. Odwrócił się i odszedł bez słowa, a idąc korytarzem

pomyślał, że twarz tę zapamięta do końca życia. Była to dla niego nowa niezwykle ciężka próba.

Księga druga

PAALBERG

Dwudziestego listopada Basile Jonas stanął przed Komisją Testów Psychotechnicznych. Było zimno i padał grad, kiedy wchodził do Ośrodka Thorndike, za to w poczekalni na pierwszym piętrze panował tropikalny upał i osiadłe na kołnierzu i rękawach płaszcza grudki lodu roztopiły się niemal natychmiast. Zdjął okrycie i sięgnął po jedną z dwu starych gazet leżących na stoliku. Na pierwszej stronie komunikat prasowy donosił, że obrady dziewięćset dziewięćdziesiątej czwartej międzynarodowej konferencji w sprawie rozbrojenia utknęły na martwym punkcie. Z zamieszczonego obok komunikatu zdjęcia uśmiechała się twarz człowieka sfotografowanego na tle wspaniałej ogrodowej alei w towarzystwie dwojga dzieci, które prowadził za rękę. Opiekunem i przyjacielem dzieci był naturalnie nie kto inny, jak Kobra, osobiście wizytujący letnią kolonię o miłej nazwie „Nasz Dom”. Dyktatorzy zazwyczaj chętnie fotografują się z dziećmi. To zdjęcie pochodziło prawdopodobnie sprzed kilku miesięcy, bo sezon kolonijny skończył się w sierpniu.

Basile odłożył gazetę. Miał właśnie zamiar zapalić fajkę, kiedy otworzyły się drzwi z tabliczką „Dr Gruben” i jakiś anonimowy kobiecy głos zaprosił go do środka. Przerzuciwszy płaszcz przez ramię wszedł do gabinetu. Komisja Testów Psychotechnicznych składała się z młodego, wyjątkowej urody lekarza oraz równie atrakcyjnej, młodej asystentki. Już na pierwszy rzut oka widoczne było, że tych dwoje łączy intymny stosunek. Lekarz ubrany w biały krótki fartuch, ze swą pociągłą twarzą i wypomadowanymi włosami przypominał bardziej kelnera niż naukowca, ale kobieta, mniej więcej dwudziestopięcioletnia, była naprawdę zjawiskiem wspaniałym, mimo nieco irytującego tik: nerwowego mrugania powieki, przydającego spojrzeniu coś dwuznacznego.

Basile wręczył asystentce wezwanie. Dziewczyna wyjęła z kartoteki formularz i wpisała tam nazwisko pacjenta, adres, zawód, datę urodzenia i numer rejestracyjny. Z zapartym tchem obserwował jej białe, gładkie ręce i dyskretny makijaż twarzy.

– Dlaczego pan mi się tak przygląda? – zapytała nie patrząc na niego.

– Pani jest niezwykle piękna – wyszeptał.

Uśmiechnęła się i mrugnawszy porozumiewawczo włożyła wypełniony druk do pudła kartoteki.

– Jeżeli będzie pan równie spontanicznie reagował podczas testu, szybko zakończymy badania.

Podszedł lekarz i usiadłszy obok asystentki położył na stole arkusz papieru, podzielony na wąskie rubryki. „No, teraz przycisną mnie do muru tym psychogramem” – pomyślał Basile. Obecność młodej kobiety sprawiała mu tak dużą przyjemność, a jej twarz wzbudzała w nim takie zaufanie, że nie miało znaczenia, co będzie się działo podczas badań.

– Ona jest piękna, prawda? – odezwał się lekarz, przy czym słowo „piękna” zabrzmiało w jego ustach podobnie jak „muzyka” i „poezja” w wydaniu przewodniczącego Komisji Śledczej: tak jakby chodziło o hodowlę pleśni.

– Lubi pan piękne kobiety?

– Lubię wszystko, co piękne, nie tylko kobiety – odparł Basile.

– Na przykład? Proszę wymienić to, co dla pana jest piękne.

– Wiersz, symfonia, śnieg na parapecie okna, śpiące dziecko...

Spoglądając przez okno za plecami lekarza usiłował przypomnieć sobie jeszcze więcej przykładów. Okna gabinetu wychodziły na ulicę i widać było przez nie wnętrza mieszkań nowego, stojącego naprzeciw domu. W jednym z pokoi zsunięte na środek meble przykryte były gazetami i papierem do pakowania, a stojący na drabinie mężczyzna w zielonym fartuchu kończył tapetowanie ścian. Tapety były trójkolorowe, o barwach legii obywatelskiej: czerwono-żółto-niebieskie.

– Wystarczy – zdecydował lekarz i wpisał jakąś liczbę do jednej z rubryk psychogramu.

– A teraz opowiem panu pewną historię – powiedział. Asystentka odwróciła głowę w stronę mówiącego. Twarz jej wyrażała zainteresowanie, jakby ciekawa była tego, co za chwilę usłyszy, a co naturalnie знаła już na pamięć. Być może zresztą, myślała o zupełnie innej historii, o jednej z tych, które każdego wieczoru opowiadał jej w łóżku. A może przedstawiciele *homo utipro* opowiadają takie historie wyłącznie dla dobra i w służbie nauki, a nie w służbie miłości?

– Była sobie pewnego razu miła, cnotliwa i jeszcze nie tknięta dziewczyna – oczywiście dawno to było temu. Otóż dziewczyna ta pragnęła odwiedzić swego narzeczonego, który niestety mieszkał na drugim brzegu wielkiej rzeki. Jak pan widzi, istniała trudność, bowiem przez rzekę można było tylko przepłynąć promem, a dziewczyna nie miała pieniędzy, żeby zapłacić przewoźnikowi. Przewoźnik nie był człowiekiem uprzejmym, nie chciał spełnić jej prośby za darmo, ponieważ jednak dziewczyna nalegała, powiedział w końcu: „Dobrze, przewiozę cię na drugi brzeg, ale dasz mi za to twoje ubranie, lepsze to niż nic.” Tak też zrobiła. Oddała przewoźnikowi suknie i naga wsiadła na prom. Aby dotrzeć do narzeczonego, musiała jeszcze iść przez las... Czy nadaża pan?

– Tak – odparł Basile.

– ...a w tym lesie zaczął się gwałcieł, pewien smolarz. Napadł na nią i ją zgwałcił. Kiedy już było po wszystkim, dziewczyna pobiegła dalej, ale w niewłaściwym kierunku. Błądząc, dotarła do chaty pustelnika, któremu z płaczem opowiedziała, co jej się przytrafiło. Pustelnik słysząc, że dziewczyna zdecydowana jest umrzeć, gdyż nie może znieść hańby, zaczął ją napominać i zaklinać, aby tego nie czyniła. Powinna zaufać nieskończonej dobroci boskiej i miłości, jaką żywi dla niej narzeczonego, po czym wyprowadził ją z lasu i wskazał drogę do ukochanego. Narzeczonego ujrawszy swoją dziewczynę nagą, jak ją pan Bóg stworzył, i zrozpaczoną, wysłuchał wprawdzie jej opowieści, ale odrzucił z pogardą jej miłość. Tak więc stała teraz przed nim naga, odarta z ubrania, czci i miłości narzeczonego. Czy pan wszystko zrozumiał?

Basile skinął głową.

– Dobrze. Wobec tego niech się pan przez chwilę zastanowi i powie mi, w jakiej kolejności uszeregowaliby pan poszczególne osoby, kierując się stopniem sympatii, jaką w panu wzbudziły. Najpierw sympatie, a potem antypatie, jasne?

– Sądzę, że tak.

Początkowo nie wiedział, do czego zmierzał lekarz opowiadając tę historię, ale kiedy zastanowił się nieco, przejrzał jego grę. Dziewczyna, przewoźnik, smolarz, pustelnik i narzeczonego, każda z tych postaci uosabiała określone cechy i wartości moralne. Dziewczyna była wcieleniem cnoty i niewinności, przewoźnik – materializmu, smolarz – seksualizmu i przemocy, pustelnik – rozwagi i bogobożności, wreszcie narzeczonego – ciasnoty drobnomieszczańskich poglądów.

Zastanawiał się patrząc w milczeniu w okno. Grad przestał już padać. Malarz zrobił przerwę w pracy, zszedł z drabiny i popijał z butelki piwo. Basile lubił piwo. W tej chwili zazdrościł człowiekowi w zielonym fartuchu, że nie musi zastanawiać się nad wartościami moralnymi, że jego sympatie i antypatie dla domowników i bohaterów telewizyjnych nie były bardziej skomplikowane niż czerwono-żółto-niebieskie wzory na tapecie.

– No, jak? – zapytał lekarz.

– Dziewczyna, pustelnik... – zaczął i na tym utknął. Asystentka spoglądała na niego z pogardą i dalej mrugała. – Przewoźnik – i znów zaciął się. Pomyślał właśnie o Drexelerze, o tym, że zwałby Martę do swej willi, aby ją tam wykorzystać. Nagle uświadomił sobie, że smolarz i Drexeler byli postaciami reprezentującymi wartości moralne podobne i zdecydowanie wyrecytował: dalej: – ...narzeczony, a na końcu smolarz.

– Dobrze. – Lekarz znów wpisał jakąś cyfrę i zwrócił się do asystentki ze słowami:

– Zrobimy test Rorschacha.

Test Rorschacha, to znaczy, że jeszcze nie koniec.. Wsparł dłoń na kolanach i czekał. Asystentka tymczasem przyniosła arkusz papieru, na którym było dziesięć różnej wielkości i kształtu czarnych kleksów. Kleksy były ponumerowane, jak wszystko w tym skodyfikowanym świecie. Od razu domyślił się, czego tym razem od niego zażądają: należało powiedzieć, z czym kojarzy się forma każdego kleksa. Plamy na papierze miały wyzwolić jego podświadomość, odgrywały podobną rolę, jaką spełniają świadkowie na sali sądowej. Miały posłużyć do dokonania wyłomu w murze milczenia, za którym kryła się jego przeszłość, wydobyć z jego duszy wszystkie potworności i oddestylować z nich kompleksy i predyspozycje psychiczne.

– Ma pan tu przed sobą dziesięć kleksów – zaczął lekarz.

– Tak, już wiem, czego pan żąda ode mnie – odparł Basile pochylając się nad arkuszem.

– Znakomicie. Jest pan wdzięcznym obiektem badań. Proszę zatem zacząć.

Pomyślał, że właściwie cokolwiek powiedziałaby i tak nie będzie miało znaczenia, bowiem bez względu na to, z czym skojarzy mu się kształt plam na papierze, skomentują to w sposób im dogodny.

– Numer pierwszy: łeb lwa, numer dwa: but z cholewą, trzy: hełm tropikalny, cztery: kurczę na rożnie albo kaczką, pięć: trąba słonia... – Tylko przy siódmym nie przyszło mu od razu nic do głowy. Lekarz dał znak ręką, aby ten numer opuścił. Asystentka zabrała arkusz. Basile podniósł wzrok i zobaczył na drugiej stronie ulicy dozorcę wspinającego się po drabinie z czerwoną flagą w ręce. Wyglądał jak toreador wchodzący po raz pierwszy na arenę.

– A teraz proszę dobrze słuchać. Powiem szereg słów, ale tylko pierwszą część każdego, pan zaś musi błyskawicznie je uzupełnić. Dopowie pan zatem drugą, brakującą część. Chodzi mi w tym przypadku głównie o to, aby reagował pan możliwie najszybciej. Na przykład powiem: król – a pan dopowie -ewna, albo -estwo czy coś innego, co panu w tej chwili przyjdzie na myśl. Jeśli można, zawsze rzeczowniki. Czy to jest zrozumiałe?

– Tak, zrozumiałe.

– Dobrze, zatem zaczynamy. Na-

-główek.

Pseudo-

-cywilizacja.

Profe-

-sor.

Pro-

-pozycja.

Niedo-

-bitki.

Li-

-ryka.

Gene-

-alogia.

Emb-

-lemat.

Szko-
Basile milczał, zmarszczył czoło, myślał, ale zabrakło mu koncepcji. Lekarz odczekawszy chwilę zaczął mówić dalej.

Fut-

-ro.

Współ-

-towarzysz.

Mikro-

-fon

Meta-

-lepsja.

Pery-

-fraz.

Kata-

-kumby.

Fi-

-nał.

Lekarz roześmiał się.

– Nie przyszło panu na myśl, że słowo to może oznaczać koniec testu?

– Nie, nie przyszło.

– No, dobrze. Teraz przejdziemy od razu do testu muzycznego – dał znak asystentce, która wstała i weszła za parawan.

– C-1 czy C-2? – zapytała.

– Spróbujemy z C-1 – odrzekł tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że niewiele po tym eksperymencie oczekuje.

W pokoju zapadła cisza. Lekarz spojrział na parawan, potem na psychogram, który trzymał w ręce. Jego niezwykle piękna twarz o zielonych oczach przypominała urodę popularnego filmowego lekarza, dawno zapomnianego doktora Jekylla.

Asystentka nacisnęła klawisz i Basile usłyszał najpierw cichy dźwięk, który stopniowo ginął wtapiając się po chwili w potężniejszy chaos innych tonów, wśród których dominowała muzyka mechaniczna.

– O czym myśli pan słuchając tej muzyki? Niech mi pan w najprostszy sposób wyrazi, jakie wywołuje ona u pana asocjacje? O czym pan myśli?

– O poranku albo wieczorze w wielkim mieście. O codziennym ruchu podmiejskich pociągów...

– Tak, dalej.

Basile wsłuchiwał się, koncentrował wyobraźnię. W gruncie rzeczy nie lubił muzyki elektronicznej, ale nie mógł na nią nie reagować: działała na niego przytłaczająco, drażniła go.

– Co pan teraz słyszy?

– Krzyk ptaka.

– Dobrze. Jakiego ptaka?

– Nie wiem.

– Co wyraża ten krzyk?

– Głód... albo raczej ból. To jest zraniony ptak...

Ostre tony przycichły, zamarły całkiem, a w ich miejsce rozległ się dochodzący jakby z oddali monotony chórally śpiew czy coś w każdym razie w tym rodzaju.

– Dalej.

– Widzę procesję mnichów i pielgrzymów wstępujących w ciemności nocy na wysokie wzgórze. Idą ze śpiewem, niosą feretrony i pochodnie. Na szczycie znajduje się miejsce uświęcone, kościół albo kaplica.

– Czy są w tej procesji kobiety?

– Nie.

– To prawdopodobnie góra Athos – powiedział lekarz uśmiechając się. – Dziękuję, wystarczy. Dobrze. – Asystentka wyłączyła muzykę, podeszła do okna i zaciągnęła stalowobłękite, gęste zasłony. W gabinecie zrobiło się ciemno. Zdumiony Basile śledził wzrokiem jej ruchy. Czuł się nieswojo, ale nie miał odwagi zadawać pytań. Lekarz zapalił lampę osłoniętą kloszem i powiedział:

– Przy teście, jaki przeprowadzimy teraz – nota bene ostatnim już – niezwykle ważne jest, abyśmy mogli liczyć na całkowite i spontaniczne współdziałanie z pana strony. Żadnych zahamowań, żadnych oporów. Niech pan spróbuje wyobrazić sobie, że jest pan zupełnie sam u siebie w domu albo gdziekolwiek bądź. To chyba nie jest trudne? Prawda?

Nie słysząc odpowiedzi lekarz obejrzał się na Basile'a.

– Zdjęcia są już wewnątrz? – zwrócił się do asystentki.

– Tak – odpowiedział z ciemności jej głos.

– Możemy zatem zaczynać. Zechce się pan rozebrać, panie Jonas.

– Rozebrać się? – upewnił się zaskoczony Basile.

– Tak, proszę.

– Całkiem?

– Całkiem. Przewoźnik żąda zapłaty – odparł lekarz.

Miał to być zapewne jeden z jego zawodowych dowcipów, asystentka bowiem nie zareagowała śmiechem, w ogóle nie odzywała się, stała gdzieś w pokoju, Basile słyszał tylko w okolicy okna szelest jej sukni. Było mu głupio rozbierać się w obecności młodej kobiety. Bardzo zażenowany zdejmował powoli ubranie. Pewnie nie patrzyła na niego, zresztą w pokoju było ciemno i nie mogłaby nawet niczego dojrzeć, mimo to przy zdejmowaniu spodni starał się odwrócić do niej plecami.

– Gotowe? – zapytał lekarz. – Proszę niech pan tu podejdzie.

Ujął Basile'a za ramię i poprowadził do kozetki stojącej z lewej strony pod ścianą. – Proszę położyć się na plecach, pod ekranem.

Basile wyciągnął się na kanapie z twarzą zwróconą ku ekranowi przytwierdzonemu do ściany na ruchomym ramieniu. Kanapka pachniała gumą i potem. Ten zapach i zaciągnięte na oknach zasłony skojarzyły mu się z chorobą matki, ów mroczny pokój z tapetami koloru morskiej zieleni, łóżko, a obok nerka z krwawą zawartością.

Lekarz zbliżył się do niego i usiadł na stojącym obok stołku.

– Za rok albo dwa – zaczął – ten właśnie test będzie znany w kołach fachowych jako test Grubena, a za pięć lat, zyska sobie rozgłos i popularność podobną jak test Rorschacha. Dzięki niemu osiągnąłem już znakomite wyniki. W pana przypadku ten egzamin może mieć decydujące znaczenie.

Przy regulowaniu ostrości obrazu pochylił się do przodu tak, że nieomal dotykał twarzą twarzy Basile'a. Do zapachu gumy i potu dołączył się teraz jeszcze słodkawy zapach pomady, której używał do pielęgnacji włosów. Za oknem znów rozszalała się gradowa burza. Kulki lodu twardo bębniły o szyby, grając na nich koncert jak na ksylofonie.

– Tak, znaczenie decydujące – powtórzył lekarz. – Aparat jest wyregulowany, możemy zaczynać. Pokażę panu teraz sześć różnych obrazów, niezwykle plastycznych i frapujących w treści. Zaraz je pan zobaczy. Każde z ujęć będzie pan mógł oglądać przez około dziesięć sekund i w ciągu tego czasu musi pan wymyślić dla nich odpowiedni tytuł. Nie musi on być oryginalny ani specjalnie sugestywny: powinien jedynie wyrażać to, co pan naprawdę widzi. Reakcja powinna być samorzutna, niech się pan nie denerwuje. Właściwie jest to całkiem

przyjemna zabawa. Proszę przybliżyć do siebie ekran, tak, całkiem blisko. Może lepiej, ażeby pan zdjął okulary.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym je zatrzymać. Bez okularów widzę znacznie gorzej.

– To już pan wie lepiej. – odparł lekarz. – A więc zaczynamy – i zaraz dodał – to jest numer pierwszy.

Dziwne wydawało się Basile'owi, że do oglądania zdjęć musiał rozebrać się do naga. Nie miał czasu jednak zastanawiać się nad tym dłużej, bo lekarz właśnie włączył aparat. „Ależ to nikczemne” – pomyślał obojętny numer pierwszy. Zdjęcie było podniecające: na dywanie leżała półnaga dziewczyna o obfitych kształtach, ładną podobną do Lynn Pearl; nimfa wyrzucona na brzeg przez fale. Wspaniała dziewczyna, którą można by godzinami podziwiać nawet bez zmysłowych reakcji. To jednak nie było przewidziane, a dziesięć sekund to naprawdę niewiele.

– No? – Zapytał lekarz.

– Dywan może służyć do wszystkiego.

Lekarz chrząknął, jakby mu nagle coś utknęło w gardle, po czym odwrócił głowę i nieco podniesionym głosem powiedział:

– Popęd przytłumiony. Brak pobudliwości.

To stwierdzenie przeznaczone było zapewne dla siedzącej z tyłu asystentki, która miała wpisać do psychogramu wynik negatywny. „Teraz już wszystko jasne – pomyślał Basile. – Przytłumiony popęd, brak pobudliwości.” Powoli zaczynał dostrzegać zachodzące tu związki. Kto jest świnią, powinien siedzieć w chlewie.

– Numer dwa – oznajmił lekarz.

Nimfa zniknęła z ekranu, a w jej miejsce ukazał się inny obraz. Nietrudno było stwierdzić, wszystko zmierza w tym samym kierunku.

– *L'après-midi d'un faune*¹³ – powiedział szybko, zanim znikł obraz.

– Musi pan reagować szybciej – zauważył lekarz mrukiwie i odchyliwszy w bok głowę, tonem stanowczym stwierdził:

– To samo. Brak pobudliwości.

„Jeżeli to ma być metoda naukowa, to ja jestem papieżem” – pomyślał Basile. Nawet chętnie sprawiłby lekarzowi przyjemność, ale jak udać podniecenie?

– Numer trzy.

Ze skupioną uwagą czekał na pojawienie się obrazu.

– *Coitus commertialis* – powiedział i miał ochotę wyręczyć lekarza w diagnozie: „przytłumiony popęd, brak pobudliwości”. Przewidując, że podobne zachowanie wywołałoby wściekłość lekarza, zrezygnował.

– Krytyczny dystans, brak pobudliwości.

Podobnie było z numerem piątym i szóstym. Wynik końcowy musiał wypaść negatywnie i to tak dalece, że przy szóstym obrazie lekarz zapytał:

– Czy pan nie ma w sobie ani iskierki erotycznej wyobraźni? – Był głęboko rozczarowany.

– To sprawa okoliczności, panie doktorze – wyszeptał Basile. – Jest to na pewno uzależnione od okoliczności – próbował tłumaczyć się, usprawiedliwiać.

– Co pan przez to rozumie?

Grad przestał tymczasem bębnić w szyby i w gabinecie zrobiło się nagle tak cicho, że Basile słyszał nawet, jak lekarzowi zaburczało w brzuchu, a może to nawet jemu samemu burczało.

– Powinien pan to przecież rozumieć – wyjąkał – w obecności damy...

¹³ Popołudnie fauna (fr.)

– To nie jest dama, to asystentka – poprawił go lekarz tonem ostrym i głosem dobitnym na tyle, że asystentka, która nie była damą, musiała usłyszeć jego słowa. – Pojęcie „dama” to sublimacja. – Wyciągnął z kontaktu kabel rzutnika i podsumował wyniki badania:

– Te efektywne przeszkody świadczą jednakże o niezdolności do spontanicznego reagowania, a taka niezdolność, mój drogi, pozostaje w negatywnej korelacji do wyobraźni erotycznej. Oto jak jest.

Basile milczał. „Chwała Bogu – pomyślał – przynajmniej żadnych FAKTÓW.” W dalszym ciągu leżał nagi, jak go pan Bóg stworzył, pod pornograficznym pudłem doktora Grubena i słuchając kilku dalszych kabalistycznych sformułowań przekazywanych asystentce w ciemność pokoju pomyślał złośliwie, jakby też zareagował wynalazca testu Grubena, gdyby obiekt jego obecnych badań, Basile Jonas wraz z kilku dziewczętami z najstarszej klasy, wtargnął pewnego wieczoru do jego sypialni uzbrojony w psychogram, by przeprowadzić obserwacje przebiegu fizjologicznego aktu miłosnego pana doktora.

– Jeszcze jedno pytanie, panie Jonas. Czy nigdy nie męczyły pana polucje?

– O mój Boże! – Basile zrobił nieszczęśliwą minę. – Wcześniej czy później, panie doktorze, każdemu może zdarzyć się w życiu jakiś kłopot z policją, co byłoby...

– Ależ nie, nie mówię o policji, tylko o polucjach – wyjaśnił lekarz z pobłażliwym uśmiechem. – Wytrysk nasienia w czasie snu.

– Ach, o tym pan mówi. Tak, zdarzało się czasem.

– Często?

– Co pan rozumie pod słowem „często”?

– Częściej niż raz w tygodniu?

– Na pewno nie. Najwyżej raz na dwa, trzy miesiące.

– Może pan sobie przypomnieć, czy było to związane z jakimiś snami?

– Ma pan na myśli... sny o treści erotycznej?

– Niekoniecznie, w ogóle, co śniło się panu wówczas?

– Nie pamiętam. Prawdę mówiąc rzadko miewam sny.

– Rzadko miewa pan sny – powtórzył w zamyśleniu, jakby niezupełnie pewny, na który z siedmiu czy ośmiu autorytetów w zakresie psychologii, uznanych przez Święte Monstrum, należało się w tym przypadku powołać.

– Ostatnie pytanie – zakomunikował. – Praktykuje pan samogwałt?

– Nie. Kiedyś, raz, ale to było dawno temu.

– Ile lat miał pan wówczas?

– To było między dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia.

– A później już nigdy więcej?

– Nie. Później już nie.

– Odwiedza pan domy publiczne?

– Nie.

– Miewa pan jakieś stosunki?

– Nie.

– Dlaczego? Dlaczego nie? Czy ze względów moralnych?

Lekarz wyjął coś z kieszeni, spojrzął na to obojętnym wzrokiem i schował ów przedmiot na powrót do kieszeni. Jedyne, co zdołał Basile zauważyć, to to, że miał kształt podobny do kawałka gumy do żucia.

– Może nie jestem dość atrakcyjny – odpowiedział możliwie najciszej, w nadziei, że asystentka nie usłyszy. – Jako młody człowiek przeżyłem dosyć bolesne i upokarzające doświadczenie. Miałem wówczas dziewiętnaście lat i byłem kompletnie zielony. Z czystej ciekawości a może dlatego, że odczuwałem brak serca, tkliwości, pozwoliłem pewnej nie tylko starszej ode mnie, ale o wiele bardziej doświadczonej kobiecie, aby wprowadziła mnie

w życie prosto z ławki szkolnej. Eksperyment oczywiście nie mógł się udać. Od pierwszej chwili czułem się przy niej małym, śmiesznym, żółtodziobem. I to uczucie...

– Jeżeli dobrze pana zrozumiałem, nie spał się pan jako mężczyzna?

– Tak, od tego czasu ogarnia mnie zawsze śmiertelny lęk, że mogłoby się to powtórzyć. Dlatego nie zalecam się do żadnej kobiety; strach studzi już w zarodku każdą ewentualną inicjatywę. Od tego czasu boję się kobiet obdarzonych dużym temperamentem. Ponieważ jednak potrzebna byłaby mi w określonych sytuacjach jakaś zachęta ze strony partnerki, a kobieta o mniejszym temperamencie nie potrafiłaby działać dość skutecznie na moją wyobraźnię, dlatego stale przestępuję z nogi na nogę; to też jest sposób na to, aby nie upaść.

Doktor nadal wpatrywał się w podłogę.

– Z nogi na nogę – powtórzył w zamyśleniu i nagle podniósł wzrok.

– Tak – potwierdził Basile. – Jak to się nazywa? Kompleks czapli?

– Tego typu historie przeżyte w krytycznym, młodzieńczym wieku wyrządzają niekiedy nieodwracalne szkody – powiedział lekarz nie reagując na słowa Basile'a. – Zdarza się to naturom nieśmiałym znacznie częściej, niż można by przypuszczać...

Jego głos przycichł aż do niezrozumiałego szeptu, jakby nagle uświadomił sobie, że na próżno przecież zawierza laickiemu uchu swoje wybitne naukowe opinie. W chwilę później wstał i powiedział:

– Dziękuję panu, panie Jonas, to już wszystko. Może pan się ubrać – oznajmił i odszedł niczym groźny wódz powracający do swej kwatery po wizytacji oddziałów na pierwszej linii frontu.

Basile odetchnął z ulgą. Wstał i zaczął wkładać ubranie, a kiedy pozostało mu jeszcze tylko wsunąć koszulę do spodni, usłyszał szelest odsuwanej zasłony okiennej. Pomyślał, że stało się to na szczęście w odpowiedniej chwili. Na ulicy trzasnęły drzwiczki samochodu. Asystentka patrzyła zapewne przez okno, bowiem w tej chwili zapytała:

– Jaki samochód ma Brulez?

– Niebieskiego opla – odpowiedział doktor Gruben. – Co, przyjechał?

– Nie, to jakiś szary chevrolet.

Basile zawiązał krawat. Za jego plecami rozległ się charakterystyczny trzask zapalniczki, jeden, drugi, trzeci, potem jakby głęboki wydech i w pokoju rozszedł się zapach dymu z papierosa. Basile zawiązywał sznurowadła, a lekarz z asystentką rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Nie rozumiem, co ty widzisz w tym facecie. Nadęta żaba i tyle, po prostu nie cierpię go – szeptła asystentka, na co lekarz odpowiedział krótkim zdaniem, w którym padło znów słowo „nadęty”.

Basile odwrócił się, a oni umilkli. Doktor palił papierosa i pilnie studiował psychogram, a przynajmniej udawał, że studiuje. „Nadęty”, o kim mówili? Kto miał być tą nadętą żabą? Brulez? Spojrzał na lekarza. Jego twarzy nie było widać spoza arkusza papieru; w mieszkaniu naprzeciw malarz, pracowity jak mrówka, rozrabiał nową porcję kleju.

– Przyniósł pan ze sobą kontrolną kartę zdrowia? – zapytała asystentka mrugając nerwowo powiekami.

– Niestety, nie.

– Proszę wobec tego przysłać nam ją jak najprędzej.

Stał przed nią zawstydzony, po wszystkim, co tu usłyszała, nie miał odwagi spojrzeć asystentce w oczy. Patrzył więc na jej ręce i nagle przyszło mu na myśl, że kobieta, która przed dwudziestu laty tak brutalnie wepchnęła go w życie, miała też takie białe i gładkie ręce. Nazywała się Karin. Zajmowała parę umeblowanych pokoi nad palarnią kawy i od roku z górą żyła z pewnym tancerzem z baletu. Zanim Basile poszedł z nią do łóżka, jedli w jej umeblowanych pokojach kanapki i pili kawę trzy godziny temu upaloną piętro niżej, a kiedy

Karin zaczęła zdejmować suknię, wypadły jej potniki; ją to rozśmieszyło, ale dla niego stało się początkiem klęski.

– Tak. Przyślę tę kartę.

Ociągał się jeszcze przez chwilę z wyjściem, wreszcie skłoniwszy się lekarzowi powiedział „do widzenia”. Wszedł przez poczekalnię na korytarz nie czekając na odpowiedź. Żałował nawet, że zapomniał zapytać o wynik badania, a przecież miał chyba prawo wiedzieć, kim był naprawdę. I choć nie bardzo wierzył w neofreudowskie metody doktora Grubena, nigdy nie można było wiedzieć, co taki lustrator dusz zdołał w czasie badania wydobyć z mrocznych zakamarków podświadomości delikwenta.

Szedł powoli korytarzem, w głębi którego wisiał portret Kobry. Przystanął przypatrując się wykrzywionej w uśmiechu, uszminkowanej twarzy, jakby ją widział po raz pierwszy. Było to złe, ziarniste powiększenie, przypominające zdjęcie rentgenowskie. Głowa prezydenta wyglądała jak trupia czaszka osadzona na kręgosłupie złożonym z metalowych guzików, połyskujących na jego myśliwskiej kurtce. Uśmiechnięta czaszka w obłupanej, liczącej sobie co najmniej pół wieku ramie; przed dwudziestu laty tkwił w niej zapewne portret króla, a przed czterdziestu może podobizna papieża.

Na schody wszedł mężczyzna. Ubrany w płaszcz koloru wielbłądziej sierści szedł zagłębiany w lekturę jakiegoś prospektu i omal nie wpadł na Basile’a.

– Przepraszam – wymamrotał i usłyszał w odpowiedzi: „Proszę, proszę.” Basile miał już właśnie zamiar zejść na dół, kiedy nagle zauważył, że zostawił płaszcz u doktora Grubena. Szybko zawrócił, wyminął mężczyznę w płaszczu koloru wielbłądziej sierści i otworzył drzwi do poczekalni. Zawsze czuł się nieswojo, ilekroć zapomniawszy czegoś wypadło mu wrócić w miejsce, które przed chwilą opuścił. Ludzie w takich przypadkach zwykli podejrzewać zamysł, pretekst do niespodzianego zaskoczenia ich w chwili, kiedy pozwalają sobie na wypowiedanie złośliwości pod adresem nieobecnego.

Drzwi z tabliczką „Dr Gruben” były uchylone i zapach dymu z papierosa przeniknął aż do poczekalni. Był to specyficzny zapach, typowy dla Jumbo z filtrem, a przypominający trochę przypalone pączki. Aromat Jumbo można było rozróżnić wśród tysiąca innych gatunków. Pudding też je palił i w sekretariacie, obok gabinetu dyrektora Walfischa, zawsze pachniało przypalonymi pączkami.

Zbliżywszy się do drzwi, usłyszał nagle swoje nazwisko. Zaintrygowany przystanął i z napiętą uwagą słuchał. Przez długą chwilę lekarz milczał, tylko asystentka mówiła coś przyciszonym głosem, pokaszując od czasu do czasu. Wreszcie odezwał się doktor Gruben, tym razem aż nazbyt wyraźnie, jakby stał tuż obok. Basile usłyszał słowo, jedno, jedyne słowo zawierające w sobie wszystkie potworności świata. Czarne płyty zawirowały mu przed oczyma, zapadł się w ciemność. Nie widział już nic, nie słyszał, pozostała tylko świadomość, że jest zgubiony, że kolekcjonerzy żądają jego skóry, skóry rzadkiego okazu homo-yeti.

Grad znów zaczął padać; lodowe kulki twardo, metalicznie bębniły w szyby, a poprzez ten potężniejący z każdą chwilą werbel słyszeć było spokojny głos doktora Grubena, mówiącego monotonnie, rzeczowo, bez zaczerpnięcia tchu, tak jak recytuje się nowoczesne utwory poetyckie. Basile zaczął powoli wycofywać się spod drzwi, a kiedy w końcu usłyszał: „Wszystkie akta tam przesać”, poderwał się i podbiegł ku drzwiom poczekalni, na korytarz. Nie myślał już o płaszczu. Biegł ogarnięty przerażeniem prosto aż do portretu Kobry, a potem schodami w dół. Przepchnął się przez obrotowe drzwi za mężczyzną z drewnianą nogą. Kaleka przywołał jedyną, parkującą na postoju taksówkę i odjechał, pozostawiając Basile’a stojącego pod okapem dachu i nie wiedzącego, co dalej począć. Przy takiej pogodzie wyjście na ulicę w samym ubraniu było niemożliwe. Podniósł kołnierz marynarki i dygocąc na całym ciele stał niezdecydowany. Patrzył na tysiące lodowych bryłek; spadały na chodnik i zanim stopniały, podskakiwały jak alabastrowe kości do gry.

„Okropne! Co robić?” Spojrzał na zegarek, było dziesięć po jedenastej. Czekał dalej z nieprzytomnym wzrokiem i zasłuchany w gwar ruchu pobliskiego bulwaru. Grad ustał. Basile zdecydował się iść pieszo. W głowie huczało mu nieustannie jedno tylko, jedyne słowo: Paalberg. „Nie – myślał – tylko nie Paalberg. Jeszcze nie zwariowałem, raczej uciekną za granicą.” Mimo zimna spociał się ze strachu. Przyspieszył kroku. Za granicę, ale dokąd? Czy istnieje jeszcze na świecie miejsce, gdzie można by spokojnie i bezpiecznie żyć, gdzie człowiek, który nie popełnił żadnego przestępstwa, nie musiałby lękać się, że zostanie nagle skazany na usunięcie ze społeczeństwa? Kraj bez czarnych list, bez ukrytych magnetofonów, bez badań testowych, bez komisji śledczych, kraj bez broszurowych prawd, wydawanych w milionowych nakładach, i maszyn, które chwytają i miażdżą jednostkę. Czy istnieje taki kraj, w którym swobody demokratyczne nie byłyby przywilejem klasy panującej, owych Drexelerów, sędziów śledczych i politycznych oportunistów? Nie wiedział, czy taki kraj istnieje. Chyba nigdzie nie znajdzie bezpiecznego azylu. Wszędzie niemal człowiek, jako jednostka, utracił należne mu prawa, został uzależniony od politycznej nienawiści, ambicji, od żądz władzy i egoizmu nieskończenie bogatych i nieskończenie silnych. Państwo Świętego Monstrum zrodziło setki małych świętych monstrów, które w swych broszurowych prawdach i za pośrednictwem głośników przyrzekały jednostce wolność i dobrobyt, a jednocześnie powoływały potajemnie komisje i rady, których zadaniem było prześladowanie i eksterminacja teje jednostki. Nie, nie miał wyjścia. Może do Szwajcarii? Zaraz uznał ten wybór za niezbyt chyba szczęśliwy. Przecież ostatnio neutralni Helweci też przyłączyli się do koalicji mocarstw zachodnich. Wilhelm Tell zamienił malowniczy kaftan na battledress, a kuszę na rakiety dalekiego zasięgu. Nawet ziemia obiecana otoczona była drutami kolczastymi. Na kuli ziemskiej naprawdę nie było skrawka miejsca, gdzie człowiek mógłby swobodnie odetchnąć i być sobą. Ogarniała go coraz większa rozpacz. Przy zielonych światłach przeszedł na drugą stronę bulwaru. Nie mógł przestać myśleć o alegorycznej historyjce doktora Grubena; sam czuł się bezbronny i nagi jak owa dziewczyna usiłująca przepłynąć się na drugi brzeg; niewinność, na drodze której staje gwałt, przemoc i ciasna mieszczańska mentalność, cnota wydana na pastwę egoistycznego, zmysłowego, materialistycznego świata. Marta Simons – dziewczyna, która bez wahania kazała przewieźć się przez wielką rzekę życia, a potem zabłądziła w dżungli cywilizacji. Co teraz z nią się dzieje? Ciekawe, czy smolarz wspólnie z piegowatą Nefretete zdołają dopiąć swego? A może wilki rozszarpały dziewczyną? Myśl, że w żaden sposób nie może jej przyjść z pomocą, przyprawiała go o jeszcze większe zwątpienie. Koło Kasy Oszczędności zatrzymał wreszcie wolną taksówką i kazał się zawieźć do domu. Patrzył przez okno szeroko rozwartymi oczyma, ale nic nie widział poza literami układającymi się w jedno straszne słowo: Paalberg. W to samo słowo, które uderzyło w jego życie jak piorun, które powaliło go. To okropne, co dalej? Dokąd iść? Pełen śmiertelnego strachu pochylił się ku kierowcy:

– Pierwsza ulica na lewo – powiedział.

Własny głos wydał mu się obcy; był ochryply i jakiś stłumiony, jakby dochodził z makabrycznego snu.

Wysiadł przed bramą swego domu. Zza chmur wyrzało blade, rozwodnione słońce. Za dwadzieścia dwunasta.

– Proszą chwilą poczekać, zaraz wrócą – powiedział do kierowcy.

W korytarzu natknął się na dozorcę zajętego rozmową z Terry Mootgat, córką pilota morskiego, sąsiada pana Kaaka. Minał ich nieśmiało pozdrawiając w przelocie, co zresztą pozostało bez odpowiedzi. Zauważył, że od czasu ogłoszenia wyroku wszyscy mieszkańcy domu okazywali mu nieufność, żeby nie powiedzieć wręcz: wrogość. Nie miał wątpliwości, że nastrój ten zawdzięczał gadulstwu i głupiej, niebezpiecznej fantazji księcia Edynburga; to właśnie on roztrąbił całą historię o ukrywaniu dziewczyny i o wszystkim, co się z tym wiązało. Bóg jeden tylko wie, jakie obrzydliwe wymysły serwował wszystkim jako

najczystsą prawdą z wiarygodnego źródła. Jak to Stubbe kiedyś powiedział. „Zła wiadomość rozchodzi się lotem błyskawicy i rośnie...” Właściwie nie mógł nic innego oczekiwać od sąsiadów, a mimo to czuł się głęboko zawiedziony ich postawą. Wysiadając z windy doszedł do wniosku, że chyba pies nigdy nie czuje się samotny, bo zawsze znajdzie sobie nowego pana, tylko ludzie nie dochowują sobie wierności. *Ich ha-be, du hast, er hat, wir ha-ben*. Ale co? Co my mamy, panie Stubbe? Nic! Ani przyjaciół, ani kolegów, a teraz ani nawet sąsiadów. Koło zamknęło się. Został żywcem zamurowany w swojej śmiertelnej samotności.

Upłynęło piętnaście minut, zanim Basile zszedł na dół. Miał na sobie lodenowy płaszcz, a w ręku niósł dużą walizkę. Zapakował w pośpiechu najpotrzebniejsze i najcenniejsze rzeczy: trochę bielizny, przybory toaletowe, maszynkę do golenia, jedną piżamę, koszulę, trzy pary skarpet, chustki do nosa, kopertę z czterdziestoma tysiącami franków i skrzypce. Zatrzymał windę między piętrami i otworzywszy walizkę wyjął z koperty połowę pieniędzy, po czym schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki, zamknął walizkę i zjechał na parter.

Z zadowoleniem stwierdził, że w korytarzu nie było już dozorczy ani córki Mootgata i mógł wyjść z domu niezauważony.

– Na dworzec – rzucił kierowcy zatopionemu w lekturze gazety.

Grubas o sympatycznej twarzy szybko zawrócił i ruszył w dół ulicy. Przy Placu Wolności skręcił w lewo nie zważając na wyraźnie oznaczony zakaz. Basile patrzył na pokryte zieloną patyną lwy. W parku leżały jeszcze miejscami gradowe kulki, tworząc na trawnikach białe wysepki. Jechali trasą, jaką Basile przemierzał od dwunastu lat codziennie, ale teraz dopiero zauważył, że odlany w brązie król dżungli opierał przednią łapę na martwej gazeli: oto symbol społeczeństwa ludzi, gloryfikacja siły. Odkrycie skonfundowało go w pierwszej chwili. Jak to się mogło stać, że dotychczas tego nie spostrzegł? Czyżby zawodziły go oczy? Odwrócił wzrok i spojrzawszy na tłusty kark kierowcy, zobaczył nagle w lusterku odbicie własnej twarzy: wąskie, zaciśnięte usta, podobne do tych, jakie czasem rysują upośledzone na umyśle dzieci: jedno pociągnięcie ołówkiem, kreska, linia prosta, otwór w skarbonce. Stwierdził, że takie usta nie pasują do jego twarzy. Przecież to usta starego, zgorzkniałego samotnika, człowieka, który w innych nienawidzi siebie. Boże, czy to naprawdę ja? Zdjął okulary i sięgnął do futerału po irchę. Kosztowało go wiele piekielnego wysiłku, aby opanować drżenie rąk i przetrzeć szkła. Krótkowzrocznymi oczyma patrzył w okno: widział niewyraźny zarys szarych hord ciągnących po asfaltowym trakcie karawan; ponad szeroką rzeką słychać było dalekie, głuche dudnienie od strony słabo widocznego skraju kamiennej dżungli. Patrzył, nasłuchiwał, szlochał: żegnaj, zabójco gazeli, żegnaj, wolności okryta zieloną patyną!

Trzymał w ręce okulary, nie wkładał ich świadomie, myśląc, że nigdy nie powinno się dokładnie widzieć tego wszystkiego, co trzeba opuścić. Obraz tego, co w takiej chwili dostrzeże oko, zabiera się z sobą na zawsze. Po co więc patrzeć, skoro postanowił, że zabierze z sobą jak najmniej. Zegar dworcowy wskazywał trzy minuty po dwunastej, kiedy taksówka zatrzymała się na zatłoczonym podjeździe. Basile zapłacił za kurs, wziął walizkę i ruszył, przepychając się przez tłum, ku głównemu wejściu. „...no, bo Veronika, nasza przeorysza, gra fałszywie na organkach Handla i Bacha...” – śpiewał czysty kobiecy sopran przy akompaniamencie ustnej harmonijki. Melodia dochodziła prawdopodobnie z tranzystora kędzierzawej dziewczyny o twarzy lalki, siedzącej nie opodal na ławce. W hali dworcowej pachniało wilgocią; było chłodno, jakby właśnie w tym miejscu wyznaczyły sobie spotkanie wszystkie wiatry. Basile przebrnął wreszcie przez ciżbę u wejścia, postawił walizkę i rozejrzał się. Jego wzrok zatrzymał się na plakacie: narciarz na tle ośnieżonego wzgórza, za nim ślady nart odcisnięte w puszystym śniegu, biegnące aż do podnóża gór, symbolizowały równocześnie tor kolejowy. Na błękitie nieba, ponad ostrymi wierzchołkami górskiego łańcucha, grafik wygospodarował jeszcze kawałek miejsca na hasło reklamowe: KOLEJĄ DO

SZWAJCARII. Basile zamyślił się. Właściwie dlaczego by nie do Szwajcarii? ORLE GNIAZDO W GÓRACH, SAMOTNA WYNIOSŁOŚĆ NAD KURNYMI CHATAMI ŻYCIA. Dusza ludzka nie wzniesie się wyżej niż lodowce, nawet tęsknota za wolnością podlega sile ciężenia.

Patrzył na plakat i nagle serce uderzyło mu żywiej. ZNAK NA ŚCIANIE – jakby wyszeptał jakiś głos; Basile chwycił walizką i ruszył w stronę kasy. Przy kasie zagranicznej stały cztery osoby. Dobrnął wreszcie do okienka i zapytał, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Bazylei.

Kasjer nie podnosząc wzroku wyrecytował jak automat właściwą informacją. Basile z zapartym tchem łowił każde słowo tej mówiącej maszyny, za uchem której tkwił zatknięty papieros:

– Może pan jechać pociągiem ekspresowym odchodzącym o czternastej pięćdziesiąt, przyjazd do Bazylei dwudziesta pięćdziesiąt pięć, albo pośpiesznym o piętnastej siedem, ten jedzie oczywiście dłużej i jest w Bazylei zaraz po północy, a więc prawie o trzy godziny później niż ekspresowy...

– To są bezpośrednie pociągi?

– Obydwa bezpośrednie.

– A nie ma wcześniejszego niż o czternastej pięćdziesiąt?

– Musiałby pan jechać bezpośrednim na Paryż i tam czekać półtorej godziny na dalsze połączenie.

– A kiedy będę w Bazylei?

– Zaraz sprawdzę... O dwudziestej drugiej, nie, przepraszam, o dwudziestej trzeciej trzydzięści.

– Dobrze, ten pociąg wybieram. Proszę jeden bilet normalny.

– Pierwszej klasy?

– Drugiej.

Podał pieniądze, wziął bilet, resztę i powiedział „dziękuję bardzo”, ale maszyna na to już nie odpowiedziała. Za rozmiennione pieniądze kupił na peronie gazety i tytoń fajkowy, a w godzinę później wsiadł do pociągu udającego się do Paryża. Pociąg odjechał z czterominutowym opóźnieniem. Ekscentrycznie uszmiukowana dama siedząca naprzeciw, której twarzy nie oszczędził czas i życie, westchnęła z ulgą:

– *Alors, ça y est.*

Uśmiechnął się do niej, zapalił fajkę i patrzył na migające za szybą bloki mieszkalne wschodniego przedmieścia. „Jutro już będę w Szwajcarii” – myślał dziwiąc się równocześnie, że świadomość tego faktu nie wywoływała w nim żadnej emocji, nawet nie przywodziła na pamięć któregoś z owych uroczych widoków reprodukowanych na znaczkach pocztowych, jakie zawsze kojarzyły się w jego wyobraźni z krajem Rousseau i Honeggera. Czuł się tak, jakby odwracał kartę nużącej książki; nie był nawet ciekaw, co znajdzie na następnej stronie. Nagle, nie wiadomo dlaczego, przyszedł mu do głowy początek nowego wiersza: „Odpywam teraz od ciebie i będę spał wieki całe, ty nieczyste, kiermaszowe bóstwo, które się parzysz ze smokiem, a kiedy powstanę ze snu, wszystko będzie urządzone na nowo...”

Pełen napięcia czekał na dalszy ciąg, na tryumfalne objawienie nowych słów, ale na próżno. Cud się nie zdarzył, a pierwsze słowa zetlały w duszy jak ostatni słaby rozbłysk gasnącego ognia. „Urządzone na nowo”, ale jak? Męczył się, próbował coś jeszcze wymyślić, ale coś w nim jakby ucichło i w końcu zrezygnował. Palił fajkę i obserwował swoją współtowarzyszkę podróży. Wyjęła właśnie z podróźnej torby paczkę solonych orzeszków. Oszczędnym ruchem zagiętych niczym szczypcy palców sięgała po nie do torebki i wkładała do ust. Zajęta była tą czynnością równocześnie ocierając się plecami o oparcie kanapy, przesuując górną część tułowia raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby swędziały ją plecy.

Basile sięgnął po gazetę i przeczytał, że niemiecki minister obrony oświadczył, iż Bundeswehra już na wiosnę będzie dysponowała bronią o zastraszającej sile niszczenia. Nie doczytał nawet do końca pierwszej szpalty. Na tekst, który miał przed sobą, nakładał się cień innych słów i zdań: Paalberg, brak pobudliwości, człowiek jest maszyną, ona kapituluje tylko przed pieniędzmi, tchórz albo parias, prawda jest niezwykła, nieczyste kiermaszowe bóstwo, które się parzy z Kobrami... „Tak – pomyślał – z Kobrami, nie ze smokiem. Z Kobrami, to brzmi znacznie lepiej.” Złożył gazetę. Postanowił wypić w wagonie restauracyjnym filiżankę kawy.

Kiedy wrócił do przedziału, zastał obok damy z orzeszkami nowego pasażera. Był to mężczyzna o haczykowatym nosie i z wąsami przypominającymi puszek do pudru. Siedział obok niej i w najczystszej francuszczyźnie wygłaszał folklorystyczną definicję pojęcia „Anglik”. Anglik, to taki ktoś, kto jeśli nad kanałem leży mgła mówi: *the continent is isolated*. Dama zaśmiała się trochę wulgarnie, schowała do torby orzeszki i zapytała:

– *Vous êtes Anglais?*

– *Non, je suis anglophobe*¹⁴ – odparł mężczyzna.

Znów zareagowała śmiechem przesuwając równocześnie tułów owym dziwnym wahadłowym ruchem. Basile zdruzony wyglądał przez okno. Odczuwał instynktowną niechęć do mężczyzny z haczykowatym nosem. „Prototyp urzędnika – pomyślał – niski poziom inteligencji, skóra jak na byku, a równocześnie niezwykle wrażliwa na zmiany temperatury i awanse.” W pobliżu zadymionego miasteczka przemysłowego pociąg zwolnił biegu, skręcił w dolinę, gdzie znajdowały się kamieniołomy, i znów wjeżdżał pod górę, nabierając szybkości. Rozmowa dwojga podróżnych utknęła na martwym punkcie. Kobieta w pewnej chwili wstała, powiedziała „przepraszam” i na niepewnych nogach opuściła przedział. „Puszek” spoglądał przez chwilę w milczeniu przez okno, po czym potarłszy ręką czoło, zaczął rozmowę o pogodzie.

– Grad już przestał padać, tak się przynajmniej wydaje. Za kilka tygodni spadnie śnieg i znów zacznie się zima. Okropna pora roku, prawda?

– Ach, nie wydaje mi się wcale tak okropna...

– Wczoraj w Paryżu było wręcz ciepło – paplał dalej Puszek. – W Clichy i Saint-Cloud notowano od osiemnastu do dwudziestu stopni. Niezwykła temperatura jak na tę porę roku, prawda?

– Rzeczywiście, niezwykle ciepło.

– Pan też do Paryża?

– Nie, do Bazylei.

– O, to znacznie dalej. Płaszcz na pewno okaże się zbędny. Tam zimy są podobno wspaniałe i ciepłe. Gdy przed dwoma laty byłem w Bazylei...

„Co za gaduła” – myślał Basile. Miał nadzieję, że dama lada chwila wróci i uwolni go wreszcie od tego natrętnego osobnika. Dama jednak nie wracała, zmuszony był więc dalej słuchać paplaniny o wszystkim: od plantacji winnej latorośli w Jurze począwszy, poprzez problemy zimnej wojny, aż do stref wolnocłowych.

Nie chcąc w żadnym razie okazać się nieuprzejmym, starał się początkowo ograniczyć swój udział w konwersacji do słów „tak” lub „nie”, ale w końcu i to wydało mu się nazbyt męczące i dalsze indagacje kwitował skinieniem głowy i kilkoma wymownymi grymasami twarzy.

Kiedy wreszcie rozmowa zaczęła wyraźnie utykać, weszła dama. Haczykowaty nos zwrócił się natychmiast do niej ze słowami:

– *Je viens de raconter a monsieur, ce qui m'est arrive un jour, lors de mon passage par Stanleyville*¹⁵...

¹⁴ Kontynent (Europa) jest od nas odcięty... – Czy jest pan Anglikiem?... – Jestem anglofobem (fr.)...

¹⁵ Właśnie opowiadałem panu, co mi się zdarzyło podczas przejazdu przez Stanleyville (fr.)

Basile obserwował kobietę. Wydawała się teraz bardziej odprężona, nie kontynuowała już owych dziwnych ruchów, pewnie w toalecie rozluźniła nieco gorset.

– Jeśli pan chce wiedzieć, to kolonializm jeszcze długo nie będzie należał do przeszłości, obecnie przeżywa po prostu kryzys, z którego wygrzebie się za kilka lat. Kolonializmu nie można wytępić, niech mi pan wierzy.

Człowiek musi panować nad innymi, ma to po prostu w swej naturze. Naturalnie układ stosunków będzie inny w przyszłości. Jestem przekonany, że dożyjemy wszyscy czasu, w którym żółte i czarne hordy zaleją Europę...

– Dlaczego nie każe pan zapisać sobie caliumbromidum albo luminalu? – zapytała kobieta w czarnym kokieteryjnym kapelusiku mężczyznę drepcącego za nią korytarzem. Starszy pan szedł ze zwieszoną głową i z kapeluszem w ręce jak za karawanem.

Basile wysypał tytoń z fajki. Spostrzegł na zegarku Puszka, że było pięć po drugiej. Jakby pod wpływem nagłego impulsu wstał i udając zaskoczenie na widok przechodzącej pary, wymamrotał:

– Przepraszam, ale ci państwo to moi znajomi.

Szybko sięgnął po walizkę, zdjął z wieszaka płaszcz, zabrał gazetę i nieśmiałym ukłonem pożegnał współtowarzyszy podróży.

W następnym przedziale znalazł spokojne miejsce. Kobieta i towarzyszący jej starszy pan zapewne poszli dalej do wagonu restauracyjnego, w każdym razie w korytarzu ich nie było. Położył walizkę na półce, powiesił płaszcz i usiadł. Nad pustą ławką po drugiej stronie wisiała wywieszka reklamowa: „*Jumbo la cigarette du charmeur.*”¹⁶ Rysunek przedstawiał słonia, który trąbą wielką jak pień drzewa wybierał ze stosu papierów jeden monstrualnej wielkości papieros Jumbo z filtrem. Basile zmarszczył brwi; na próżno starał się zrozumieć związek pomiędzy tekstem a ilustracją: papierosy dla gruboskórnych *charmeur*’ów? „Pal papierosy Jumbo i bądź władcą cywilizowanej dżungli?” Rozdrażniony wyjrzał przez okno. Okolica była teraz bardziej równinna. Pociąg jechał obok rozpadających się szop, placów złomu i zielonego lustra wody sztucznego jeziora, ciągnącego się aż do podnóża gór. W sąsiednim przedziale jakiś tubalny, męski głos opowiadał głuchemu albo śpiącemu, w każdym razie komuś, kto nie odzywał się ani słowem, tragicomiczną historię.

– O, to był oryginał, ten Wubbe Hemsterhuis, znałem go dobrze. Zawsze zadzierał nosa. Pan wie, że jego żona zginęła w wypadku? Było o tym w gazecie, długi artykuł z fotografiami. To się stało w dwa miesiące po ich ślubie. Muszę panu powiedzieć, że to był okropny cios dla niego. Otóż pewnego wieczoru wyszli z przyjaciółmi; wszyscy mieli trochę w czubie i wtedy postanowili obejrzyć świąteczny kiermasz. Wubbe wpadł na pomysł, ażeby odwiedzić Madame Renaud, wie pan, tę wróżkę z kryształową kulą. Tak też i zrobili, a ta stara wrona wykrakała, że czeka ich wielkie nieszczęście. O, mój Boże, jak oni się z tego śmiali! Nieszczęście! Śmiali się jeszcze, kiedy wsiadali do kolejki górskiej w wesołym miasteczku, no i przestali się w chwilę potem śmiać, bowiem nowo upieczona pani Hemsterhuis, wsiadając, przejechała się na tamten świat. Ona zginęła, i to dosłownie. W czasie jazdy wyrzuciło ją z wagoniku. Nikt nie wie, jak to się właściwie stało. Wyleciała poza ogrodzenie i wylądowała dwanaście metrów niżej ze złamanym kręgosłupem na dachu kiosku z waflami...

Basile zatkał uszy i zaczął przerzucać strony gazety. Czytał nagłówki, oglądał zdjęcia i usiłował skupić myśli na własnych sprawach. Zastanawiał się, przed kim właściwie czy przed czym ucieka, przecież nie popełnił przestępstwa. No, nie, przestępcą nie był na pewno, gdyż w tym wypadku zostałby niechybnie uniewinniony. Tylko drobnych albo nazbyt zarozumiałych przestępców ściga się i skazuje. Kamiennych tablic Świętego Monstrum nie

¹⁶ Papieros uwodziciela (fr.)

podyktował Bóg na górze Synaj, ale jakaś pijana przygodna prostytutka w sypialni jego ekscelencji ministra: *l'ami de moi, ami Julien*.

– Kawalarz z tego Wubbego! To facet z dużą porcją zdrowego rozsądku. „Problemy – mawiał zawsze – co to w ogóle jest? Co to jest problem? Przecież to lipa, największa lipa naszych czasów. Dziś najprostsze sprawy rozdmuchuje się do wielkości problemów: problem niemowląt, problem żywienia, transportu, problem mieszkaniowy... Wszystko to bzdura – mówił. – Mam panu powiedzieć, co to jest problem? Całkiem zwyczajnie: jest to trudność, której nie można rozwiązać bez pomocy innych.”

Czy jednak cała ta decyzja wyjazdu nie była dziwna? Co właściwie będzie robił w Szwajcarii? W obcym otoczeniu, bez prawa pobytu, bez dochodów? Nawet nie mógł wystąpić do władz o udzielenie mu azylu politycznego, ponieważ od ostatniego przemówienia radiowego generała Plove, w którym wyraził; on głębokie zadowolenie z militarnej gotowości Helwetów w ramach zachodniej wspólnoty obronnej, synowie Wilhelma Tella oczywiście żywili wstręt do drapieżników-wegetarianów. W tej sytuacji pochwycono by go, najprawdopodobniej groziła mu ekstradycja albo przynajmniej odstawienie do granicy, no i wówczas po kilku tygodniach maszyna chwyciłaby go w swoje tryby. Właściwie nie zastanawiał się nad tym. Paskudna sprawa, obojętnie z jakiej strony ją się rozpatruje. Naturalnie nie musi od razu jechać do Bazylei, może na przykład na jakiś czas ukryć się w Paryżu. Kto to powiedział (a może wyczytał to gdzieś), że w Paryżu można urodzić się i umrzeć, a nikt tego nawet nie spostrzeże? Może to pocieszające?

– Najgłupsze jest to, że przez całe życie borykał się z całkiem prozaicznymi trudnościami, których bez pomocy innych nie potrafił pokonać. Tonął w problemach, chociaż zawsze w jakiś sposób udawało mu się utrzymać głowę nad powierzchnią wody. Kiedy jeszcze był kawalerem...

Kawa wypita w wagonie restauracyjnym pozostawiła w żołądku niemiłe uczucie czczości i palenia. Równie dobrze mógł się tak demonstrować głód, jak i zdenerwowanie. Położył gazetę na kolanach i zamknął oczy, a kiedy w chwilę potem otworzył je, ujrzał przed sobą twarz Puszka. Wydało mu się, że śni. Bez słowa wpatrywał się w zjawę. Gazeta zsunęła mu się z kolan, pochylił się i chwycił ją, nim jeszcze upadła, i ten szybki, instynktowny gest przywrócił mu wreszcie całkowicie świadomość rzeczywistości. „Znów ten facet – pomyślał skonsternowany – czego on ode mnie chce? Jak się go pozbyć?”

– Przeszkadzam? – zapytał Puszek z dziwnym grymasem, jakby powstrzymywał się od ziewania.

– Bynajmniej – odparł Basile bez przekonania.

Chciał jeszcze dodać jakąś konwencjonalną uprzejmość, ale pociąg wjechał właśnie do tunelu i słowa zginęły w łoskocie kół. Przygasło światło. Twarz Puszka stała się biała, podobna niemal do upiornej białej maski, która w dodatku przy każdym mijanym w tunelu punkcie świetlnym przybierała barwę pomarańczową, upodabniając się do owych okropnych rzeźbionych masek o strasznych, grubych rysach, jakimi Nowokaledończycy zwykli zdobić wejścia swych chat.

Pociąg wynurzył się z tunelu, a siedzący naprzeciw Basile'a mężczyzna tkwił na swym miejscu bez ruchu, wpatrując się gdzieś przed siebie. Miał zaciśnięte usta, mrugał powiekami i przyciskał do policzka rękę, jakby cierpiał na ból zęba. Powoli opuścił rękę. Tymczasem w sąsiednim przedziale rozmowny pasażer o tubalnym głosie zaczął bawić swego milczącego współtowarzysza podróży nową opowieścią:

– Jeszcze nie widziałem tylu śpiochów, ilu widać na ulicy, przy której mieszkam. W pobliżu są trzy garaże, ale świecą pustkami jak świątynie. Właściciel jednego z nich od dawna zmienił branżę; otworzył fabrykę pokrowców na samochody. Nie ma pan pojęcia, jaki to złoty interes. Facet dobrze się urządził.

– Dlaczego pan tak nagle uciekł? – zapytał Puszek. – Nudziła pana rozmowa?

Basile zawsze bardzo boleśnie cierpiał nad tym, że on, człowiek dorosły, czerwienił się równie łatwo jak podlotki, którym musiał uprzystępnić poznanie nowoczesnej literatury własnego kraju. I teraz też nic nie mógł na to poradzić: czuł, że się czerwieni. Wzmagające się zdenerwowanie sprawiło, że zamiast wykrztusić jakąś nieobowiązującą odpowiedź, odparł wręcz niegrzecznie:

– To dla pana takie dziwne, że chcę być sam? Tęsknię za odrobiną samotności, i to wszystko, proszę pana. A pan nigdy nie miał... – już chciał powiedzieć „problemów”, ale przypomniał sobie Wubbe Hemsterhuisa i użył słowa „trudności” – jakichś własnych spraw, wymagających przemyślenia...

Puszek patrząc obojętnym wzrokiem w okno przyglądał kciukiem swoje rude strzępiaste wąsy i tonem, jakby to miała być rozmowa bez owijania czegokolwiek w bawełnę, powiedział:

– Mogę się domyślić, jakiego rodzaju są pańskie kłopoty.

– Tak? – uśmiechnął się Basile z politowaniem. – Potrafi pan odczytywać myśli?

Pociąg jechał teraz wolniej. Dał gwizdkiem kilka sygnałów. Na podwórzu jednego z mijanych gospodarstw, niedaleko toru, stała dziwna maszyna przypominająca mechaniczną szarańczę. Puszek, spojrzawszy w tę stronę, wetknął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i powiedział wprost:

– Nie, jestem z policji śledczej, panie Jonas, i nie powinno to pana zdziwić, jeżeli powiem, że otrzymałem polecenie zatrzymania pana.

Nagłym ruchem wyjął rękę z kieszeni i podsunął Jonasowi pod nos legitymację; nazywał się Omer Potter i był istotnie funkcjonariuszem służby kryminalnej.

– Miałem szczęście, niewiele brakowało, a byłby mi pan umknął.

Basile siedział oniemiały; był przekonany, że Omer Potter słyszy każde uderzenie jego serca. „Do diabła, a jednak mnie złapał” – przeleciało mu przez myśl.

Był sam zaskoczony, że udało mu się zachować zimną krew. Opanował pierwszy strach i już całkiem spokojny zapytał:

– Dlaczego chce mnie pan zatrzymać? Czy nie wolno wyjeżdżać na urlop za granicę?

– Ten, kto ma wyrok skazujący na więcej niż rok pozbawienia wolności, nie może opuszczać kraju, jeżeli nie ma na to specjalnego zezwolenia. Nie wiedział pan o tym?

– Nie, nie wiedziałem – odparł Basile. – Czy to jedyny powód?

– Nie wystarczy panu? Całkiem możliwe, a nawet wręcz prawdopodobne, że istnieją ku temu jeszcze inne powody, ale ja ich nie znam i nie potrzebuję znać. Po prostu wypełniam otrzymane rozkazy.

– Rozumiem. Zatem zezwolenie specjalne albo raczej brak tego zezwolenia musi mi wystarczyć za oficjalny powód aresztowania. „Za oficjalny pretekst” – dodał w myśli, ale nie powiedział głośno.

Policjant nie odpowiedział. Siedział z szeroko rozstawionymi nogami jak stary, zmęczony życiem człowiek, a Basile nieruchomym otępiłym wzrokiem wpatrywał się w rozporek jego spodni. Spojrzał przypadkowo, ale nie mógł nie zauważyć, że podszewka przyszyta była niechlujnie; stebnówka zaś biegła krzywo i kończyła się rozwidleniem parę centymetrów poniżej paska.

– Gdy siedział tak, niczym Hiob na kupie gnoju, wzbudzał we mnie litość; może naprawdę spodziewał się, że oczyszczę jego rany... – opowiadał mężczyzna o tubalnym głosie.

– Skąd pan wiedział... W jaki sposób trafił pan na mój ślad? – zapytał Basile.

– To wcale nie było trudne. Ludzi pańskiego pokroju dobrze pilnujemy. Jest pan osobnikiem niepewnym politycznie. Pańskie nazwisko znajduje się na czarnej liście – a może nie wiedział pan o tym?

– Chce pan przez to powiedzieć, że byłem inwigilowany?

– Nie mamy zwyczaju, panie Jonas, ryzykować. Od roku był pan pod obserwacją, a poza tym ułatwił nam pan zadanie pozostawiając płaszcz w ośrodku Thorndike. Kiedy mniej więcej w godzinę po wyjściu przyniósł go panu do domu doktor Gruben, okazało się, że już pana nie było... Natychmiast przeprowadziliśmy w mieszkaniu rewizję, no i wiedzieliśmy wszystko. W dodatku zeznania dozorczy potwierdziły nasze przypuszczenia. Powiedział że widział, jak pan wychodził z walizką, i że...

– Skłamał. Nie widział, kiedy wychodziłem, widział mnie wchodzącego do domu.

– Powinien pan wiedzieć, że dziurki od kluczy służą nie tylko do tego, aby wkładać w nie klucze – stwierdził oschle Potter.

„A to łobuz!” – pomyślał Basile. Nietrudno mu było wyobrazić sobie księcia Edynburga zaglądnącego przez dziurkę od klucza; to bardzo do niego podobne: wulgarne dowcipy i szpiclowanie lokatorów!

– A potem śledził mnie pan aż do dworca?

– Nie, nie śledziłem. Nie jesteśmy jeszcze niestety wyposażeni w skrzydła. Wiedzieliśmy jednak dokładnie, gdzie należy pana szukać. Przyszedłem na dworzec, w chwili gdy pan odchodził od kasy. Gdybym się spóźnił o kilka minut, mógłbym pana już nie zauważyć. „Ależ tak – pomyślałem sobie – niech spokojnie wsiada do pociągu i tak mi już nie umknie.”

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział Basile. – Nie rozumiem, dlaczego nie interweniował pan wcześniej? Mógł mnie pan przecież zatrzymać nie czekając aż do tej chwili.

– Ach, my jesteśmy dobrze wychowani, nie jesteśmy przecież gangsterami wbrew temu, co się powszechnie o nas myśli. Najchętniej działamy tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, bez wzbudzania sensacji. – Wstał, podszedł do okna i rozpląszczywszy na szybie haczykowaty nos, powiedział: – Zaraz sam się pan o tym przekona. – Na chłodnej tafli szkła jego oddech pozostawił obłoczek z kropelek rosy. – Jesteśmy przy granicy. Na punkcie kontroli paszportów czeka na nas samochód, którym wrócimy, jeżeli wszystko dobrze pójdzie. Dla pańskiego dobra radzę zachowywać się spokojnie, jakby się nic nie wydarzyło. Może pan już przygotować walizkę. – Odwrócił się, zapiął swój czarny płaszcz i włożył czarne, żałobne rękawiczki. Przypominał karawaniarza szykującego się do odprawienia pogrzebu biedaka. – Liczę zatem na to, że nie będzie pan robił głupstw. I tak nie ma pan najmniejszej szansy – dodał zapinając zatrzaski rękawiczek.

Basile w milczeniu sięgnął po walizkę, zdjął ją z siatki, postawił na ławce i wkładając swój lodenowy płaszcz, zapytał:

– Dokąd minie pan zawiezie?

Potter zagadnął przechodzącego korytarzem konduktora:

– Czy jesteśmy już na stacji granicznej?

– Za chwileczkę będziemy, proszę pana – odparł zapytany i poszedł dalej. Tymczasem pociąg ruszył wolno, a Basile powtórzył pytanie:

– Dokąd mnie pan zabierze?

– Do Paalbergu – odrzekł Potter, a widząc przerażenie na twarzy Basile'a dodał lakonicznie: – Dlaczego musi się pan akurat nazywać Jonas?

– Serdecznie witamy w Paalbergu, panie Jonas, niechaj pan usiądzie, proszę, zapali pan cygaro, a może woli pan papierosy? – powiedział kierownik Państwowej Kolonii Paalberg, doktor Faes. Z wyglądu typowy wieśniak, miał proste, jasne włosy i czerstwą cerę człowieka przebywającego dużo na świeżym powietrzu. Pochodził prawdopodobnie z wiejskiej rodziny, która zdążyła już zapaść na trwałe korzenie w mieście. On sam jeszcze w obórcie odkrył w sobie powołanie do kariery naukowej i nadkładając trochę życiowej drogi, poprzez zajęcia w gospodarstwie i sofistyczną szkołę wiejskiego chłopca wspiał się na wysoki szczebel drabiny stanowisk Świętego Monstrum, aż do obecnego zaufanego stanowiska. Ściany w gabinecie

doktora Faesa zdobiła dosyć wysoka, drewniana boazeria, nad którą wisało kilka obrazów malowanych w stylu abstrakcyjnym, a obok nich parę szkiców naśladowujących prymitywne rysunki dziecięce.

Basile sięgnął po papierosa, stwierdziwszy jednak, że to Jumbo z filtrem, po krótkim wahaniu zdecydował się na cygaro, chociaż miał uczucie, że poparzy sobie palce. Z banderoli cygara uśmiechała się do niego wykrzywiona w błazeńskim grymasie twarz człowieka, tego samego, który wyzwolił w duszy narodu pożyteczne, budujące, postępowe siły.

Doktor Faes podsunął wskazującym palcem popielniczkę z nadrukiem „Rosaline”, po czym odchyliwszy głowę do tyłu i patrząc w sufit zapytał:

– Czy pan właściwie wie, dlaczego się tu pan znalazł?

– Domyślam się – odparł Basile ponuro. Zostałem aresztowany!

Jego wzrok spoczął na autentycznej, wypolerowanej czaszce. Leżała sobie na biurku między pudełkiem papierosów a słoikami po marmoladzie wypełnionymi kolorowymi otoczkami. Leżała tak i uśmiechała się, ściślej mówiąc: wykrzywiała się. Nie była to czaszka zwyczajna, jakie zwykli za drobne kwoty nabywać studenci medycyny po to, aby straszyc odwiedzające ich dziewczyny. Ta była wielka, ciężka, toporna niby czaszka słynnego rzeźmieszka Cartouche’a w Musèe de l’Homme; najwyraźniej należała do osobnika szczególnie interesującego dla naukowców. Dziwnym trafem ów grabarski fragment ABSOLUTNEGO SUPERLATYWU nie wzbudził w Basile’u najmniejszej nawet odrazy, po prostu widok ten kojarzył mu się jedynie ze śmiercią i procesem rozpadu.

– Nie ma pan zbyt pochlebnej opinii o naszej instytucji – zauważył dyrektor z łagodnym uśmiechem. – Wybaczam to panu jednak, ponieważ wiem, że poza tymi murami krążą o Paalbergu najbardziej makabryczne wieści. – Jego spojrzenie niczym drapieżny ptak zataczało od sufitu coraz szersze kręgi, aż wreszcie zatrzymało się na biurku. – Przecież Paalberg nie jest więzieniem ani zakładem wychowawczym, panie Jonas, nie jest też i tym wszystkim, co się jeszcze o nim mówi. Najlepiej pasowałoby tu określenie: Państwowe Schronisko dla Osób Zagrożonych. Chciałbym to panu bliżej wyjaśnić. Otóż skutek szybko postępującej ewolucji, skutek przemian społecznych i technicznych zachodzących na przestrzeni ostatnich dwudziestu, trzydziestu lat, pewna ilość ludzi, charakteryzujących się specjalnymi cechami, nie nadażyła, pozostała w tyle. Są to przeżytki minionej przeszłości, jak my to określamy. Ludzie ci determinowani owymi cechami, składającymi się na ich osobowość, jak również powodowani pragnieniem zdobycia indywidualnego uznania w społeczeństwie, nie nadążają za tempem życia, nie dorastają do wymogów nowego czasu, szkodząc tym samym logicznemu i harmonijnemu procesowi kształtowania się społeczeństwa postępowego, takiego, jakim je widzi i jak je rozumie człowiek nowoczesny. Owe przeżytki, w większej części idealisci i utopiści, uparcie bronią się przed integracją; czują się śmiertelnie nieszczęśliwi w świecie, który uznaje jedynie prawo zbiorowości. Stają się trudni dla otoczenia, ze strony którego grozi im w rezultacie zagłada. A grozi im dlatego, że masa silniejsza jest od jednostki, masa wchłania jednostkę i tak było zawsze. Na szczęście państwo w porę dostrzegło niebezpieczeństwo i w celu uchronienia owych zagrożonych jednostek przed nimi samymi i przed masą, podjęło decyzję założenia tej właśnie kolonii, w której przeżytki – a przynajmniej niektórzy przedstawiciele najważniejszych odmian tego gatunku – będą mogły resztę życia spędzić tu na koszt państwa, przy ograniczonej wprawdzie swobodzie, ale za to spokojnie, z dala od społeczeństwa, do którego nie pasują, gdyż przebywanie pośród współczesnych jest dla nich nieustanną udręką. Taka oto humanitarna idea przyświecała twórcom kolonii Paalberg, pierwszej i na razie jedynej placówki tego typu w Europie. Podjęciem tej inicjatywy państwo wyświadcza naturalnie wielkie usługi nauce: zapobiega wyginięciu pewnych typów ludzi, którzy dla biologów, antropologów, socjologów, jak również psychologów będą w przyszłości niezwykle cennym materiałem do studiów i

badan. Innymi słowy, panie Jonas, pański pobyt w Paalbergu przyczyni się też w pewnym stopniu do poszerzenia wiedzy i lepszego zrozumienia nowoczesnej historii kultury.

Basile nie wierzył własnym uszom. To, co tu usłyszał, było tysiącokrotnie gorsze, niż sobie wyobrażał. Było wręcz potworne. Położył papierosa na krawędzi popielniczki i w tej samej chwili nagle uświadomił sobie z całą wyrazistością fakt, że jego gościnny występ na tym świecie przyczyni się w znacznym stopniu do uświetnienia ludzkiego szaleństwa.

– Jeżeli dobrze pana rozumiałem, chce pan na resztę życia zamknąć mnie w tym rezerwacie dla ludzi?

Doktor Faes popatrzył na niego z udanym oburzeniem. Było to spojrzenie bezwstydnego człowieka, który czuje się na świecie jak u siebie w domu, który dokładnie wie, jaka jest wartość słów i czynów bliźniego, a z wiedzy tej stworzył swoją własną doktrynę. Kiedyś jego oczy były prawdopodobnie jasne, spojrzenie otwarte, szczere i pełne naiwnej życzliwości; siedział sobie ten wiejski chłopiec w oborze przy dojeniu krów, ścisnął kolanami wiadro, do którego spływało mleko, i wcale nie przypuszczał, że to samo mleko trafi nazajutrz do butelek kapslowanych przez pewnego człowieka i że będzie to ten człowiek, który w dwadzieścia lat później powoła jego, doktora Faesa, na stanowisko dyrektora Państwowej Kolonii Paalberg.

– Na litość boską, panie Jonas! Przecież powiedziałem już panu, że Paalberg to nie więzienie, jak można więc mówić o dożywotnim zamknięciu? Pan tu nie będzie zamknięty. Został pan po prostu do nas przyjęty, a to jest całkiem coś innego. Zamknięcie jest formą kary, zaś przyjęcie wyraźnym dowodem troski państwa o fizyczne i duchowe zdrowie jego obywateli. Należy pan teraz do grupy uprzywilejowanych, którym rząd zapewnia utrzymanie i gościnę w tym najbardziej uroczym zakątku kraju. Może to pana o tym przekona: otóż park, przez który przechodził pan przybywając do nas, zajmuje obszar o powierzchni szesnastu hektarów. Na tym terenie znajdują się baseny pływackie, korty tenisowe, ptaszarnia i kino na wolnym powietrzu, na razie jeszcze w budowie. Czyż to nie jest raj? Raj stworzony dla wykończonych społecznie osobników, panie Jonas, a pan nazywa to rezerwatem dla ludzi. Zresztą dobrze, niechaj będzie rezerwat, dlaczegoż by nie? Czy jest pan przeciwny rezerwatom? A czy amerykańscy Indianie nie są szczęśliwi w swoich rezerwach? Albo kolonie cygańskie w południowej Europie, czy to nie są rezerwy? Jedyne, czym różnią się od nas, to to, że ich mieszkańcy żyją tam w związkach plemiennych, ale to już problem etnologiczny. Dlaczego my nie mielibyśmy stosować tych samych form w stosunku do jednostek znajdujących się poza etnicznym i historycznym związkiem grupy narodowościowej?

Oniemiały ze zdumienia Basile wpatrywał się w leżącą na biurku czaszkę; wyobraźnia literacka nie opuściła go nawet w tych okolicznościach: widział w roli Hamleta Percy Shella trzymającego w dłoniach plastikowy rekwizyt teatralny – nieprawdopodobnie białą czaszkę, nawet słyszał, jak pięknym barytonem deklamuje niezapomniane słowa: *that skuli had a tongue in it, and could sing once*¹⁷ ... Kurtyna jednak opadła za wcześnie i pojawił się nagle przed nią sędzia śledczy Galie ze swą partacko ukształtowaną dolną częścią twarzy i w wielkich rogowych okularach, ów nieomylny urzędnik w roli Cezara – sędzia śledczy Galie recytujący okropnym angielskim akcentem: *Yound Cassius has a lean and hungry look, he thinks too much, such men are dangerous...* Przy wymawianiu spółgłosek zębowych szczęka kłapała mu, a z ust dobywał się dźwięk podobny do terkotania maszyny, na której pisał ów błądy młodzieniec. „*DANGEROUS* – powtórzył w myśli Basile – jestem niebezpieczny i dlatego tu siedzę. Sędzia śledczy postanowił uznać mnie za «przeżytek», ponieważ przed całą klasą upokorzyłem jego rozwydrzoną córkę, rozsiewając wokół zapach piżma. Może w jego oczach byłem nawet bardziej niebezpieczny niż wielokrotny morderca Cartouche, normy moralne bowiem zmieniają się podobnie jak klimat, moda i historyczne prawdy...”

¹⁷ Ta czaszka miała kiedyś język i umiała śpiewać (nieścisły cytat z Hamleta)

– Był godny pozazdroszczenia – ciągnął dalej doktor Faes z udanym entuzjazmem. – Ma pan własny pokój, wszelki komfort i tyle wolnego czasu, ile dusza zapagnie. Proszę sobie wyobrazić tylko, że od tej chwili do końca życia może pan poświęcać się bez reszty własnym upodobaniom. Może pan czytać, studiować, pisać wiersze, grywać na skrzypcach... Czego pan chce jeszcze? Nawet zachęcamy naszych gości, aby kultywowali swoje zamiłowania, pragniemy bowiem, żeby zachowali własną osobowość. Nadzwyczaj ważne jest, by nie zatracili swych typologicznych cech, a nadto...

„Nadto – pomyślał Basile – pańska uprzejmość, życzliwa wyrozumiałość, pańskie gładkie, cywilizowane zdania, którym nic się nie da zarzucić, sprawiają, że nie mogę nawet wyróżnić pana w jego prostacką gębę.” Tak pomyślał, chociaż doskonale wiedział, że nie podniósłby ręki nawet na swego najbardziej nieprzejednanego wroga. Nie zdarzyło się, by uderzył człowieka, i nigdy tego nie uczyni, może dlatego, że uczucie złości zbyt szybko u niego zawsze przemijało, przekształcając się w smutek; może dlatego, że uważał za niskie i niegodne człowieka płacenie grubiaństwem za grubiaństwo, ale przede wszystkim chyba dlatego, że nastąpiło to, co przepowiadała panna Baert: od chwili ogłoszenia wyroku skazującego stał się tchórzem. Bardzo szybko stoczył się na samo dno strachu i tchórzostwa.

– Na razie dom nie jest przepełniony – uspokoił Basile’a dyrektor. – Obecnie znajduje się tu tylko dziesięciu pensjonariuszy, to znaczy, pan jest numerem dziesiątym. Bardzo interesująca kolekcja – dodał najzupełniej poważnie. – Mamy zatem jednego filantropa, wspaniały okaz szlchetnego rycerza; jednego altruistę, dalej, platonicznego kochanka, no i innych. Wszyscy oni to ludzie dziwni, o bardzo dziwnych poglądach, no ale to zrozumiałe, w końcu i pan też dlatego się tu znalazł.

„A ja? Jaką dla mnie przygotowaliście etykietkę?” – miał ochotę zapytać, ale w tej samej chwili zapukano do drzwi; do gabinetu wszedł szczupły mężczyzna niskiego wzrostu. Miał na sobie kurtkę w kilku miejscach popryskaną wapnem, co pozwalało domyślać się, że zapewne pomagał przy budowie kina na wolnym powietrzu.

– A oto pan Grimm, sekretarz biblioteki – oznajmił uroczyście doktor Faes. Na tym zresztą zakończyła się prezentacja. Sekretarz biblioteki nie zaszczycił Basile’a nawet spojrzeniem, tylko otworzywszy teczkę, którą przyniósł ze sobą, położył ją na biurku.

– Znalazłem rachunek Van Somerena – powiedział z ponurą miną. Cała jego postać wyglądała jak strach na wróble, którego zadaniem było odstraszenie z poletka zarządu wszystkich urzędników inspekcji państwowej.

– Wiedziałem, że musi się znaleźć – odparł doktor i z uznaniem pokiwał głową, przelotnym spojrzeniem obrzucając przedłożony mu rachunek.

– Czy mogę zapłacić? – zapytał Grimm już z nieco mniej ponurym wyrazem twarzy.

– Niech pan jeszcze trochę odczeka. Chciałbym mieć jeszcze jedną ofertę z Unifarmu. W końcu nie musimy przecież godzić się, ażeby nabijano nas w butelkę. – Zwracając Grimmowi teczkę zapytał: – Czy otrzymał pan już akta Basile’a Jonasa?

– Nie wszystkie. Tylko akta sądowe i raporty komisji śledczej oraz Rady Pedagogicznej.

– Czego brak jeszcze?

– Sprawozdania Komisji do Badań Psychotechnicznych...

– Ach, tak. Proszę mnie zawiadomić, gdy nadejdzie.

– Oczywiście.

Basile odprowadził wzrokiem stracha na wróble wychodzącego z pokoju i nagle uświadomił sobie, że ma już tego wszystkiego dosyć. Sam fakt, że do śmierci od tej chwili krąg otaczających go twarzy ograniczony zostanie do bladego oblicza okropnego pana Grimma i prostackiej, ucywilizowanej fizjonomii bezczelnego doktora Faesa, wydał mu się pod każdym względem nie do zniesienia. Pograżony w myślach wodził wzrokiem od drzwi, przez które wszedł sekretarz, do ogarka cygara na brzegu popielniczki, ale nic nie widział. „Aż do samej śmierci:” – myślał, a chór pielgrzymów – wspominał o nich jeszcze tego

samego dnia w gabinecie doktora Grubena – przy światłach pochodni wstępował na zbocze ciemnego wzgórza i śpiewał przytłumionymi głosami: *IN AETERNITATEM!* Wyćwiczeni w pokorze nie mieli już żadnych pragnień, tylko nieustannie wznosili wołanie ku Niewidzialnemu, który rozdelał czerstwy chleb łaski: *IN AE-TER-NI-TA-TEM*, sześć sylab wieczności w nieskończenie terażniejszym czasie. Czy ludzka tęsknota do wieczności, jaką między innymi pragnął rozbudzić w duszy Marty Simons, nie podobna była samotnemu pielgrzymowi, podążającemu od kurnych chat życia ku Złotej Bramie, pielgrzymowi napadniętemu w odludnym miejscu przez zbójców i przez nich zabitemu?

– Pana cygaro zgasło – zauważył doktor Faes. „*IN AE-TER-NI-TA-TEM*” – śpiewali mnisi. W ich głosach nie było już siły ani wiary, bowiem nie doszło do rozdziału chleba, łaskę na własnych szalach rozważyli kramarze prawa utipro-społeczeństwa, zaś życie wieczne pozostało za zapotniałą szybą, za którą Niewidzialny nadal pozostał niewidzialnym.

– Będzie pan miał tu wszystko, czego dusza zapagnie, panie Jonas. W takiej małej społeczności jak nasza czeka pana długie i szczęśliwe życie: żadnych trosk, żadnej kłopotliwej odpowiedzialności, żadnych zadań szarpiących nerwy. Dla ludzi pańskiego pokroju zorganizowane społeczeństwo jest przecież nieustanną udręką, uwalniamy więc pana od niej i przesadzamy na odpowiedni grunt.

Gdzieś trzasnęły drzwi i po chwili dały się słyszeć szybkie przytłumione kroki. Basile sądził, że pewnie zaraz znów się pojawi ponury pan Grimm, ale nikt nie przyszedł. Zapadła cisza, podczas której dyrektor szykował się do wygłoszenia epilogu swej pełnej wdzięku mowy pogrzebowej, zaś Basile zrozumiał nagle, że owe naiwne w kolorach i formie rysunki zdobiące ściany, nie były dziełem dziecka, lecz człowieka dorosłego, stanowiły niewątpliwie próbkę miejscowej paalberskiej twórczości artystycznej któregoś z „uprzywilejowanych osobników” doktora Faesa. Podobnie jak w szkole i tu zgromadzono na małej wystawce najlepsze prace.

– A więc omówiliśmy prawie wszystko. Teraz jeszcze *tableau de la troupe*¹⁸ pana Grimma już pan poznał, widział go pan przed chwilą. Nie zna pan natomiast doktora Ryckhovea, kierownika oddziału medycznego. To bardzo sympatyczny człowiek, a przy tym jeden z najzdolniejszych lekarzy okręgowych. Bywa tu dwa razy w tygodniu: w czwartki i piątki. W razie potrzeby zastępuje go pan Pücker, pielęgniarz mieszkający tu na miejscu. Pan Pücker jest do dyspozycji gości, można powiedzieć, dzień i noc. Miejmy nadzieję, że nie będzie pan potrzebował pomocy żadnego z nich – co mówiąc zasłonił oczy dłońmi i zaczął palcami masować sobie czoło. Był złym aktorem: równie nieudolnie udawał zmęczenie, jak i entuzjazm. – Kuchnią – mówił dalej – zajmuje się małżeństwo z Kanady, pan i pani Douglas, oboje przez sześć lat pracowali w jednym z dużych irlandzkich hoteli. Mogę pana zapewnić, że na jedzenie nie będzie pan miał okazji uskarżać się. Dalej... no, ze służbą, z pomocniczym personelem, z ogrodnikiem będzie pan miał niewiele styczności, nie muszę zatem o tych ludziach mówić. Będzie pan zaś na pewno stykał się z dozorcami, Swinnenem i Marienem, oraz z ich szefem Stichlerem.

Odjąwszy ręce od twarzy, skierował zamyślane, nieco melancholijne spojrzenie na czaszkę, jakby opuściła go na chwilę owa rzeczowość nakazująca odsunąć nieortodoksyjną myśl, że kiedyś sam będzie tak wyglądał.

– Nie są to ludzie szczególnie łatwi, a zwłaszcza nasz przyjaciel Stichler. Niech pan będzie na to przygotowany, że wcześniej czy później popadnie pan z nim w kolizję. Stichler zresztą otwarcie przyznaje, że jest mizantropem. W gruncie rzeczy wszyscy po trosze jesteśmy mizantropami, nie darzymy zwłaszcza przyjaznymi uczuciami tych, którzy przysparzają nam kłopotów. Nasz przyjaciel Stichler to już jednak przypadek patologiczny.

¹⁸ Tu: skład personelu (fr.)

„Zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe – pomyślał Basile. – Wreszcie ktoś, kto nie wstydzi się wyznać, że nie cierpi ludzi.” Już otworzył usta z zamiarem powiedzenia, że być może, z „naszym przyjacielem” Stichlerem jakoś sobie poradzi, ale doktor Faes okazał się szybszy i podniesionym głosem zaczął nowe zdanie uniemożliwiając ten zamysł.

– Zresztą sam pan zobaczy... – powiedział.

„Może jednak wyjdę stąd kiedyś” – pomyślał poddając się nagłemu przyływowi nadziei i ufności. Przed chwilą bliski był całkowitego zwątpienia, ale teraz oceniał sytuację trzeźwo. „W taki czy inny sposób wyjdę stąd, to wszystko jest przecież tylko makabrycznym snem.” Pielgrzymi zamierającym głosem śpiewali *TA-TEM, TA-TEM, TA-TEM*, nikłe echo wieczności, po chwili chór zamilkł i bezszelestnie zstąpił z nieba „nasz przyjaciel Stichler”. Zjawił się nagle w pokoju i stanął niedaleko biurka. Basile nie słyszał, kiedy wszedł, i chociaż nigdy tego człowieka nie widział, domyślił się od razu, że to właśnie Stichler. Prawdopodobnie lekarz przywołał go dzwonkiem; wystarczyło nacisnąć niewidoczny przycisk, współpracownicy stali w pogotowiu: wrogowie ludzi, ludożercy, kolekcjonerzy „przeżytków”.

– Stichler, oto nasz nowy gość, pan Jonas. Może zechce pan zaprowadzić pana Jonasa do jego pokoju i od razu zapoznać z regulaminem. Może też oprowadziłby pan go szybko po domu, żeby poczuł się u nas trochę lepiej. Tłumaczyłem już panu Jonasowi, że Paalberg to nie więzienie, ale raj, a co zatem idzie, wy nie jesteście tu dozorcami, tylko raczej aniołami opiekuńczymi, odniosłem jednak wrażenie, że przekonałem go o tym tylko połowicznie.

Stichler posapywał, ale nic nie mówił. Upłynęła minuta, nim Basile odważył się przyjrzeć mu trochę dokładniej i był wręcz rozczarowany wynikiem tej lustracji, musiał bowiem stwierdzić, że szef dozorców nie wyglądał bynajmniej na wroga ludzi. Sprawiał raczej wrażenie starego, przeżytego człowieka, kogoś w rodzaju oszusta-amatora, byłego kasjarza albo kasjera, który, sprzeniewierzywszy powierzone mu przez firmę pieniądze, przehulał je gdzieś za granicą, aż wreszcie po kilku latach powrócił w podejrzanym okolicznościach do kraju jako *persona non grata* i znów wypłynął na powierzchnię w służbie państwowej na jakiejś straconej placówce. Lewy, pusty rękaw jego wyświechtanej kurtki stanowił niejako moralny rekwizyt właściciela, jakby to miało być okolicznością łagodzącą dla jego niecnej przeszłości i niechlubnej przyszłości. Gdyby Cartouche, w chwili kiedy popełniał swoje przestępstwa, miał tylko jedną rękę, być może nie wzbudzałby w sędziach jedynie uczucia odrazy, ale raczej współczucie.

Basile spuścił wzrok, a doktor Faes chrząknął i zwracając się do swego gościa powiedział to samo, co Basile usłyszał już w pociągu od funkcjonariusza policji kryminalnej:

– Mam nadzieję, że okaże pan rozsądek i nie popełni żadnego głupstwa – po czym znacząco dodał – już my pomożemy panu w tym, by okazywał pan rozsądek.

Zabrzmiało to nie jak pogrożka, ale raczej życzliwa propozycja, wielkoduszny gest ze strony doktora, który swemu gościowi stawiał niejako własny zasób zdrowego rozsądku do dyspozycji.

Basile wyszedł z pokoju w towarzystwie dozorca, który przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Wyglądać by mogło na to, że stracił wszystko, co człowiek ma w ogóle w życiu do stracenia: pieniądze, miłość bliźniego, ramię i umiejętność mówienia. Niemy jak ryba szedł przodem przez korytarz. Przy schodach, wiodących zapewne na wyższe piętra, skręcił w lewo. Znaleźli się w lewym skrzydle budynku.

Wnętrze paalberskiego rajku urządzone było podobnie jak wiele podupadłych hoteli, niegdyś pierwszej kategorii, obecnie mogących przedłużyć swą egzystencję jedynie kosztem obniżenia taryfy. Ściany korytarzy zdobiła okładzina ze sztucznego marmuru i sztukaterie, zaś podłogi pokrywały wystrzępione, czerwone chodniki. Rury centralnego ogrzewania, biegnące miejscami bezpośrednio przez korytarz, kojarzyły się Basile’owi, podążającemu za milczącym aniołem opiekuńczym Stichlerem, z kłębowiskiem wnętrzości Świętego

Monstrum. Przez chwilę naprawdę miał wrażenie, że tkwi we wnętrzu brzucha Walfischa, który połknął go i już nie wypluje. Gdyby tak Stubbe mógł go tu zobaczyć, ale Stubbe teraz prawdopodobnie nawet o nim nie myślał: stał w klasie na podium i powolnym ruchem ręki dyrygował gramatycznym chórem altów i sopranów: *ich liebe, du liebst, er liebt, wir lieben...* Nawet nie przeczuwał, że o sto kilometrów od niego istnieje miejsce, w którym miłość poddana była izolacji i uszlachetniana, niczym gatunek słodkowodnego polipa skazanego na wymarcie.

W połowie drogi Stichler wreszcie przerwał milczenie:

– Biblioteka – oznajmił oschłym tonem, otwierając jedne drzwi.

Basile zajrzał do środka bez zbytej ciekawości. Zobaczył rzędy książek obłożonych niebieskim papierem oraz stół niegdyś służący do gry w ping-ponga, obecnie stanowiący wyposażenie czytelnicy. Całość sprawiała dosyć nędzne wrażenie, najwidoczniej tego samego zdania był Stichler, zaraz bowiem zamknął drzwi. Ruszyli dalej korytarzem, na końcu którego dozorca zatrzymał się przed drzwiami opatrzonymi tabliczką „Izba Chorych”. Zapukał, wszedł do środka oznajmiając:

– Izba chorych.

Jakiś mężczyzna o twarzy zaspanej i pomarszczonej jak miech, z którego wypuszczono powietrze, siedział tu przy metalowym biurku i wycinał nożyczkami z ilustrowanego tygodnika obrazkową historyjkę. Człowiek ów spojrzał zaskoczony na wchodzących. W szybie szafki aptecznej, stojącej po prawej stronie przy ścianie, widać było odbicie dalszej części pokoju z kilkoma połowymi łózkami, które musiały stać zapewne naprzeciw biurka. Stichler wymienił z mężczyzną porozumiewawcze spojrzenie, skrzywił się przy tym i trochę speszony zamknął delikatnie drzwi, jakby zobaczył za nimi coś, czego nie należało oglądać. Poszli dalej i dopiero na stopniach wiodących do oszklonej werandy Stichler uprzedzając pytanie Basile’a wyjaśnił:

– Człowiek, którego pan tam widział, to pan Puck, pielęgniarz.

Nie uszło uwagi Basile’a, że powiedział Puck zamiast Pück i że słowo „pielęgniarz” wypowiadał dziwnie twardo. Stwierdzenie to obudziło w nim obawę, czy obecność „naszego przyjaciela” Stichlera tu, w tym z naukową skrupulatnością zorganizowanym rezerwacie dla ludzi, nie mogła być przypadkiem koszmarną zapowiedzią nowej inwazji niemieckiej? Jego nazwisko, akcent, sposób, w jaki przyjmował polecenia i w jaki je wypełniał, a nawet ten pusty rękaw, nie pozostawiały cienia wątpliwości, że wywodzi się on w najprostszej linii z czysto germańskiego drzewa genealogicznego.

Po werandzie, stanowiącej rodzaj zimowego ogrodu, skąd rozciągał się widok na część parku, zwiedzili jadalnię i kuchnię. W jadalni na honorowym miejscu wisiał portret prezydenta. Kobra ze swym niezmordowanym cyrkowym uśmiechem spoglądał ze ściany na stoły. W kuchni, składającej się z właściwego kuchennego pomieszczenia i niewielkiej przygotowalni, pachniało zupą czosnkową. Kobieta, o włosach koloru soli z pieprzem i z dziewczęcymi dołeczkami w policzkach, formowała z mięsa imponujących rozmiarów klopsy i układała je w misce. Sprawiała wrażenie osoby znajdującej się w transie. Basile zaskoczony był zarówno wielkością klopsów, przypominających piłki tenisowe, jak i niezwykłą zręcznością, z jaką kucharka je przygotowywała. Jej ręce nie poruszały się prawie, a w jednej chwili z pełnej garści mielonej masy powstawała kształtna kula. Za jej plecami na stole piętrzyła się piramida z puszek po konserwach. Basile zastanawiał się, czy przypadkiem małżeństwo Douglas nie zamienia po obiedzie kuchni w kręgielnię, używając zamiast sprzętu do tak pożytecznych zajęć kondycyjnych puszek i klopsów zwróconych ze stołu.

– Pani Douglas – powiedział Stichler – dziś wieczorem będziemy mieli o jednego gościa więcej.

Wyrwana z transu pani Douglas spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na dozorcę i niskim, męskim głosem, który bez względu na to, co mówiła, nadawał słowom ton władczy, odparła:

– Tak, słyszałam o tym.

Obrzuciła Basile'a z daleka wzrokiem, w którym nie było ani cienia zainteresowania, i wróciła do przerwanej pracy. Zapach zupy czosnkowej i widok klopsów wywarł piorunujące wrażenie na żołądku Basile'a. Od rana, to jest od wyjścia z domu do Ośrodka Thorndike, nie miał nic w ustach i dopiero teraz poczuł nagle przeraźliwy głód.

Kiedy znów znaleźli się na korytarzu, jakiś mężczyzna zagadnął Stichlera. Miał duże sarnie oczy i uczciwe przyjazne spojrzenie, co od razu wzbudziło w Basile'u życzliwe dla niego uczucia i zaufanie. Ku jego zdumieniu Stichler przedstawił mu mężczyznę, wprowadzając go nie w ów uprzejmy sposób, w jaki dokonuje się prezentacji obcych sobie ludzi, ale po prostu:

– Pan Swinnen – powiedział krótko, wprost niegrzecznie. Jeżeli Stichler nie był wrogiem ludzi, to w każdym razie miał wyjątkowo przykry charakter. Pan Swinnen szybkim ruchem ręki, jakby chciał pochwycić spadający przedmiot, podał dłoń nowemu gościowi. Jego ręka była lodowato zimna, zapewne przed chwilą dopiero wszedł do budynku.

– Wydaje mi się, jakbym już pana gdzieś spotkał – powiedział. Miał małe wilgotne, usta podobne do daktyla w cukrze; słownictwo, jakim się posługiwał, było równie niechlujne jak wypuszczona na spodnie, wytarta koszula o barwie karmelu.

– Daj spokój z głupim gadaniem, Swinnen – ofuknął go Stichler. – Gdzie miałbyś go spotkać? W przedszkolu?

Nietrudno było zauważyć, że Swinnen poczuł się dotknięty. Zdradzały to jego oczy. Basile zląkł się, że nagle jeleń rzuci się w ślepych zapamiętaniu na wilka. Dozorca na szczęście skwitował to protekcyjnym kuksańcem i powiedział do szefa:

– Ty stary mruku – po czym rycząc z radości oddalił się w stronę oszklonej werandy.

Stichler odwrócił się i ruszył w głąb korytarza. Basile z trudem za nim nadążał, dozorca szedł teraz znacznie szybciej, jakby spotkanie ze Swinnenem przypomniało mu o czymś, co dodało mu skrzydeł. Znów wrócili do głównego wejścia idąc po czerwonym wystrzępionym chodniku wśród rur-trzewi Świętego Monstrum, zanim jednak dotarli do schodów, Basile spostrzegł coś, co przedtem uszło jego uwagi: otóż bark Stichlera z tej strony, gdzie zwiślał pusty rękaw, był dziwnie opuszczony. Wyglądało to tak, jakby lekarz dokonujący amputacji ręki przez przeoczenie odpiłował też i łopatkę. Czuł się prawie oszukany tym odkryciem, zobowiązywało go ono bowiem niejako do okazywania wyrozumiałości i współczucia człowiekowi, który mógł budzić jedynie uczucie niechęci. Przy schodach Stichler przystanął i z nogą na stopniu powiedział:

– Tymi drzwiami – wskazał drzwi na prawo od schodów, po drugiej stronie korytarza – przechodzi się do prawego skrzydła. Tam jednak nie ma pan czego szukać. Tam mieszka dyrektor. – Wchodząc na schody powiedział jeszcze: – A tam są toalety. – Wskazał ręką ponad balustradą na wąski korytarz na niższym podeście. – Ponieważ na górze też są, nie musi pan z tych korzystać.

Podobnie jak parter, również piętro przecinał wewnętrzny korytarz, dzielący budynek na dwie części. Te same co tam sztukaterie i czerwony wytarty chodnik. Po obydwu stronach korytarza mieściły się pokoje personelu mieszkającego stale w Paalbergu, toalety i wreszcie na samym końcu, oddzielone małym przedpokoikiem od pokoi Pucka i Douglasów, dwa niezamieszkałe pokoje gościnne.

– Tu ja mieszkam – oznajmił Stichler nie otwierając jednakże drzwi. Pokój usytuowany był blisko schodów, na wprost toalet i dzięki takiej lokalizacji panował nad jedynym przejściem, łączącym piętro z parterem. – Pokoje pozostałych dozorców znajdują się dalej, za moim.

W korytarzu stała palma w drewnianym wiadrze, a obok niej na ścianie wisiła odrapana gaśnica pianowa, coś w rodzaju eksponatu muzealnego, wyglądająca jak hakownica albo stara rura od pieca. Idąc dalej Basile wyjrzał przez duże okno oświetlające cały korytarz,

spodziewał się pięknego widoku na park, ale oczom jego ukazał się tylko kopulasty dach jakiegoś budynku przypominającego pawilon ogrodowy.

– A tam kto mieszka? – nie mógł powstrzymać się od pytania.

– Gdzie?

– W tym pawilonie.

Stichler stał wyprostowany i dziwnie osłupiałym wzrokiem patrzył za okno, jakby dopiero teraz po raz pierwszy zauważył kopulasty dach. Był trochę zmieszany i wyglądało na to, że zastanawia się, co odpowiedzieć.

– To jest takie małe letnie mieszkanie dla naszych gości – odparł wreszcie z dwuznacznym uśmiechem, podobnym do tajemniczego uśmiechu pana Vasalisa.

Basile przekonany był, że dozorca nie powiedział prawdy, ale doszedł do wniosku, że nie jest to w końcu takie ważne. Poczul się słabo, kolana mu drżały, był tak śmiertelnie zmęczony, że już nawet zobojętniał na tę nową rzeczywistość, w której wokół czyhały nieznane niebezpieczeństwa. Każdy krok po czerwonym chodniku oddalał go od niedawnej jeszcze przeszłości, od owej codzienności, w której pozostawił każde tchnienie, każde uderzenie serca niczym wyblakły rękopis albo poźółkły ekslibris w starej, zakurzonej księdze, która od dawna już przeszła w inne ręce. Nie stawiał żadnych pytań i już nawet nie myślał, że uda mu się stąd kiedykolwiek wyjść. Człapał zobojętniały na wszystko za Stichlerem i po prostu myślał: „Co mnie to wszystko obchodzi?”

– Dostanie pan ostatni pokój w tym korytarzu, tam w rogu – oznajmił Stichler. – To jedyny, wolny jeszcze pokój od frontu.

Wszystkie zamieszkałe pokoje gościnne istotnie mieściły się we frontowej części gmachu, jeden obok drugiego, jak w hotelu. Na drzwiach umieszczone były na wysokości oczu rosłego mężczyzny judasze, które zresztą uczyniły na Basile’u odpychające wrażenie, jednakże w mniejszym stopniu niż drewniane tabliczki z nazwiskami, zawieszone powyżej. Pomalowane na żółto deseczki niegdyś przejęte zostały zapewne wraz z inwentarzem schroniska młodzieżowego, obecnie wypisana była na nich czarną farbą naukowa klasyfikacja pensjonariusza, któremu pokój został przydzielony. Z narastającym zdumieniem Basile odczytywał napisy na drzwiach, niewiele brakowało, żeby poczuł się jak człowiek zwiedzający ogród zoologiczny czy botaniczny: „S. Joos” informowała pierwsza tabliczką, a pod nazwiskiem drobniejszym już pismem w nawiasie: *spiritualistis emersonianus*¹⁹. Za następnymi drzwiami mieszkał E. Lambrecht (*amans platonicus*²⁰), dalej C. M. Van Moort (*philantropus jellybyisticus*²¹), potem I. Cambier (*typus benefactoris anonymi*²²), lokator przedostatniego pokoju. Basile odczuwał dotkliwy ból w oczach, zdruzgotany, pełen przerażenia spoglądał na ostatnie drzwi. Stanąwszy wreszcie przed nimi, odetchnął z ulgą: na tabliczce jeszcze nie było żadnego napisu. Sam nie wiedział, skąd brał się u niego ten lęk nia widok owych pseudonaukowych etykietek. Przecież doskonale wiedział, że nie miały one żadnego znaczenia, sam kiedyś zajmował się psychologią na tyle, żeby móc dokładnie ocenić relatywną wartość tego rodzaju klasyfikacji. Nawet wśród szarego stada nie znajdzie się dwu jednakowo szarych osobników. Myśl, że zostało się zaszeregowanym do jakiejś tam kategorii, nie była jednak krzepiąca, nawet jeżeli jej przedstawiciele mieliby uchodzić za wyjątkową rzadkość. Było to sprzeczne z własnym przekonaniem, że człowieka nie można zaliczyć do żadnej z istniejących grup, posiada on bowiem wystarczająco dużo własnych cech charakterologicznych, aby w świecie form widzialnych stanowić odrębną indywidualność. Wiedział o tym wszystkim, a mimo to nie mógł przestać myśleć o etykietkach i kiedy Stichler, otworzywszy drzwi pokoju, ruchem głowy zachęcił go do wejścia, miał ochotę

¹⁹ Spirytualista emersoński (łac.)

²⁰ Platoniczny kochanek (łac.)

²¹ Filantrop galaretowaty (łac.)

²² Typ anonimowego dobroczyńcy (łac.)

chwycić go za pusty rękaw i uprzejmie zapytać: „A ty *misanthropus communis*²³, czy ty dostałeś już tabliczkę na swoje drzwi?”

Naturalnie nie uczynił tego. Jego nieszczęściem było, że zawsze tłumił w sobie wszelkie złe zamysły; prawdopodobnie właśnie to było jedną z przyczyn, dla których wylądował w Paalbergu. *Misanthropus communis* wszedł za nim do pokoju.

– A więc to jest pański pokój. Niewielki wprawdzie, ale za to wygodny: centralne ogrzewanie, zimna i gorąca woda, wentylator i składany stolik – co powiedziawszy demonstracyjnie opuścił i zamknął przymocowany do ściany blat. – Tu w szafie ściennej, na górze, wmontowane jest radio i aparat telewizyjny.

Basile rozejrzał się po pokoju: w nogach łóżka wzorowo ułożona pościel, nowiutka, pachnąca jeszcze klejem szafa na ubranie, a przed łóżkiem wprawdzie nie nowy, z przydeptanym już trochę włosem, autentyczny dywanik.

– Całkiem przyjemny – stwierdził Basile robiąc kilka kroków – całkiem przyjemny.

Stichler milczał. Spoglądał na Basile’a, jakby w oczekiwaniu na pytania. Spodziewał się ich, ale usłyszawszy pierwsze, zaczął się wykręcać od odpowiedzi.

– A czy mikrofony też tu są gdzieś wbudowane?

– Taki pomysł nie przyszedłby im nawet do głowy, panie Jonas – odparł wreszcie całkiem szczerze, kładąc jednak dziwny nacisk na słowa „panie Jonas”.

Basile podszedł do okna. Widać stąd było aleję wjazdową wysadzaną żywopłotem z cisów. W stronę budynku jechała właśnie czerwona furgonetka, minęła podjazd i zatrzymała się za zbiornikiem na wodę, na parkingu, obok dwu innych stojących tam samochodów. Zbiornik był pusty, a jego dno pokrywała warstwa liści opadłych z drzew okalających parking. Z furgonetki wysiadł mężczyzna. Basile przypomniał sobie, że był to ten sam samochód, którym przywieziono go tu. Odcinek drogi od bramy wjazdowej do placu przed budynkiem przebyli wówczas w dwie minuty, a więc dom musiał stać w odległości przeszło tysiąca metrów w głąbi parku i na pewno z szosy nie można go było zobaczyć.

– Chciałbym zwrócić uwagę pana jeszcze na kilka rzeczy – powiedział Stichler, a w chwilę potem zapytał: – Słucha pan, co mówię, czy też to pana nie interesuje?

– Naturalnie, słucham – odparł Basile i nie odwracając się dalej patrzył w okno; widok, jaki miał przed oczyma, odwoził myśli od ogarniającego go z coraz większą siłą śmiertelnego z wąpienia. Walcząc z tym uczuciem pomyślał: „Mam zaszczyt i zarazem przyjemność słuchać, co pan mówi, ale to, co pan mówi, nie interesuje mnie naprawdę.”

– Otóż chciałbym szczególnie na kilka spraw zwrócić pańską uwagę – ciągnął dalej Stichler.

Basile stał twarzą zwrócony do okna i dalej patrzył na pusty basen z dnem zasypianym pożółkłymi liśćmi i na czerwoną furgonetkę. Starał się za wszelką cenę zachować spokój, ale nie mógł opanować drżenia kolan. Nienawidził sam siebie w tej chwili za to, że nic nie mówi, że nie broni się ani nie oburza. Przez całe życie godził się zawsze w milczeniu i ze spuszczoną głową na to, by każdy, kto tylko sądził, że ma ku temu prawo, upokarzał go. Mógłby przywołać na pamięć nieskończenie wiele twarzy: dyrektor Walfisch, matka Marty, sędzia Galie, owi *managers of faer*, doktor Gruben, błazen dozorca... Nigdy w żaden sposób nie sprzeciwiał się tym ludziom, zezwalał im na wszystko, i to tylko dlatego, że miał zawsze poczucie winy za to, co inni przeskrobali, i właśnie to poczucie winy upoważniało tamtych do tego, aby go gnębić. Nawet teraz, kiedy SYSTEM oficjalnie zmienił jego poczucie winy w autentyczną WINĘ i skazał go za nią na dożywotnie pozbawienie wolności, nie uważał za słuszne, by protestować, aby przeciw temu wystąpić. To właśnie było niepojęte, idiotyczne, ale już chyba było za późno na zmianę kursu. Etykieta była przygotowana i jutro albo pojutrze drobnymi czarnymi literami zostanie wypisany na niej tytuł jego winy. Czekał na to,

²³ Mizantrop pospolity (łac.)

a czekając w milczeniu i ze spuszczoną głową słuchał, co miał mu do zakomunikowania Stichler, posłuszne narzędzie tego SYSTEMU, na temat tajników miejscowego regulaminu.

– Posiłki podawane są we wspólnej jadalni o ósmej rano, o pierwszej w południe i o dziewiętnastej. Tutejszy zwyczaj nakazuje punktualne przychodzenie do jadalni. Czasem między posiłkami może pan dowolnie rozporządzać: przebywać w pokoju, spacerować po parku – do wyboru. Po zachodzie słońca jednak nie wolno już opuszczać budynku, niech pan o tym pamięta.

Zamilkł na chwilę. Basile słyszał głosy dochodzące z zewnątrz, ale nikogo nie widział prócz sroki spłoszonej tymi głosami; odfrunęła z pobliskiego drzewa na drugą stronę placu.

– Pokoje sprzątane są przez personel zakładu codziennie między dziesiątą a dwunastą, z wyjątkiem niedziel. Niedziele personel ma wolne i każdy z gości musi tego dnia sam sprzątać pokój i zaścielać łóżko. W ciągu tygodnia, jak powiedziałem, wszystkie te czynności spełnia służba. Otóż w godzinach sprzątania, mam na myśli między dziesiątą a dwunastą, nie wolno pozostawać w pokojach, utrudniałoby to bowiem sprzątającemu należyte wykonanie pracy. Większość gości poświęca ten czas na kąpiel, niektórzy korzystają z biblioteki, może pan pójść na basen albo na korty, naturalnie latem. Sam zresztą zorientuje się pan szybko w tym wszystkim, gdy tylko trochę się pan tu zaaklimatyzuje.

Znów umilkł na chwilę, a Basile'a nawiedziły od nowa wątpliwości, czy naprawdę tak mógłby mówić człowiek żywiący dla ludzi nienawiść. Odnosił wrażenie, że dozorca naprawdę starał się obudzić w nim wiarę, że wszystko ułoży się po jego myśli, jeżeli tylko zdoła przystosować się do warunków egzystencji w Paalbergu. A może otrzymał instrukcję, by w ten sposób uspokajać nowych pensjonariuszy? W końcu nie jest wykluczone, że dyrektor celowo przedstawiał Stichlera jako odludka po to, żeby od razu uświadomić nowicjuszowi, że wprawdzie znalazł się w raju na ziemi, ale ten fakt nie powinien upoważniać go do snucia domysłów, że rajską straż składa się z gromady dobrotliwych facetów, których można po prostu wywieść w pole.

– W określonych dniach i godzinach nie wolno jednakże opuszczać pokoi. Są to dni wizyt lekarskich, a więc we wtorki i piątki, i po obiedzie, jak również w porze odwiedzin, to znaczy w sobotnie popołudnia między czternastą a szesnastą i w niedziele rano od dziesiątej do dwunastej.

Basile odwrócił się powoli.

– W godzinach odwiedzin? – zapytał. – Czy to znaczy, że tu wolno przyjmować wizyty? – zapytał z wahaniem nieco zdziwiony. Wiadomość ta wydała mu się dość nieprawdopodobna; a więc wrota raju otwierają się w określonych dniach dla świata zewnętrznego i zezwala się szaremu stadu przychodzić do „uprzywilejowanych osobników”.

Stichler oparł się o szafę, wyraźnie unikając pytającego, pełnego nadziei wzroku Basile'a.

– Pan mnie źle zrozumiał – mruknął. – Mówiąc o wizytach mamy na myśli wysokie osobistości ze sfer rządowych, które odwiedzają kolonię za specjalnym zezwoleniem. Na ogół są to naukowcy z kraju i zagranicy: antropologowie, socjologowie, psychologowie i tak dalej, niekiedy wyjątkowo zdarzy się wśród nich laik, któremu rząd zezwala na to w drodze wyjątku.

– A zatem oni przychodzą tu, ażeby... no, powiedzmy, obejrzeć kolekcję?

– Właśnie. Żeby się z tym zapoznać.

– Czy musimy z tymi ludźmi rozmawiać?

– Nie, nie musi pan. Pan ich nawet nie zobaczy. Trzeba tylko pozostać w tych godzinach w pokoju. Goście nie wchodzi do środka. Korzystają z umieszczonych na drzwiach wizjerów. Później może pan ewentualnie obejrzeć sobie rejestr zwiedzających. Jest na dole u pana Grimma.

Basile spoglądał na Stichlera oniemiałym wzrokiem.

– No, na pewno warto sobie ten trud zadać – wyjąkał.

A więc zupełnie jak w Zoo: tabliczki z naukowymi nazwami rzadkich, cennych okazów homo-yeti, wizjer, przez który można było zobaczyć go, jak siedzi w swoim pokoju, spokojnie poobserwować, jego *TIPUS ETCETERA*, wspaniałego niezastąpionego człeko-zwierza o smutnych oczach i pokurczonym ciele, sklasyfikowanego jako „przeżytek”, skazanego na wyginięcie, ponieważ wrodzona biologiczna wada jak również przeciążenie psychiczne sumieniem i wzniosłymi uczuciami czyni niemożliwym, aby mógł się stać maszyną. Zafascynowani naukowcy będą go obserwowali, będą kreślili notatki i uwagi, by wykorzystać je potem w swych książkach, nad którymi właśnie pracują, w owych jedno albo dwutomowych studiach poświęconych *L'agonie du sensitif*²⁴ albo *The convulsions of individualism*²⁵.

Oszołomiony, z rozchylonymi ustami i szeroko otwartymi oczyma patrzył Basile przed siebie, czując, jak powoli, niczym wskazówki zegara, zwątpienie popychało go ku chwili NAGIEJ I BEZLITOSNEJ PRAWDY. Czy to właśnie będzie ta chwila, w której objawi mu się Bóg? Bóg-mara Isy Baert? Przecież kanonik Lemaire powiedział, że Isa Baert stała się ze zwątpienia wierząca. Tak myślał, ale równocześnie wiedział doskonale, że ów Bóg-mara Isy Baert nigdy do niego nie przyjdzie, jak nigdy on sam nie będzie mógł pójść do tego Boga, bowiem barbarzyńskie ręce zamurowały Złote Wrota, zaś ludzkie pragnienie wieczności padło zabite pod ciosami zbójców.

²⁴ Agonia wrażliwości (fr.)

²⁵ Konwulsje indywidualizmu (ang.)

Księga trzecia

HOMO MOLLIS

Za Hamelen skręcili w nową drogę do Drieschoten, boczną autostrady, przed miesiącem dopiero otwartą dla ruchu. Marta patrzyła w milczeniu na ścięte drzewa, na usypane przy poboczach przyzmy żółtego jak budyń piasku i na taśmę biegnącej lekko pod górę szosy, która w jaskrawym wiosennym świetle wydawała się oślepiająco biała. Zauważyła, że Johan spoglądał na nią od czasu do czasu; czynił to w jemu tylko właściwy sposób. Nie potrafiłaby właściwie określić, co w tych spojrzeniach było szczególnego, w każdym razie zawsze wzbudzały w niej mieszane uczucia pewności i wdzięczności, a zarazem jakby gniewu. A może tak demonstrowały się stłumione wyrzuty sumienia? Nigdy dotąd nie zajmowała się analizowaniem swych uczuć, tym bardziej teraz zdecydowana była nie podejmować takiej próby, przynajmniej tak długo, jak długo w tym, co czuła, dominowało to, co określała mianem pewności i wdzięczności.

– Wyglądasz dziś zachwycająco. Po prostu chciałoby się ciebie ukraść – powiedział Johan. Prowadził wóz niedbale, jakby od niechcenia, dwoma palcami, trzymając w ustach srebrną cygarniczkę.

Uśmiechnęła się. „Zachwycająco” – pomyślała. – Naturalnie miał na myśli: „W tym pięknym płaszczu i z tą wytworną torebką, którą ci podarowałem.” Jego komplementy były jak bumerang. Najchętniej powiedziałaaby mu, że przecież już ją ukradł, ale obawiała się, że mógłby dopatrzeć się w tym złośliwości. Mówienie czegoś takiego byłoby chyba dowodem niewdzięczności z jej strony, a przecież w końcu był dla niej miły, nie mówiąc o tym, że wcale jej nie ukradł, lecz po prostu wypożyczył ją sobie od matki i zwróci wcześniej czy później. Odkąd matka znalazła nowego przyjaciela, nie miała nic przeciwko temu, by wypożyczyć córkę w zamian za sowite odszkodowanie: toalety, podróże zagraniczne i wprowadzenie dziewczyny do najlepszego towarzystwa – taką rekompensatę można było uznać za godziwą. Pani Simons miała oczywiście zawsze argument na usprawiedliwienie się wobec samej siebie za ten handel żywym towarem: własnymi siłami nie byłaby w stanie zapewnić córce tego wszystkiego. Jakby tego nie nazwać: handel żywym towarem czy zręcznie rozegrana partia, pociągnięcie było bez wątpienia wyrafinowane. Dzięki takiej transakcji bowiem obydwaj partnerzy, tak odsunięty od łask, jak i nowy, uzyskiwali to, czego chcieli. Istotne było również, że córka, której stała obecność była niewygodna i krępująca, opuściła dom.

Marta nie miała wątpliwości co do roli, jaka przypadała jej w układzie zawartym przez matkę i opiekuna. Początkowo wydał jej się ohydny sposób, w jaki została rzucona lwu na pożarcie, ale optymizm wziął górę; może jednak nie wszystko w życiu jest tak straszne, jak się zrazu wydaje, ostatecznie nie ma sytuacji, która pozbawiona byłaby stron jaśniejszych. Gdyby zadać sobie trud dostrzegania tylko tej jaśniejszej strony, wszystko wydałoby się łatwiejsze do zniesienia. Dorośli określali to jako przystosowanie się do okoliczności. O, wiele się nauczyła. Nagle przypomniała sobie zdanie z listu, jaki na pożegnanie napisała do pana Jonasa:

„Najgorsze, co może mnie spotkać, jest to, że – być może – zostanę zmuszona do okazania uległości temu wilkołakowi, ale i od tego, jak widać, nie umiera się, przeciwnie, nigdy jeszcze nie widziałam, by matka moja wyglądała tak kwitnąco jak teraz.”

Teraz wiedziała z autopsji, że od tego się nie ginie. Wbrew oczekiwaniu nawet dosyć szybko przemogła wstręt. Pierwszy raz było najgorzej, ale za drugim razem już lepiej, a przy trzecim myślała: „Byleby tylko ze mną nie stało się to samo co iz moją matką.” Wilkołak położył rękę na jej kolanie:

– Szczęśliwa?

Potwierdziła skinieniem głowy. Skłamała, ale cóż z tego? Była wdzięczna, zadowolona, a przecież to nie to samo co szczęśliwa. Wydawało jej się, że do szczęścia potrzeba dużo więcej albo dużo mniej. O ile mogła sobie przypomnieć, raz jeden w życiu była naprawdę szczęśliwa: było to w ubiegłym roku, kiedy pan Jonas grał dla niej na skrzypcach. Równie wspaniałego, wyzwalającego uczucia, kiedy człowiek staje się nagle obłokiem i płynie ponad ziemią, nie doznając od tego czasu nigdy więcej. Jednak i w tym przypadku nie miała całkowitej pewności, czy istotnie było to szczęście, czy może tylko wzruszenie.

– Uśmiechnij się – powiedział Johan zabierając rękę. – Jeśli będziesz tak spoglądała jak teraz, minister pomyśli, że lepiej by było, gdybyś została w domu.

W domu, gdzie to właściwie jest? Ze strachu, że mógłby zapytać, o czym teraz myśli (Jesteś taka milcząca, kochanie!) – zaczęła pytać o jego przyjaciela ministra. To był temat bezpieczny.

– Jak ten minister wygląda? Pewnie jest okropnie oficjalny.

– O mój Boże, ależ nie, przeciwnie, to szalenie miły człowiek, przekonasz się sama, kochanie, że jest prawie tak miły jak ja.

Zaczął się śmiać. Marta wiedziała, że jeżeli teraz spojrzalaby na niego, mrugnie do niej znacząco. Nie spojrziała. Przez cały weekend będzie musiała patrzeć na jego uśmiechy, na mrugnięcia, na niego całego, a nadto – w miarę możliwości – zachowywać się jak dama. Początkowo bawiło ją to, ale dość szybko zaczęła się nudzić, zwłaszcza dlatego, że kilkakrotnie zdarzyło jej się popaść w konflikt z kodeksem towarzyskim wyższych sfer.

– Czy bardzo wielka jest ta jego posiadłość? – zapytała.

– To zależy, co rozumiesz pod słowem „bardzo wielka”. Sądzę, że zajmuje pięć, sześć hektarów. Na pewno się tam nie zgubisz. Ale okolica jest wyjątkowo piękna: lasy, stawy, a nawet teren do polowania. Spójrz – zając biegnie! Szkoda, że nie wziąłem ze sobą flinty.

Obudził się w nim instynkt myśliwego; bez chwili wahania, ilekroć nadarzała się sposobność, w oka mgnieniu składał się do strzału: do zwierzęcia albo do dziewczyny.

– Przecież teraz nie wolno polować – instynktownie stanęła po stronie zwierzyny. – Polowanie w tym okresie jest karalne.

– Ależ, drogie dziecko, jednemu wolno ukraść krowę, a innemu zabronione jest nawet patrzenie na nią przez płot. Nic na to nie poradzisz, tak to już jest.

„Tak to jest” – pomyślała. Wiedziała, że to niesprawiedliwe, ale mało ją to obchodziło. Jeszcze przed trzema miesiącami taka odpowiedź przyprawiłaby ją o wybuch złości, teraz obojętnie tylko stwierdzała, że to niesprawiedliwe, a za kilka miesięcy sposób rozumowania zaprezentowany przez Drexelera wyda jej się, być może, zupełnie normalny. Zaczynała się przystosowywać. Co jej zresztą innego pozostało? Dawno temu odkryła, że pojęcia takie jak honor, cnota, sprawiedliwość i prawda były jedynie kamuflażem, podobnie jak napis „Płatki owsiane” na skrzyni z narkotykami. Życie nie było niczym innym, jak jednym wielkim pokątnym handlem. Nerwy, naleganie, by włamać się do skrzyni, i oto człowiek sam przysparza sobie kłopotów, nadto naraża się na niebezpieczeństwo niepostrzeżonego zaginięcia gdzieś między statkiem a nabrzeżem.

Przejechali przez wiadukt i wkrótce potem dotarli do skraju „Bois de l’Hermite”.

– Za kwadrans będziemy na miejscu – oznajmił Johan.

Marta spojrziała na zegarek: za dwadzieścia trzecia. Wyprzedzili brudną, obłoconą cysternę, a kiedy mieli ją już za sobą, zapytała:

– Jak mam się do ciebie zwracać w obecności ministra? Mam mówić „wujku” czy po prostu „Johan”?

Zazwyczaj wcześniej uzgadniali między sobą, jak w określonych sytuacjach mieli odnosić się do siebie w towarzystwie. Dla zachowania pozorów i uniknięcia skandali – które bawią wówczas jedynie, jeśli się nie jest; w nie zamieszanym osobiście.

– Możesz z powodzeniem mówić mi po imieniu. Minister jest moim serdecznym przyjacielem, nie mamy przed sobą tajemnic. Gdyby mieli się tam znaleźć inni jeszcze goście, lepiej naturalnie mów do mnie „wujku”.. Mam jednak wrażenie, że będziemy sami.

– Czy jego żona też tam jest?

– Jego żona?

– No, ja myślę... – omal nie powiedziała „kochanka”;; Próbowała znaleźć możliwie cywilizowane określenie, odpowiadające mniej więcej tym samym normom znaczeniowym co „płatki owsiane”. Nie znajdując jednak natychmiast odpowiedniego słowa, powiedziała po prostu: – Chciałam powiedzieć: jego metresa. – Takie sformułowanie nie brzmiało przynajmniej prostacko.

– Prawdopodobnie tak, kochanie. – Jechał teraz wolniej, zbliżali się do ostrego zakrętu. – Mireille to bardzo, miła kobieta. Na pewno przypadnie ci do gustu.

– Ładna?

Odpowiedział wymijająco, z czego należało wnioskować, że Mireille musiała być i bardzo ładna, i uwodzicielska.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia sześć, siedem. *Elle est très charmante, cette petite*²⁶ – stwierdził, co uczyniwszy, objął Martę ramieniem i przygarnął ją do siebie, jakby chciał tym gestem pocieszyć ją za wdzięki przyjaciółki ministra.

– Ona pewnie mówi tylko po francusku?

– Nie, równie dobrze posługuje się holenderskim. Boisz się, że będziesz musiała tam mówić po francusku? Z tego powodu nie potrzebujesz się martwić, chociaż jestem zdania, że w ostatnim czasie zrobiłaś duże postępy. – Poglądził ją po policzku, jak głaszcząc się ptaka – delikatnie, dwoma palcami. Nie należał do mężczyzn brutalnych; w większości przypadków wystarczyły mu dwa palce: do prowadzenia wozu, do głaskania policzka. Dawał sobie radę dwoma palcami tam, gdzie inni potrzebowali dziesięciu. Był ekonomistą myślącym planowo.

– Szczęśliwa? – szepnął jej znów do ucha.

– Tak – odpowiedziała.

Oparła głowę na jego ramieniu i patrzyła przed siebie na drogę wijącą się w „Bois de l’Hermité”. Myślała o Mireille, starając się wyobrazić sobie tę kobietę. Zupełnie bez powodu stawała jej przed oczyma Elwira Galie. Aroganckie, rozwydrzone stworzenie, które ku zdumieniu całej klasy zgłoszone zostało przez dyrektora Walfischa do odznaczenia srebrnym medalem *PRO INDUSTRIA ET CONSTANTIA!*²⁷ Jeżeli Mireille miałyby być podobna do tamtej znarowionej dziewczyny, nie przypadną sobie do gustu, jak spodziewa się tego Johan. W tym przypadku nie zada sobie najmniejszego trudu, aby się przystosować – tak postanowiła.

Minister wyszedł im naprzeciw z otwartymi ramionami. Był o głowę wyższy od Johana i miał naprawdę sympatyczną twarz. Marta była zdziwiona widząc go w zwykłej, kraciastej koszuli, podobnej do tych, jakie noszą młodzi nicponie siejący niepokój na placach i w salach tańca. Wcale niemniej zdziwiona była jego szczupłą i sportową sylwetką. Wyobrażała go sobie zupełnie inaczej: spodziewała się spotkać człowieka starszego, poważniejszego.

– Johan, stary, jakże się cieszę, że cię widzę!

²⁶ Ta mała jest urocza (fr.)

²⁷ Za pilność i wytrwałość (łac.)

Nastąpiły serdeczne powitania. Johan i minister dość długo ściskali sobie ręce, a Marta patrzyła na nich z powściągliwym uśmiechem, myśląc, że robili to tak jak politycy pozujący dla prasy, kiedy po zakończonej ważnej konferencji demonstrują przed obiektywem zadolowane twarze.

– A więc to jest twoja podopieczna? – zwrócił się minister do Marty. – *Un fruit savoureux. Mes compliments, vieux satyre*²⁸ – dodał po francusku, po czym pocałował ją w rękę i zatrzymawszy jej dłoń w swojej, przez chwilę patrzył na dziewczynę z podziwem. Zarumieniała się i spuściła oczy. Światowiec taki jak minister potraktował ją jak osobę dorosłą, jak damę z najlepszego towarzystwa – to było podniecające. Szkoda, że nie mogły tego zobaczyć dziewczęta z klasy. Była przekonana, że nawet Elwiry nie pocałował w rękę jeszcze żaden minister, chociaż jej ojciec był sędzią śledczym.

– A jak się czuje Mireille? – zapytał Johan.

– Dziękuję. Znakomicie, drogi przyjacielu, znakomicie. Oczekuje nas w salonie.

Służący zabrał bagaże. Minister podał Marcie ramię i we troje ruszyli w stronę domu zbudowanego w stylu klasycznego pałacyku myśliwskiego.

Marta patrzyła w ziemię. „*Un fruit savoureux.*” Co też mogło znaczyć to „*savoureux*”? Zauważyła kątem oka, że trawniki nie były tu pielęgnowane zbyt starannie. Pośród nierówno wzeszłej trawy przeświecała naga ziemia. Najchętniej pobiegałaby trochę po trawie, wywinęłaby parę koziołków. Niestety, nie wypadało; była damą, a damom to nie uchodzi. Mimo wszystko ciekawa była, co by się stało, gdyby tak właśnie zrobiła? Johan zdenerwowałby się na pewno, podobnie jak wtedy, kiedy w obecności konsula duńskiego zapytała żonę bankiera Schlitza, czy nie obawia się, że mogłaby we śnie połączyć sztuczną szczękę i czy nie wyjmuje jej dla pewności na noc? Nic złego nie miała wtedy na myśli, po prostu tak jej się to wymknęło.

W hallu zwracała uwagę imponująca kolekcja trofeów myśliwskich: skóry na podłodze, ściany ozdobione głowami jeleni i dzików, nadto obok schodów wypchany lis. Ekspонатem najwyższej jakości była jednak wśród tego żywa zdobycz: smukła, jasnowłosa łania. Wyszła właśnie na powitanie gości z salonu: trzymając papieros w ręce i z twarzą rozjaśnioną uśmiechem wyrecytowała kilka zdań wybranych z podręcznika etykiety. Johan, aby nie zostać w tyle w świadczeniu uprzejmości za przyjacielem Julienem, złożył pełen uszanowania pocałunek na dłoni gospodyni. Nawet przeszedł tamtego w galanterii, bowiem powiedział po francusku do rymu: „*Mireille, merveille sans pareil*²⁹...”

Mireille przyjęła komplement z kokieteryjnym uśmiechem. Miała zachwycającą figurę: piersi i talia naprawdę godne były ekstazy poety, i to oczywiście większej miary niż Drexeler. Marta odetchnęła z ulgą: Mireille w niczym nie przypominała Elwiry Galie. „*Not a bit*”³⁰ – pomyślała. W ostatnich tygodniach pracowała również nad doszlifowaniem swojej angielszczyzny; w wielkim świecie mówi się przecież na przemian po angielsku i po francusku i nie wystarcza umiejętność ograniczająca się do *enchante* i *comment allez-vous* czy *please* i *thank you very much*. Marta nie spuszczała wzroku z przyjaciółki Juliana; stwierdziła, że Mireille podobna była raczej do Bonny Beaver, nowej gwiazdy musicalu sprowadzonego ostatnio z Ameryki i robiącego furorę we wszystkich stolicach zachodniej Europy. Ten sam brutalny pyszczek, ten sam gardłowy głos i „subtelny wdzięk”.

– Jaka milusia, jaka urocza! – wykrzykiwała z zachwytem „*merveille sans pareille*”, kiedy przedstawiono jej „*fruit savoureux*”. Jak starsza siostra ogarnęła Martę opiekuńczym ramieniem i powiodła ją do salonu. Po drodze wrzuciła papieros do mosiężnej popielniczki wiszącej na ścianie. Popielniczka przypominała kropielnicę. Panowie rozmawiali z ożywieniem, oglądając nowe nabytki do kolekcji.

²⁸ Rozkoszny owoc. Moje gratulacje, stary satyrze (fr.)

²⁹ Mireille, cud niezrównany (fr.)

³⁰ Ani trochę (ang.)

Po piętnastu minutach lody zostały całkowicie przełamane; Marta, z rumieńcem podniecenia na twarzy, siedziała w luksusowym salonie i rozmawiała z Mireille o różnych rzeczach, o takich, o jakich mówi się z metresą ministra: o wiosennej kolekcji króla mody Buffa, o skandalach dnia, o dolegliwościach prywatnej sekretarki ministra cierpiącej na niedobór białych ciałek krwi, o gigantycznej głupocie jego małżonki, która nawet nie rozumie, na czym polega różnica między *impotentia coeundi* a *impotentia generandi*. Była to zwykła cięta, mocno pieprzna, podłana pikantnym sosem salonowa konwersacja. Już podczas rozmowy uwagę Marty przyciągnął obraz wiszący nad kominkiem; było to płótno pędzla Enrico Baya z lat sześćdziesiątych, przypominające kawał ujętej ramą tapety. Obraz nie przemawiał do jej wyobraźni. Przypominała sobie *Guernikę* w pokoju pana Jonasa i doszła do wniosku, że Picasso podobał się jej bardziej; może dlatego że pan Jonas upodobał sobie Picassa, innymi słowy: możliwe iż to, co podziwiała w tamtym obrazie, to tylko smak artystyczny pana Jonasa.

Przeraziła się własnych myśli i spuściła wzrok, ponieważ jednak w tej samej chwili Mireille zapytała, czy nie ma ochoty zapalić, musiała spojrzeć na nią, aby odpowiedzieć spontanicznie i bardzo uprzejmie, że dziękuje, nie. Bała się, że Mireille mogłaby wyczytać z jej oczu prawdę, tę mianowicie, że istnieją dwie Marty Simons, jedna – twór ostatnich tygodni, dzieło Johana Drexelera, potencjalna kandydatka na kobietę światową o poglądach praktycznych i higienicznych, i druga Marta, uczuciowy, romantyczny podlotek, dziewczyna wierząca w dobroć, miłość i wierność, czytująca Thomasa B. Oswalda i buntująca się przeciw hipokryzji i egoizmowi dorosłych. Wyglądało na to, że Mireille niczego nie dostrzegła, dalej bowiem prowadziła lekką, wesołą rozmowę, po czym zapaliwszy nowego papierosa Jumbo wykorzystwała krótką przerwę w rozmowie na to, by wstać i – jak to czynią dobre gospodynie – opuścić gościa na chwilę wymawiając się potrzebą wydania dyspozycji kucharce w sprawie kolacji.

„Jak dotąd, wszystko idzie znakomicie” – pomyślała Marta. Słuchała ożywionej rozmowy, jaką w dalszej części pokoju, za jej plecami, prowadził Johan z ministrem. Słowa: udziały, kapitał, inwestowanie, dumping bzykały nad ich głowami jak wielkie bąki. Nie interesowała się tymi sprawami, znudzona spojrzała w otwarte okno. Widok zieleniejących w parku drzew wzbudził w niej nieokreślone pragnienia, a między innymi chęć wypowiedzenia komuś walki; nie wiedziała zresztą komu ani czemu: przeszłości, przyszłości czy też sobie samej. A w chwilę potem refleksja: jestem zadowolona, ale przecież nie jestem szczęśliwa. Co zrobić, żeby być szczęśliwą? Nie znalazła zadowolającej odpowiedzi. Prawdopodobnie zależne to było od tego, czego się pragnęło i na co czekało.

O ósmej zasiedli do stołu. Nastrój przy kolacji był wyśmienity, głównie dzięki mocnemu St. Emilion; Julien twierdził, jakoby miał w piwnicy całą baterię butelek tego znakomitego wina, a otrzymał je od pewnego zakrystiana, któremu dopomógł w uzyskaniu posady woźnego. Mówiąc to uśmiechnął się do Marty łobuzersko. Między sałatką z krabów a perliczką z gronami muszkatelowymi Johan uraczył wszystkich dowcipem wygłoszonym po francusku, który Marta słyszała już przynajmniej dwadzieścia razy, a polegającym na grze słów: *corp diplomatique* i *derrière diplomatique*³¹. Mireille roześmiała się i popijając małymi łykami z kieliszka, powiedziała:

– Julien, chéri, pamiętasz jeszcze tę anegdotę, którą opowiedział nam prezydent w ubiegłym tygodniu?

– Nie – odparł Julien – ale wystarczy, ażebyś sięgnęła do książki Eschendorfa *Gruboskórne prawdy i zabawne wymysły*, a na pewno ją tam odnajdziesz. On stamtąd właśnie czerpie swoje błyskotliwe pomysły. Osobiście kazał wykupić w wydawnictwie resztę nakładu, aby zabezpieczyć sobie prawo wyłączności do zawartego w książce humoru.

³¹ Korpus dyplomatyczny i zad dyplomatyczny (fr.)

Johan uśmiechnął się. Mrukliwa starsza służąca, lekko utykająca, obnosiła wokół biesiadników perliczkę.

– A więc widziałeś się z nim jeszcze w ubiegłym tygodniu? – zapytał Johan mimochodem.

– Tak, w czwartek – odpowiedział Julien. – Mireille i ja jedliśmy z nim obiad. Prosił mnie o rzucenie okiem na kosztorys na dodatkowe wyposażenie Kolonii Państwowej Paalberg. Przejawia niemal chorobliwe zainteresowanie dla tej sprawy, wiesz przecież, Paalberg...

– No, tak! – Johan na pozór obojętnie podniósł wzrok znad talerza, a Marta zauważyła, że pilnie nadstawił ucha. Doskonale wiedziała, do czego człowiek taki jak on przykładą wagę, i dlatego obserwowała go bacznie. – Słyszałem o tej osławionej kolonii, ale nie znam właściwego celu, jaki przyświecał stworzeniu tej placówki. Czy to prawda, jak powiadają, że Paalberg jest czymś w rodzaju obozu, miejscem odosobnienia dla osób podejrzanych politycznie?

Minister zrobił nieprzyjemny grymas.

– *Cher ami, tu me fais rire*³². Miejsce odosobnienia dla podejrzanych politycznie w wolnej, demokratycznej republice? Co ci przyszło do głowy? Zaskakuje mnie to, że nie jesteś lepiej poinformowany.

Kroił na talerzu udko perlicze i mówił dalej:

– Oficjalnie Paalberg jest ośrodkiem spokoju i wypoczynku – nie chcemy oczywiście niepokoić opinii publicznej – w rzeczywistości jednak jest to rezerwat dla tak zwanych przeżytków. Cel jest tu zatem czysto naukowy. Niektóre rzadkie okazy z gatunku *homo sapiens*, które na skutek szybkiego postępu technicznego i społecznego zostały wyparte z naszego społeczeństwa i tym samym zagrożone w swym istnieniu, przyjmowane są tam i wcielane do małej preselekcjonowanej społeczności i utrzymywane przy życiu z publicznych środków.

– Powiedzmy: dobór typologiczny – podsumował Johan.

– Tak można to określić. Idealiści, altruści, romantycy i temu podobne typy dzięki umieszczeniu ich w Paalbergu uchronione zostały przed zgubnym dla nich naporem społeczeństwa; ludzie ci mają zatem wszelkie powody do wdzięczności wobec państwa. Poza tym zachowują tam pełną swobodę duchową i moralną. Jedynie ich wolność poruszania się została oczywiście ograniczona. Koniec końców kolekcja jest naprawdę interesująca, czy nie, Mireille? Przed kilkoma miesiącami zwiedziliśmy z Mireille ten zakład. Naprawdę, warto było, zapewniam was.

– Było istotnie uroczo – potwierdziła Mireille. – Wszyscy ci osobliwi ludzie, siedzący w swych pokojach, wyglądali nieomal groźnie, moim zdaniem. A ten oddział specjalny w pawilonie jest, prawdę mówiąc, nieco makabryczny... Musisz sam to kiedyś obejrzeć, Johan. Na pewno zainteresuje to ciebie. A w ogóle, to całkiem niedaleko stąd, ledwie pół godziny samochodem. Julien załatwi ci wejście.

– To się wydaje interesujące – powiedział Johan między jednym a drugim kęsem. – A kto prowadzi tę placówkę?

– Doktor Faes, uczeń Hänscha, jednego z naszych najwybitniejszych typologów – odparł Julien. – Nie słyszałeś o nim?

– Czy to nie ten od peryferyjnych fenotypów?

– Ten sam. A jednym z jego najbliższych współpracowników, ale to mogę ci powiedzieć tylko całkiem poufnie, jest nie byle kto, tylko sam Reinhard Stichler, były kreisleiter z czasów Hitlera i człowiek zaufany słynnego doktora Leya. Nie wiem, czy pamiętasz jeszcze to nazwisko, w każdym razie jest to facet, któremu na krótko przed upadkiem Trzeciej Rzeszy powierzono zorganizowanie REICHSAUFARTUNGSKOLONIE w celu uchronienia od zagłady i zdegenerowania niektórych grup aryjczyków. Kapitulacja Niemiec uniemożliwiła

³² Drogi przyjacielu, śmieszysz mnie (fr.)

realizację tego zamierzenia, ale dzięki życzliwości prezydenta i rekomendacjom doktora Faesa Stichlerowi umożliwiono kontynuowanie jego doświadczeń w Paalbergu. Jest to na pewno *the right man in the right place*³³.

– On jest inwalidą wojennym – zauważyła ze współczuciem Mireille. – Ma tylko jedną rękę.

– Tak, drugą wymienił na Żelazny Krzyż pierwszej klasy – cynicznie dorzucił Julien. – Czy mogą ci dolać, Johan?

– Chętnie.

– A nasza młoda pani? O, pani nic nie pije. „Moszcz rozwiąże dziewicy język” – zacytował gospodarz i nie pytając już o zgodę napełnił kieliszek Marty.

– A co ten Stichler tam właściwie robi? – pytał dalej Johan. – Czy jest prawą ręką doktora Faesa?

– Nie. Jest tam szefem strażników – wyjaśnił Julien. – Wiesz, że założeniem naszej polityki jest werbowanie najlepszych sił za granicą i przyciąganie ich do realizacji naszego programu naukowego i do produkcji – jest to, nawiasem mówiąc, jedna z metod, którym Ameryka zawdzięcza swoją wielkość – nas jednak ciągle jeszcze krępuje ciasny nacjonalizm, chorobliwe emocjonowanie się, a może powinienem raczej powiedzieć – zwłaszcza jeżeli chodzi o Niemców – nieprzejednany gniew na wszystko, co niemieckie. Tego rodzaju uczucia nie są na szczęście zjawiskiem powszechnym – zaciekle opozycja wywodzi się z radykalno-lewicowego skrzydła, jednakże na razie jeszcze musimy brać pod uwagę takie uczucia i nastroje naturalnie z powodów czysto politycznych. Dając kierownicze stanowiska ludziom takim jak Stichler, musielibyśmy liczyć się z tym, że wywołałoby to skandal w określonych kołach. A skandali – o czym ty wiesz, *cher ami*, najlepiej – wolimy unikać, i tak w ostatnim czasie mieliśmy ich niebezpiecznie dużo.

Marta słuchała w milczeniu. Rozmowa nudziła ją coraz bardziej. Ani Stichler, ani sprawy państwowe nie były w stanie zająć jej uwagi przez czas dłuższy niż pół minuty. Spojrzała na ręce siedzącego naprzeciw ministra. Miał ładne, szczupłe, wrażliwe dłonie, sprawiały wrażenie ruchliwych, a równocześnie opanowanych. Pomyślała, że nie są to ręce męża stanu, raczej doświadczonego kochanka. Zaniepokoiła się, bez przekonania próbowała przestać o tym myśleć.

– ...żeglować wśród skał – słyszała mówiącego Julięna, a tymczasem myślała, jakby to było, gdyby te ręce ją rozbierały, dotykały jej ciała, pieściły – myśl ta wcale nie była przykra. Zawsze mimo woli i nie wiedząc dlaczego, zwracała uwagę na ręce mężczyzn. Teraz wszystko stało się jasne. Ręce mężczyzn to czuлки miłości; w miłosnej grze mają swój duży udział.

Nadziała na widelec ostatni kawałek mięsa i nagle, zawstydzona własnymi myślami, odłożyła sztucce czyniąc to tak ostrożnie, jakby obawiała się, że może nimi uszkodzić porcelanę. Jeszcze nie upłynął rok od czasu, kiedy zupełnie inaczej myślała o tych sprawach. Miała wyraźnie w pamięci ów dzień, kiedy Johan zabrał ją po raz pierwszy do swego domu na wsi. Upił ją tam, a potem całował w sposób, w jaki żaden chłopiec dotąd tego nie robił; ze strachu i obrzydzenia była bliska szału, broniła się, stawiała opór, aż uciekła stamtąd jak opętana. A teraz – teraz siedzi tu i zastanawia się, jakby to było, gdyby minister zechciał wyświadczyć jej wysoki zaszczyt i poszedł z nią do łóżka. Na domiar złego bezwstydnie przyznawała, że sprawiłoby to jej przyjemność. Nędzna hipokrytka! To matka ponosiła winę za to, że upadła tak nisko, to ona popchnęła ją na tę drogę.

Zatopiona w myślach usłyszała nagle dźwięk własnego imienia i przerażona spojrzała na Johana i ministra; spoglądali na nią ubawieni.

– Marzycielka – powiedział Johan i powtórzył pytanie, którego przedtem nie usłyszała:

³³ Właściwy człowiek na właściwym miejscu (ang.)

– Masz ochotę jutro pojechać do Paalbergu? Mam nadzieję, że przynajmniej dotarło do ciebie, o czym rozmawialiśmy. Minister zapowie nasze przybycie telefonicznie. Co o tym myślisz?

Marta zaczerwieniła się, wyjąkała kilka słów przeproszenia i w pierwszej chwili nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Czuła się jak pensjonarka złapana na wyjadaniu świątecznych łakoci, dlatego też z ulgą i zadowoleniem przyjęła pomoc Mireille, która wyręczyła ją niejako, odpowiadając:

– Oczywiście, chce. To jedyna okazja. Przecież Paalberg to nie muzeum, do którego można wejść o każdej porze. Tu potrzebna jest wysoka protekcja.

– Tak, naturalnie. Pomysł jest doskonały, moim zdaniem – powiedziała Marta.

Zauważyła, że Johan nerwowym ruchem odłożył serwetkę, знаła ten gest nazbyt dobrze; oznaczał, że zachowała się nietaktownie. Być może wykroczenie przeciw etykietce było niewielkie, ale w zupełności wystarczające, aby go zdenerwować. Stale popadała w kolizję z etykietą: roztargnienie, niedbałość, zbyt głośne mówienie czy śmiech, ziewanie i podobne nietakty należały do grzechów powszednich. „Chyba nigdy się tego nie nauczę” – myślała zniechęcona. Widocznie trzeba wychować się w tych sferach, by rozwinąć w sobie bezbłędne wyczucie sytuacji. Po Mireille, która trafiła tu zapewne wprost z kabaretu, widać było wyraźnie, że zarówno cywilizowane maniery, jak nobliwa elegancja nie weszły jej jeszcze w krew i dałyby się łatwo odszumować. Eliza Doolittle istniała chyba tylko w wyobraźni Shawa.

Po deserze Mireille zaproponowała, aby kawę wypić na tarasie.

– Wieczorem jest tam przepięknie – powiedziała. – Musicie posłuchać, jak o zachodzie słońca ptaki śpiewają w parku. Mogę tam siedzieć godzinami i słuchać. Chodź – wzięła Martę pod rękę – panowie zaraz do nas przyjdą. Julien może tymczasem zatelefonować do Paalbergu.

Siedząc na tarasie Marta zastanawiała się, czy słuchanie śpiewu ptaków jest czymś praktycznym, budującym, pożytecznym dla higieny psychicznej. Czy przypadkiem ta idylliczna przyjemność nie ma podłoża reakcyjnego? Te radosne chóry ptasie to już lekka przesada; jedynym głosem drażącym wieczorną ciszę w parku był dochodzący z oddali, przytłumiony krzyk jednej tylko sowy. To „słuchanie godzinami”, jak mówiła Mireille, też było chyba bajką; ona nawet na chwilę nie zamykała ust. Prawdopodobnie wino St. Emilion sprawiło, że wynajdywała coraz to nowe interesujące tematy; rzuciwszy niedopałek papierosa za balustradę, skrzyżowała nogi i zaczęła znów nową historię o jakimś panu Lachapelle, człowieku romantycznym, członku pewnej tajnej sekty, która między innymi stawia sobie za cel niedopuszczenie do tego, by człowiek opuścił ziemię i osiedlał się na innych planetach.

– Oni wierzą, że na innych planetach mieszkają dusze zmarłych mieszkańców ziemi. To właśnie jest niedobre, prawda? Żadna religia nie toleruje zażyłości między żywymi i zmarłymi.

Paplanina Mireille była męcząca i Marta nie próbowała tego ukryć, chociaż wiedziała, że zostanie jej to znów zaliczone jako wykroczenie przeciw etykietce. Rozmarzona patrzyła przed siebie. Ciężkie wino, krzyk sowy i słodkawy, odurzający zapach żywicy, który jak woń kadzidła napływał z lasu aż na taras, nastrojały melancholijnie. Marta czuła, że coś drgnęło na krawędzi jej świadomości, ogarnęło ją pragnienie, jakieś wyczekiwanie, potrzeba bliższego kontaktu z drugim człowiekiem, szczerzej rozmowy, i nagle bez ogródek zapytała:

– Czy pani jest właściwie szczęśliwa, czy pani teraz jest naprawdę szczęśliwa?

Mireille, zaskoczona, spojrzała na nią.

– Szczęśliwa? No cóż, jestem zadowolona, spełnione zostały moje życzenia – odparła tonem prawie obojętnym.

Marta odwróciła głowę. „Jest zadowolona, wdzięczna, ale szczęśliwa nie jest – myślała – zupełnie tak jak ja.” Trudno pojąć, ale stwierdzenie to zamiast zbliżyć, tym bardziej w sposób beznadziejny oddalało je od siebie.

– Nie oczekuje pani niczego więcej od życia?

– Co za problemy nurtują panią w jej wieku – odpowiedziała Mireille, a w tonie jej głosu zabrzmiało współczucie. – Nie należy spodziewać się od życia zbyt wiele. Trzeba brać z niego to, co można, a rezygnować z tego, czego osiągnąć się nie da. Takie jest moje zdanie. – Przechyliła się daleko do tyłu na oparciu fotela i kształtnym, nagim ramieniem poruszała tak, jakby płynąc łodzią zanurzała dłoń w wodzie. – Ostatnio na pewnym bankiecie siedziałam obok słynnego włoskiego architekta Domaniego, człowieka bardzo inteligentnego, o ogromnym poczuciu humoru. Rozmawialiśmy o życiu i szczęściu, o tym, co można kupić, a co można otrzymać. I wie pani, co powiedział mi Domani? Powiedział po prostu, że to wielkie, jednorazowe życie – jego zdaniem – powinno być opakowane w szklaną wełnę. „Innymi słowy, łaskawa pani: niech się pani zawsze wystrzega przeziębień i nie zagląda zbyt głęboko w oczy swoim wrogom.” Szalenie mi się to podobało i dlatego zapamiętałam sobie jego radę.

Marta słuchała rozdrażniona. „Cóż to za zarozumiałe, snobujące się stworzenie – pomyślała. – Ona naprawdę wyobraża sobie, że jest filarem zachodniej kultury, ponieważ minister spędza z nią swój wolny czas, a sławny architekt posłużył się nią jak taśmą magnetofonową.”

Drzwi od salonu otworzyły się. Weszli obydwaj panowie.

– W czasach jak nasze – usłyszała Marta głos ministra – interesy jednostki muszą być poświęcone na rzecz interesów całej społeczności. Kiedy przed pół wiekiem Woronow przeszczepiał gruczoły młodych małp człekokształtnych starym mężczyznom, w nadziei, że zdoła ich odmłodzić, istniały z pewnością również podstawy prawne zakazujące takich zabiegów. Ale ustawodawstwo wymyślone przez ludzi dla ludzi powstało z ich własnego mglistego wyobrażenia sprawiedliwości, podczas gdy nauka kieruje się prawami dyktowanymi przez naturę, która często bywa niesprawiedliwa.

Sowa milczała w parku, Mireille także umilkła, a Marta doznała nagle uczucia nienawiści dla owego nieznanego pana Lachapelle, który skazał ją na pozostanie aż do śmierci na ziemi, pośród ponurego labiryntu ludzkiego szaleństwa, ludzkich kalkulacji.

Doktor Faes przyjął ich w swym biurze i okazał się człowiekiem niezwykle uprzejmym. Przywitał się z nimi, ale nie usiadł; stał zacierając swoje duże, niezgrabne ręce, a czynił przy tym gesty drażniące Martę w najwyższym stopniu, może dlatego że takie same ruchy zwykła robić Kocia Skórka, kiedy zaczynała pytać z zadanej lekcji. Tyle tylko, że u doktora Faesa gest ów nie wyrażał złośliwej satysfakcji z ewentualnej klęski rozmówcy, nie był też dowodem nerwowości, ale raczej rodzajem odruchu mającego gościom dać do zrozumienia, że umywa osobiście ręce od wszelkiej winy. Tak więc kiedy doktor Faes z chłopską wymawiając słowa wygłosił krótkie, oficjalne powitanie, spojrzenie Marty powędrowało z jego zdrowej, rumianej twarzy ku leżącej na biurku czaszce – jeszcze nigdy nie widziała równie wstrząsającej alegorii: kontrast między życiem a śmiercią.

– Bardzo mnie to cieszy – odpowiedział Johan z uprzejmym ukłonem, rozglądając się dyskretnie dookoła. Jego wzrok zatrzymał się na pozbawionych wyrazu malowidłach zawieszonych na ścianie. Johan nie miał zwyczaju używać wielkich słów i wygłaszać frazesów; był rzecznikiem racjonalizmu, żywił pogardę dla ludzi, którzy, jak mówił, rozrzucali słowa jak confetti.

Dyrektor – wydawało się – nie dostrzegł pogardy, bowiem dalej sypał confetti i usprawiedliwiał nieobecność doktora Ryckhovea. Z jego wypowiedzi wynikało, że kierownik oddziału medycznego w niedzielę nie pracował i wobec tego, niestety, był dziś

nieosiągalny. Z drugiej strony – powiedział – szczęśliwie się składa, że jest w zamian do dyspozycji gości pan Puck, pielęgniarz mieszkający tu na miejscu, jak również szef dozorców, Stichler. Naciśnięcie niewidocznego przycisku na biurku sprawiło, że w pół minuty później weszli do pokoju obydwaj funkcjonariusze, o których była mowa, zupełnie jakby pod drzwiami czekali na wezwanie. Przybyli zaprezentowani zostali gościom; najpierw Stichler, a następnie Pück. Już z tego można było wywnioskować, że Stichler grał w kolonii Paalberg pierwsze skrzypce po dyrektorze i lekarzu. Osławiony Stichler! Marta przypatrywała mu się z zaciekawieniem, przy czym pusty rękaw jego kurtki wzbudził w niej czysto kobiecą reakcję: w pierwszej chwili poczuła dla niego jedynie współczucie. „Mężczyzna bez ręki – pomyślała – to musi być okropne, nawet jeżeli zamiast niej był posiadaczem Krzyża Żelaznego pierwszej klasy.” Stichler wyglądał poza tym staro i nieszczęśliwie, nic w nim nie było z człowieka niebezpiecznego. Nie mogła go sobie po prostu wyobrazić jako nazistowskiego upiora, jako przestępcę wojennego, człowieka, który Bóg wie co ma na sumieniu. Byłaby raczej skłonna uwierzyć, że stał się ofiarą gangsterskiej bandy Hitlera – a w ogóle nie powinno się obecnie tak o tych ludziach mówić; Niemcy po wojnie stali się na wskroś porządnymi ludźmi, prawdziwymi sprzymierzeńcami w świętej walce przeciw czerwonym.

Ustalono, że goście oprowadzani przez Stichlera najpierw zwiedzą parter i pierwsze piętro; potem doktor Faes i pielęgniarz pokażą im laboratorium i pawilon.

– Tu każdy ma mniejsze lub większe indywidualne pole działania – objaśnił dyrektor sznurując usta w okropnym grymasie, który miał być uśmiechem.

Patrząc na zmarszczone wargi doktora, Marta mimo woli pomyślała o znamieniu, jakie Johan miał na piersi, tuż obok brodawki; kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, doznała podobnego jak teraz uczucia. Był to zapewne jeden z owych nic nie znaczących szczegółów, które jednakże w nie mniejszym stopniu przyczyniły się do odarcia jej młodości ze złudzeń, co obskurne intrygi i pogoń za karierą, czego zdumionym i zawstydzonym świadkiem bywała co dzień.

Zwiedzanie parteru obejmowało zarówno obejrzenie ogrodu zimowego, jadalni, biblioteki, jak i sekretariatu. Stichler okazał się przewodnikiem niezbyt rozmownym, kroczył przodem jak stetryczały intendent, otwierał drzwi i udzielał tak skąpych przy tym wyjaśnień jak ktoś, kto spełnia swoją powinność nie z własnej woli, i w dodatku za darmo. Współczucie, jakie początkowo Marta czuła dla niego, stygło zmieniając się stopniowo w antypatię. Jego arogancja irytowała ją; w cichości ducha miała nadzieję, że Johan odbiera to podobnie i że albo zwróci facetowi uwagę, albo po zakończonym zwiedzaniu upokorzy go jakimś bardzo skromnym napiwkami.

Tłący się jeszcze w popielniczce niedopałek papierosa pozwalał domyślać się, że ktoś przed chwilą dopiero opuścił sekretariat. Szef dozorców zwrócił się do Johana z pytaniem, czy zechce wpisać się do księgi gości. Johan poprosiwszy o księgę przejrzał ją bez zbytniego zainteresowania i zadał kilka pytań, mogących świadczyć o tym, że różne poufne informacje nie były mu obce. Fakt ten nie zaimponował bynajmniej Stichlerowi; były kreisleiter udał wręcz, że pytań nie usłyszał, zaś Johan – i to zdziwiło Martę najbardziej – nie nalegał, by odpowiedź została mu udzielona, chociaż na ogół nigdy tak łatwo nie ustępował.

Marta niecierpliwiła się; chciała wreszcie obejrzeć pokoje pensjonariuszy. Z relacji Mireille wynikało, że wszyscy ci dziwni ludzie, siedzący w swoich dziwnych pokojach, stanowią właśnie największą atrakcję dla gości zwiedzających rezerwat. Kiedy Stichler spojrział na nią, zapytała nieśmiało:

– A pensjonariusze, czy zobaczymy ich?

– Zaraz ich pani zobaczy, ich pokoje są na górze – odparł. – Proszę tedy. – Otworzył przed nimi drzwi, a Johan szepnął coś za jej plecami, co zrozumiała jak: „Nie trzeba wyprzedzać oficjalnego programu.”

„Osobliwe” pokoje gości znajdowały się w korytarzu o układzie typowym dla korytarzy hotelowych albo szpitalnych. A może Mireille mówiła tylko o „osobliwych ludziach”, bowiem przy najlepszych chęciach Marta nie zdołała dopatrzeć się w wyglądzie samych pokoi niczego, co by zasługiwało na to miano. Może zatem miała na myśli żółte tabliczki z czarnymi napisami, które Stichler bez zmruczenia oka nazywał wizytówkami gości. Pod tabliczkami, na wysokości wzroku dorosłego mężczyzny, znajdowały się małe, owalne wizjery ze specjalnego szkła, zezwalającego na zaglądnienie do środka w sposób niewidoczny od strony pokoju. Jak w kiermaszowym namiocie, jak w budzie ze skrzynką magiczną: pokręca się korbką, aby zobaczyć obrazy przejmujące dreszczem albo o treści erotycznej. Tu nie trzeba było nawet kręcić korbką, wystarczyło zajrzeć do środka, i to nawet za darmo, pokaz nic nie kosztował, służył bowiem „naucze”. Należało tylko zwracać uwagę na „klasyfikację typologiczną”, podaną na tabliczkach: komentarz do tego żywego obrazu.

Na żądanie Stichlera Marta zajrzała przez jeden z wizjerów do pokoju okazy sklasyfikowanego jako *amans platonicus*. Nie miała pojęcia, co znaczy *amans platonicus* i brak jej było odwagi, aby o to spytać, w każdym razie przekonana była, że ujrzy za chwilę jakąś dziwną istotę ludzką, potwora o trzech głowach albo ze szczypcami zamiast ramion, jak u raka. Tymczasem wbrew oczekiwaniu zobaczyła zwykłego, normalnie wyglądającego mężczyznę w średnim wieku, siedzącego na brzegu łóżka i rysującego coś w szkicowniku, który trzymał na kolanach. Nie mogła ze swego miejsca dojrzeć, co tam rysował. Zauważyła, że miał spuszczone z ramion szelki. Przesunęła wzrok ku jego twarzy: długa szyja, smutne brązowe oczy i odstające uszy sprawiały, że przypominał trochę żyrafę, i to było jedynie dziwne w tym człowieku. Ale przecież trudno sobie wyobrazić, że pozamyka się wszystkich posiadaczy odstających uszu i długich szyj! Albo każdego, kto jest podobny do żyrafy. To byłaby ładna kolekcja! Nic z tego nie rozumiała. Dlaczego ci ludzie zostali pozamykani i w klatkach wystawieni na pokaz? Czy byli przestępcami? A może niebezpiecznymi szaleńcami? A może byli po prostu „rzadkimi okazami”?

Daremnie starała się znaleźć w pamięci jakiś punkt zaczepienia, jakieś wyjaśnienie podane w tym, co mówił dyrektor, a czego ona słuchała nie dość chyba uważnie. „Rezerwat, przeżytki, osobnicy zagrożeni, historyczny dobór” – oto kilka określeń, jakie zapamiętała, nie umiała jednakże doszukać się związków, jakie mogłyby określenia te mieć z tą oto ludzką istotą, siedzącą spokojnie za zamkniętymi drzwiami i zawierającą swą samotniczą fantazję kartkom szkicownika. Odwróciła się rozczarowana, Johan podszedł do wizjera, a tymczasem Stichler uzupełnił informację kilkoma niesmacznymi szczegółami, oraz zwrócił uwagę gości na fakt, że dwa pokoje w chwili obecnej są puste: jeden po gościu, który zachorował przed kilku dniami, i drugi w wyniku nieudanej próby ucieczki lokatora, obecnie przeniesionego do izby chorych.

– Psy go dopadły i okropnie pokaleczyły – dodał ze zdumiewającą obojętnością, lakonicznie i tonem takim, jakim mógłby powiedzieć równie dobrze: jeden z gości usamodzielniał się a drugi skaleczył sobie rękę o wystający gwóźdź.

„Jaki to okropny dom” – pomyślała Marta. Była przerażona wszystkim, co tu słyszała i widziała.

– Czy pan wie, co on rysuje? Chyba zbiera pan te szkice, bez wątpienia posiadają one wartość dokumentalną – zapytał Johan całkowicie pochłonięty obserwowaniem gatunku *amans platonicus*. Nie czekając nawet na odpowiedź Stichlera, mówił dalej zwrócony twarzą do drzwi, które miały stanowić powierzchnię rezonansową dla jego inteligencji. – Co mnie dziwi, to fakt, że pozostawiacie im szelki. Czy nie wiąże się z tym ryzyko? Nie obawiacie się, że mogą próbować samobójstwa?

Stichler potrząsnął przecząco głową.

– Samobójstwa? Wykluczone. Nasi goście poddawani są specjalnej kuracji. Otrzymują regularnie zastrzyki nowego preparatu, którego podstawą jest atarax. Działa on niezwykle

uspokajająco. Ich tęsknota za światem zewnętrznym zamiera stopniowo, ich pragnienia zanikają, nawet pociąg erotyczny. Oni kamienieją – tak to nazywa doktor Ryckhoven – a skamienieliny nie popełniają samobójstwa, panie Drexeler.

– Zatoszczyliście się naprawdę o wszystko – powiedział Johan z uśmiechem.

Podeszli do następnych drzwi i zajrzeli do wnętrza; był to pokój zajmowany przez pensjonariusza sklasyfikowanego jako *philantropus jellybyisticus*. Zachwycony swą przenikliwością, Johan zmusił się jeszcze raz do rozważań, które w dosyć nielicznych chwilach przyływu samokrytycyzmu, zwykł był nazywać: rzutem prostopadłym na płaszczyznę psychiczną.

– Ach tak, więc to jest filantrop. Co za osobliwy typ! Neandertalczyk jutra! Już sam wygląd predestynuje go do miłości bliźniego. Na przykład jego usta: buzia w ciup, wargi jakby stworzone do niewinnych pocałunków. Popatrz, Marto...

Popatrzyła i nagle doznała dziwnego uczucia, jakby cała krew spłynęła jej do pachwin podobnie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy z Johanem... Było to uczucie zawierające w sobie wstyd i odrazę. Teraz też wstydziła się, że podgląda z ukrycia biednego człowieka, tę żyjącą skamienielinę, to właśnie napawało ją obrzydzeniem. Czuła się tak, jakby wbrew jej woli wciągnięto ją do spisku przeciw „ostatnim w pochodzie” – tak nazwał pan Jonas podczas wizyty u panny Baert wszystkich gnębionych i poniżanych, tych którym przypadło w udziale reprezentować sumienie świata. Aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że sprzeniewierzyła się owym „ostatnim w pochodzie” i utraciła prawo współuczestniczenia w reprezentowaniu sumienia świata; splamiła ich barwy, wywiesiła białą flagę i przeszła z tylnej straży do przedniej, ale sumienie w niej nie umarło; drzemało tylko i budziło się od czasu do czasu ze zdławionym krzykiem.

– Mireille ma podobne usta – powiedziała przekornie, chcąc podważyć jego teorię, sprowokować jego gniew, ale on tego nie zauważył.

– Tak – powiedział śmiejąc się – ale na pewno nie z powodu niewinnych pocałunków.

Drexeler zapytał Stichlera, czy nie byłoby możliwe porozmawianie z gośćmi. Zapytany odparł, że nie wolno mu na to zezwolić, ponieważ byłoby to niezgodne z instrukcjami: osobiste kontakty z pensjonariuszami są niedozwolone.

– Nawet kiedy zezwoli na to prezydent? Jestem w bliskim kontakcie z prezydentem i jestem przekonany, że nie odmówiłby mi tego – powiedział. Nie mógł pominąć okazji, aby się nie pochwalić. Sama myśl, że jego pozycja w świecie mogłaby nie robić na kimś wrażenia, była mu nieznośna i prowokowała go do dziecinnych niekiedy posunięć.

Stichler spojrzawszy na niego lodowatym wzrokiem powiedział:

– Jeżeli prezydent uchyli dla pana zakaz, gotów jestem wówczas uchylić przed panem wrota do piekieł. – Johan zagryzł wargi i nerwowym ruchem przesunął ręką po łysinie. Marta doskonale знаła wymowę tego gestu; miał całkowicie zepsuty humor. Ten osioł strażnik miał czelność odmówić wyświadczenia mu grzeczności, właśnie jemu, Johanowi Drexelerowi, generalnemu dyrektorowi Koncernu Epp, przewodniczącemu Izby Handlowej i przyjacielowi ministra finansów.

– Może teraz zejdziemy na dół? – zaproponował dość szorstko. – Obawiam się, że znudziliśmy naszą młodą damę.

Młoda dama spojrzała z uśmiechem sfinksa. Kobieta może wyrazić uśmiechem wszystko albo nic, to rozumiała już dosyć wcześnie; uśmiech można wykorzystać równocześnie jako broń i tarczę.

Zeszli na dół. U stóp schodów czekał już na nich doktor Faes z pielęgniarzem.

– Panie Stichler – powiedział dyrektor – pan Grimm pytał o pana. Może pójdzie pan do niego. Wydaje mi się, że to coś pilnego.

Stichler milczącym ukłonem pożegnał towarzystwo.

Johan umyślnie odwrócił się do niego plecami i zaczął rozmowę z dyrektorem.

Marta była w błędzie: otóż prawdziwą atrakcją Paalbergu nie były żywe skamienielińy w pokojach na górze, ale martwe skamienielińy, zgromadzone w specjalnie wybudowanym w tym celu pawilonie. Tak przynajmniej zapewniał ją pan Puck w drodze do tylnej części budynku. Pan Puck o twarzy obwisłej, zwiędłej, ale o żywych, brutalnych oczach, był nadzwyczaj miły dla niej i starał się między naukowymi wyjaśnieniami, jakich udzielał, nawet trochę z nią poflirtować.

– Martwe skamienielińy? – zapytała zdumiona. – Ma pan na myśli... że tam można obejrzeć martwych ludzi?

– Tak. Po śmierci nasi goście są balsamowani i zwłoki przechowuje się w pawilonie. Ma to niezwykle doniosłe znaczenie dla nauki.

Nienawistne zdanie! Marta nie mogła już tego słuchać: „Niezwykle doniosłe znaczenie dla nauki.” Zawsze dotychczas sądziła, że nauka przynosi człowiekowi chlubę; w tym przypadku chyba jednak tak nie było: człowiek znajdował się na najlepszej drodze, aby stać się produktem odpadu nauki.

– Na szczęście przez stulecia dokładano starań, aby najbardziej interesujące okazy żyjącej fauny i flory zachować dla następnych pokoleń, i jest rzeczą niepojętą, że nigdy nie pomyślano o zrobieniu tego samego z człowiekiem – wyjaśniał pielęgniarz. – Paalberg to na pewno pierwszy krok w tym kierunku.

Martę przeniknął dreszcz.

– A więc ten pawilon jest czymś w rodzaju... muzeum ludzkich skamienieliń?

– Właśnie. Muzeum, stała wystawa czy jak to pani zechce nazwać. Widzi pani, już jesteśmy na miejscu. Mam nadzieję, że nie przerazi to pani. W tym pawilonie zdarzało się to dosyć często i muszę wyznać, nie tylko młodym, delikatnym dziewczętom.

Pomyślała, że chce ją przestraszyć, ale mimo wszystko czuła jednak w sobie niepokój, kiedy wchodziła za Johanem i dyrektorem do budowli przykrytej kopulastym dachem. Do tej pory raz jeden tylko widziała z bliska nieboszczyka: własną babkę, ale ta jeszcze za życia wyglądała jak zasuszona mumia, dlatego też tę pierwszą konfrontację z wielką tajemnicą zniosła Marta bez wielkiego wstrząsu.

– ...zaczątek tej jedynej w swoim rodzaju kolekcji. Oddajmy cześć, komu się ona należy, otóż idea pochodzi istotnie od kogoś, kogo pan zna albo znał kiedyś, od profesora Adamsa. To człowiek obdarzony bezbłędną intuicją, już przed piętnastu laty zwracał uwagę na możliwość...

W pierwszej chwili Marta odniosła wrażenie, że głos mówiącego dochodzi z ukrytego głośnika, ale w chwilę potem przekonała się, że słowa wypowiadał doktor Faes udzielający Johanowi wyjaśnień, tylko pod sklepieniem dachem budynku głos ten brzmiał zupełnie inaczej. Panowie niemal równocześnie odwrócili się w stronę Marty, czekając aż podejdzie bliżej. Ociągając się postąpiła kilka kroków i stanęła przed oświetloną gablotą. Czuła, że ogarnia ją przerażenie. Pielęgniarz przygotował wprawdzie Martę, uprzedził, co tu zobaczy, mimo to wrażenie było wstrząsające. Wzdłuż łukowatej ściany rotundy, za którą wesoło świergotały w parku ptaki, stało dwanaście, a może więcej oszklonych gablot, w których leżeli, siedzieli albo stali ludzie, najciekawsze i najrzadsze okazy ginącej generacji, spreparowane podobnie jak prehistoryczne zwierzęta: mężczyźni bez wieku i imion, dobyte z bandaży mumie o woskowożółtej skórze i niewidzących oczach. Ich obnażone genitalia przyciągały wzrok Marty przekształcając jej przerażenie w milczące zdumienie. Patrzyła zafascynowana; była w wieku, w którym niezdrowa ciekawość dosyć łatwo przesłania inne uczucia. Wydało się jej, że wszystko to podgląda przez dziurkę od klucza ograniczającą pole obserwacji tylko do tych martwych genitaliów. W chwilę później ktoś otworzył drzwi do jej świadomości i wtedy objęła spojrzeniem całą rzeczywistość. Drżała na całym ciele, ogarnął ją zamęt sprzecznych uczuć. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnie straszego; czuła na całym ciele gęsią skórę. KOLEKCJA MARTWYCH LUDZI. Jezus Maria, jak to możliwe?

Czy to są naprawdę autentyczni martwi LUDZIE? Nie miała całkowitej pewności, zwłaszcza kiedy zaczęła przyglądać się szczegółom, jakie przy pierwszym oszołomieniu uszły jej uwagi: sinawe paznokcie u rąk i nóg, jakieś nienaturalne owłosienie ciała i głowy przypominające wełniste włosy lalki. Czyżby miała to być mistyfikacja, wulgarne kiermaszowe oszustwo? A może dla żartu tylko zwabiono ją do tego panoptikum czy jakby nazwać tę kolekcję figur woskowych? Ale to chyba nie mógł być żart. W każdym razie nie w tym celu zaaranżowany, żeby ją przestraszyć. Żart, do którego wciągnięto tak wielu ludzi...

Nieśmiało wsunęła dłoń pod ramię Johana i kiedy oglądali razem gablotę po gablocie, przypatrując się z bliska poszczególnym „obiektom”, przypomniała sobie nagle wydarte z kontekstu i może niezbyt dokładnie powtórzone słowa, które poprzedniego dnia usłyszała z ust ministra: „Interesy jednostki muszą być podporządkowane interesom społeczeństwa i tym interesom poświęcone” i „Natura dyktuje prawa naukowe, a ponieważ natura bywa niesprawiedliwa, takie też muszą być jej prawa.” Jak ślepa plamka na siatkówce oka słowo „niesprawiedliwie” penetrowało każdą gablotę, jedną po drugiej. Zatem ci, którzy trzymali nici w swych rękach, wiedzieli o sobie, że byli niesprawiedliwi – dlaczego zatem nie położyli temu kresu? Dlatego, że niesprawiedliwość nie była skierowana przeciwko nim, a oni nie mieli dosyć fantazji, by móc sobie wyobrazić, co znaczy być poniżanym i wzgardzonym.

– Ostatni romantyk – objaśniał dyrektor pukając lekko palcem w szybę. – Piękny egzemplarz, prawie nie uszkodzony.

– A zdarzają się wypadki uszkodzeń przy preparowaniu? – zapytał ostrożnie Johan.

– Prawie zawsze – przyznał doktor Faes. – Najczęściej wskutek transsudacji, przeciekania płynu tkankowego. Również przedwczesne stężenie sprawia nam niekiedy trudności; musimy wówczas zginać i łamać, a to się czasem nie udaje. Niech pan spojrzy, ten *homo humilis*³⁴ na przykład był poddawany łamaniu. Ale doktor Ryckhoven to prawdziwy czarodziej, pozszywał go po mistrzowsku. Tylko wprawne oko zdoła dojrzeć te uszkodzenia.

– Niebawem – powiedział Johan pochylając się ku witrynie, by lepiej przyjrzeć się przedmiotom osobistym należącym niegdyś do eksponatu, a teraz niczym atrybuty świętego ułożone u jego stóp wystawione zostały na widok publiczny, uzupełniając obraz *homo humilis*: staroświeckie okulary w metalowej oprawie, medalion z miniaturą i arkusz rękopisu.

– Szeroki margines – powiedział spoglądając na manuskrypt – na pewno świadczy o skłonnościach regresywnych.

Marcie zrobiło się niedobrze na widok nieruchomego, szklanego spojrzenia „eksponatu” w gablocie. Siedział na prostej ławce, z głową lekko pochyloną, bardzo pokorny – zgodnie ze swą nazwą – z nogami rozstawionymi. Lewa ręka wsparta na kolanie, zaś prawa wstydliwie przysłaniała płeć. Uda jego pokryte były plamami, a na jednej łydce widoczne były sine blizny. Prawdopodobnie także i on na krótko przed śmiercią pogryziony został przez psy. Marta zmuszała się, aby nie patrzeć, kolana jej drżały, bezwiednie ścisnęła mocno ramię Johana. „Nie patrzeć – mówiła sobie – tylko nie patrzeć” – ale patrzyła. M u s i a ł a patrzeć. Ciekawość i żądza sensacji silniejsze u niej były niż wszystkie inne uczucia.

– Oto *typus ingenuus*³⁵, *ingénu* – powiedział doktor Faes prowadząc ich do przedostatniej gabloty.

– Źle się pani czuje? – szepnął pan Pück Marcie troskliwie do ucha.

– Już lepiej – odparła z bladym uśmiechem.

Była zdecydowana przemóc słabość, ale mimo najusilniejszych starań, pustka w okolicy żołądka nie ustępowała. Przeciwnie nawet, czuła ją jeszcze silniej; oblewał ją pot, teraz nie próbowała nawet słuchać tego, co mówił dyrektor. Odetchnęła dopiero, kiedy ujrzała, że ostatnia gablotka jest pusta.

³⁴ Człowiek pokorny (łac.)

³⁵ Naiwny typ (łac.)

Na pytanie Johana, czy ta pusta gabłota została już komuś przeznaczona, dyrektor odpowiedział, że owszem, bowiem przypadek sprawił, iż w ubiegły czwartek zmarł na bezobjawową i nieuleczalną marskość wątroby jeden z gości. Lekarz z panem Puckiem wspólnie spreparowali go w piątek, czy tak, panie Pück? W tej chwili leży na stole do balsamowania i czeka na *finishing touch*³⁶ co nastąpi... zaraz sprawdzimy kiedy; we wtorek, panie Puck, prawda?

– Prawdopodobnie w najbliższy wtorek, a więc pojutrze – potwierdził Pück.

– Chciałbym go zobaczyć, jeżeli to możliwe – oświadczył Johan z mglistym, przepaszającym uśmiechem.

– Oczywiście, to jest możliwe – odparł doktor Faes. – Stąd przejdziemy wprost do sali, gdzie dokonuje się balsamowania zwłok. Pan Puck ma klucz. – Pielęgniarka wyjął z kieszeni klucz i podszedł do drzwi znajdujących się w tylnej części pomieszczenia. – Naturalnie może go pan obejrzeć. Nawet powinien pan. To wspaniały okaz *homo mollis*, najpiękniejszy, jaki można sobie wyobrazić: wrażliwy introwertyk, który wolałby raczej zginąć, niż choćby w najmniejszym stopniu przystosować się do otoczenia.

Krótką chwilą potrzebna na przejście do sali, gdzie odbywało się balsamowanie ciała, wystarczyła Marcie, by trochę ochłonać. Znikły z pola widzenia gabłota z ohydnyimi mumiami; teraz robiła wszystko, aby przestać o nich myśleć, aby odsunąć je od siebie jeszcze dalej, aż na skraj świadomości. Z lekkim zamętem w głowie i nie puszczając ramienia Johana, weszła wraz z wszystkimi do laboratorium, w którym wydzielona część służyła za pracownię, gdzie dokonywano balsamowania. W powietrzu unosił się ostry, przenikający zapach. Znowu poczuła mdłości.

Pan Pück, znalazłszy się na znajomym terenie, od razu objął przewodnictwo, jakby za milczącym porozumieniem. Między innymi zwrócił uwagę zwiedzającym na kolby szklane, na gumowe węże i umywalnie, wyjaśniając równocześnie ich przeznaczenie. Czuł się w swoim żywiole. Marta, nie patrząc na niego, z samego tylko brzmienia głosu mogła stwierdzić, że wstąpił w niego nowy duch. Tłumaczył Johanowi, że najpierw wstrzykuje się w ciało roztwór formaliny, potem usuwa się zawartość brzucha i klatki piersiowej. Słuchała pełna przerażenia, czuła, że za chwilę sama zwymiotuje zawartość s w e g o żołądka na jego pięknie wyczyszczone buty. Starając się odwlec możliwie najdalej ten moment, połykała ślinę i patrzyła nieruchomym wzrokiem w pokrytą ciemnymi plamami posadzkę, poznaną liniami płaskich rowków ściekowych, biegnących z razu prosto, dalej powyginanych w zawijasy, wreszcie splątanych niczym kłębowisko węży. Wśród tych krętych linii poruszały się nieprawdopodobnie wolno nogi pielęgniarki; jakby stał w polu elektrycznym... Czarne, błyszczące buty zatarły się, zniknęły, pozostał tylko płynący skądś z daleka głos. Głos mówił: „A więc to jest *homo mollis*.” Nie wiedziała, gdzie skierować wzrok: patrzenie w górę było równie ryzykowne, co patrzenie w dół; skłębione linie kanalików łączyły się jej przed oczyma w kręgi, formowały koła, stawały się płonącymi obręczami, osaczały ją zewsząd, budząc przerażenie, że aby się od nich uwolnić, trzeba będzie skakać przez ogień na los szczęścia.

– Będziemy musieli umieścić go w gablocie w pozycji leżącej, ponieważ ma trochę uszkodzone plecy... – informował dalej głos, do którego dołączyły się inne głosy. dziwaczne nieartykułowane dźwięki, słowa, które wpadając w ogniste obręcze spalały się z sykiem w ich płomieniach. „Hoomoo mollises... orgaanies... diiesser... aaase... eeese...”

– Johan – wyszeptwała.

Nie słyszał. Przywarła do jego ramienia próbując przez płonącą obręcz spojrzeć na *homo mollis*. Czyniła rozpaczliwe próby, aby się skoncentrować, i niemal się jej to udało. Ujrzała dwie nagie stopy i cienkie, bezwłose nogi ułożone horyzontalnie, ale zaraz obraz zginął jej z pola widzenia i zrezygnowała w końcu.

³⁶ Ostatnie dotknięcie (ang.)

– Ta twarz... znajoma... (głos Johana całkiem blisko) ...czy ten człowiek... gdzieś spotkałem...

„Muszę słuchać – myślała – to bardzo ważne.” Uczepiła się kurczowo tej myśli. Tymczasem obręcze powoli gasły, pozostawiając czarne zwęglone pierścienie, przez które przenikały słowa jak czerwone balony, szybowały w jej stronę; niektóre pękały, zanim osiągnęły cel, inne docierały do niej: „Nauczyciel... zwolniony... skandal... proces.” Jedna z obręczy znów rozbłysła ogniem i zanim Marta straciła przytomność, ujrzała przed oczyma przerażająco dokładnie twarz należącą do obydwu nagich stóp i nieowłosionych nóg.

– Raz jeszcze ogromnie żałuję, że tak się stało. Taki przykry zbieg okoliczności – powiedział doktor Faes szczerze zmartwiony. – Gdybym potrafił zapobiec, ale skąd mogłem wiedzieć, że pan zna tego człowieka?

– To ohydne – jęknął Johan ocierając czoło nieposzlakowaną, starannie złożoną, śnieżnobiałą chustką; Eau de Cologne, którą skropił ją rano, wyschła, ale zapach pozostał jeszcze.

– Nie, no naturalnie tego nie mógł pan wiedzieć. To moja wina. Miałem przecież okazję, by zajrzeć do rejestru gości, ale przejrzałem tę listę zbyt pobieżnie, w przeciwnym razie na pewno zauważyłbym to nazwisko. Po prostu je przeoczyłem.

Dyrektor czuł się najwyraźniej zawstydzony.

– W tym właśnie rzecz. Istnieje tu zwyczaj, że pokasuje się najpierw zwiedzającym rejestr po to, aby uniknąć podobnych przypadków. Z góry przewidujemy taką możliwość; może pan przecież w pokojach, a także w pawilonie, spotkać kogoś z krewnych czy znajomych, co oczywiście w tych okolicznościach musiałyby być zetknięciem dosyć kłopotliwym. Sam pan widzi, że nigdy dosyć ostrożności. Jeszcze raz zatem: bardzo mi przykro.

Johan westchnął.

– Nie mam o to do pana żalu. To moja wina. – Wytarł nos i schował chustkę. Ręka mu drżała; nigdy jeszcze nie był tak zdenerwowany. – Nawet przez chwilę nie wziąłem w rachubę tego, że mógłbym tu natknąć się na tego człowieka. Do głowy nie przyszła mi taka możliwość.

– A myślał pan, że dokąd został... nigdy nie zastanawiał się pan, co mogło się z nim stać po... no, po tej całej historii, po zakończeniu procesu?

– Nie. A właściwie wiedziałem naturalnie, że został dyscyplinarnie zwolniony z pracy i nie miał już żadnego kontaktu ze szkołą. Nic więcej jednak nie wiedziałem i skąd zresztą miałbym wiedzieć? Słyszałem, że zaginął bez wieści, i wywnioskowałem z tego, że ulotnił się dyskretnie i osiadł gdzieś za granicą, wydawało mi się to najsensowniejszym rozwiązaniem w jego przypadku. Miał zrujnowaną karierę. Nie byłbym zaskoczony, gdybym dowiedział się, że znalazł sobie azyl za żelazną kurtyną. Zarzucano mu przecież sympatyzowanie z komunizmem.

– Tak. W gruncie rzeczy był to typ pierwotny, choć nie czystej rasy. Przystudiowałem dokładnie jego akta i w pewnej mierze doszedłem do przekonania, że pod względem fenomenologicznym kwalifikowałby się raczej do hybrydów.

Johan skinął głową z roztargnieniem. Rozmowa utknęła na martwym punkcie. Panowie siedzieli naprzeciw siebie w gabinecie; Johan przez cały czas miał wrażenie, że coś w tej skomplikowanej sytuacji drażni go i rozprasza. Włożył rękawiczki ze skórki *glace* do kapelusza leżącego na biurku i nagle odkrył, że to „coś” to cholerna czaszka. Tego już było za wiele! Znalazł się w tym makabrycznym domu, gdzie na każdym kroku w bezwstydnym i prowokacyjny sposób przypomniano mu marność i nicość człowieka. Po wszystkim, co się tu zdarzyło, a co wstrząsnęło nim o wiele głębiej, niż sam chciałby się do tego przyznać – nie był już w stanie widzieć nic więcej w tym niesamowitym otoczeniu, jak tylko jeszcze jeden dowód złego gustu doktora Faesa. W myślach przyrównywał swego gospodarza do

cynicznego komiwojażera, reklamującego artykuły kosmetyczne dla panów w sposób dla każdego widoczny: umieszczając próbki towaru na wieku swojej walizki.

Poruszył się niespokojnie na krześle.

– Mam nadzieję – powiedział po chwili – że to nic poważnego. Właściwie powinienem do niej zajrzeć.

– Proszę tu pozostać, nie ma najmniejszego powodu do niepokoju – uspokoił go doktor Faes. – Pan Pück szybko postawi ją na nogi. Jest pod najlepszą opieką. A może zechciałby pan tymczasem zapalić? – zaproponował otwierając skrzynkę z cygarami.

Johan nie miał ochoty na palenie. Myślał o ewentualnych nieprzyjemnych skutkach, jakie dla niego i dla Marty może mieć ten niewinny weekendowy wyjazd. Bolesne poznanie prawdy będzie ją trawiło jak kwas żrący. A taka to była miła dziewczyna! Nie chciałby tego brać na swoje sumienie, o nie; a właściwie ten incydent może ich nawet na zawsze rozdzielić. Wcale nie chciał tracić tego, co z takim trudem zdobył; osiągnął wiek, w którym mężczyzna o żywej wyobraźni seksualnej spodziewa się dla siebie po młodej, nieskomplikowanej dziewczynie więcej niż po kobiecie dojrzałej. Jeśli chodziło zaś o skutki, jakie cała ta sprawa mogłaby mieć dla niego osobiście – wolał na razie o nich nie myśleć – bał się wszystkiego, co mogłoby dać powód do nowego skandalu.

Pukanie do drzwi odwróciło w tę stronę jego wyczekujące spojrzenie; do pokoju wszedł nie pielęgniarz, lecz mężczyzna, którego jeszcze tu do tej pory nie widział.

Człowiek ów, o zdecydowanym wyrazie twarzy, wniósł duże kartonowe pudło, ale zaraz został odesłany z powrotem:

– Nie, nie mam na to teraz czasu – zwrócił się do przybyłego dyrektor – niech pan to później przyniesie. Proszę mi teraz nie przeszkadzać.

Intruz był najwidoczniej zaskoczony, otworzył nawet usta, aby coś powiedzieć, ale doktor Faes uprzedził jego zamiar:

– Czy nie widzi pan, że jestem zajęty? – Poparł słowa niecierpliwym ruchem ręki, dając znak, aby tamten opuścił pokój. Mężczyzna wyszedł, a Johan spojrzał na zegarek i powiedział:

– Wracając jeszcze do pamiętnika, jaki pozostawił po sobie ten człowiek, chciałbym zapytać, czy miałby pan coś przeciw temu, abym przy okazji mógł do niego zajrzeć?

– Bynajmniej – odparł doktor Faes niezwykle uprzejmie i otworzył szufladę biurka. – Sam czytałem go dopiero wczoraj, dlatego mam go tu jeszcze. Jako *document humain*³⁷ przedstawia niewielką wartość, zawiera jednakże ważne dla nas wskazówki, umożliwiające pełniejszą rekonstrukcję osobowości autora.

Pochylił się, dobył z szuflady cienki zeszyt i podał go Johanowi.

– Muszę pana tylko prosić, aby zechciał pan przejrzeć go tu na miejscu. Rozumie pan zapewne, że oddanie tego wiązałoby się z pewnym ryzykiem.

– Doskonale rozumiem. Dziękuję. Zaraz przejrzę, oczywiście, jeżeli to panu nie przeszkadza.

– Proszę się nie spieszyć, panie Drexeler. Spożytkuję ten czas na dokończenie mego sprawozdania dla ministerstwa.

Johan otworzył rękopis. Nie czuł się zbyt dobrze. „Oto dziennik *«homo mollis»*” – pomyślał. Ciekaw był treści dziennika, a równocześnie lękał się jej. Niewykluczone, że na tych stronach ujawnione zostało coś, co mogłoby go kompromitować. Aczkolwiek (zawahał się) cóż mogłoby jeszcze właściwie zostać ujawnione? Wszystko wyszło przecież na jaw i zostało uznane za niewiarygodne. A może bał się, że utrwalone tu wyznanie Basile’a Jonasa mogłoby brzmieć bardziej przekonująco i wiarygodnie, niż to, co zeznał żywy Jonas z ławy oskarżonych?

³⁷ Dokument ludzki (fr.)

Sprawdziwszy najpierw objętość dziennika – ocenił go na około dwudziestu stron – zdecydował się przeczytać wrywkowo kilka fragmentów, sprawdzając w ten sposób niejako czytelność pisma. Średniej wielkości, niezbyt równe litery zdradzały bez wątpienia człowieka uczuciowego. Parę uwag, często nie dłuższych niż dwie linijki, napisanych było dużymi literami i niedbale, jakby w ciemności albo bez okularów.

„Kto został skazany – czytał – został uznany winnym i jako taki nie może już powiedzieć: «To nieprawda.» Nawet ktoś, na kim ciąży tylko podejrzenie, nie może już tego powiedzieć. Tylko oni mają prawo mówić: «To nieprawda.» Mają prawo, ponieważ sami wynaleźli słowo PRAWDA I WOLNOŚĆ, mogą zatem z tym robić, co im się żywnie podoba; mogą na przykład rozsypać litery i złożyć je na nowo i wówczas nazywałoby się to może AWPARD i ŚLONĆWO, takie jest prawo wynalazcy.” Zmarszczył czoło i przepuścił parę linii. Na następnej stronie czytał dalej:

„Jestem poetą i w tej ułudzie zginę; odpokutuję za to. Często przenikam wszystko wzrokiem, jak teraz, i to, co wówczas widzę, napawa mnie nie dającym się opisać uczuciem ludzkiej samotności, ponieważ stwierdzam, że w istniejącym porządku nie ma nic, z czego człowiek mógłby zbudować sobie wielkie i trwałe szczęście.”

„Co za zawiła gadanina” – pomyślał ze złością. Ale gniew jego nie był szczery, sam to czuł. Starł się wywołać w sobie ten gniew.

Zapis z 30 stycznia przeczytał w całości:

„Kto zrozumie cokolwiek z życia? Czy można tą przedziwną mieszaniną szaleństwa i rzeczywistości nazywać w ogóle życiem? Czy trzeba dla jasności, dla osiągnięcia wewnętrznego spokoju, bezwarunkowo wybierać między szaleństwem a rzeczywistością i wybrawszy zakopać się w jedno z dwojga? A może uczciwiej byłoby zachować te cenne wątpliwości i w rozterce duchowej jak Graham Greene miotać się między poglądem, że życie powinno być lepsze niż jest, a poglądem, że w rzeczywistości jest ono gorsze, jeżeli nawet pozornie wydaje się lepsze? Takie rozwiązanie byłoby chyba najrozsądniejsze. Nigdy nie można naprawdę jedynie słusznie o czymś rozstrzygać, bowiem rozstrzygając, zawsze odrzuca się jakąś alternatywę, jakąś nie wybraną część, a przecież możliwe, że jest to właśnie ta część, której zabraknie do prawdy. Jedyne, co można uczynić, to dalej fuszerować i za przykładem Unamuno stworzyć sobie własną religię, a równocześnie szukać prawdy w życiu i życia w prawdzie, nawet kiedy się wie, że nie znajdzie się tego do końca życia.”

Oczytany był ten facet. Jego proza naszpikowana jest cytatami. To nie przeszkadza, że często zaprzecza sam sobie. Na przykład to, co pisał pod datą 9 lutego, przeczy zdecydowanie temu, co pisał 30 stycznia, a już szczególnie ta pełna zwątpienia uwaga całkiem na dole:

„Prawda? Co to jest prawda? Wiem tylko, że prawda jest wielowarstwowa i że ostatnia jej warstwa to grób naszych iluzji.”

Odczuwał rzeczywiście śmiertelny głód prawdy. To słowo występuje u niego niemal na każdej stronie.

W dniu 14 lutego zapisał jedno tylko zdanie, jeden cytat z H. Millera:

„Jeżeli nie śnię, to znaczy, że oszalałem.”

Było tam jeszcze kilka stron z pełnymi patosu opisami nastrojów, poetyckie wynurzenia i jeszcze różne cytaty. Przeglądał je pobieżnie bez zbytniego zainteresowania i kartkował strony, aż do ostatniej, na której były dwa zapiski.

Pierwszy pochodził z 20 kwietnia, drugi – o trzy dni późniejszy – z 23 kwietnia; a więc zaledwie sprzed tygodnia.

„Naród domaga się dla siebie demokratycznych praw i swobód, ale jest za głupi i za leniwy na to, aby czynić z tych praw i swobód użytek; tłum nie może myśleć i dlatego wygodniej mu jest służyć i być posłusznym niż przywołać i rozkazywać; to właśnie tłum, masa ludzka wynalazła niewolnictwo, a nie dyktatorzy.”

Ostatnia (niepełna) notatka pochodziła z 23 kwietnia. Była krótka i napisana ołówkiem:

„Ze wszystkich istot żyjących najbardziej okrutny jest człowiek. Drapieżne zwierzęta mordują z głodu albo w obronie własnej, tylko człowiek, jedyna wśród istot żywych rozumna istota, zabija z sadyzmu, z nienawiści, z zazdrości, z żądzy władzy, z fanatyzmu, a nawet z nudów.”

O ile Johan zdołał się zorientować, rękopis nie zawierał żadnych obciążających go wyznań. Nawet nie natknął się na swoje nazwisko, co było pocieszające. Był to raczej pamiętnik „literacki”, z wyjątkiem kilku agresywnych sformułowań, całkiem niewinny zbiór osobistych rozważań i myśli oraz myśli i rozważania innych. Zdziwiło go wszakże, że autor ani razu nie wspomniał o swojej chorobie. Nigdzie skargi ani najmniejszego nawet niepokoju, i to w ostatnich tygodniach przed śmiercią. Przecież niemożliwe, ażeby nie zdawał sobie sprawy ze stanu swego zdrowia, a już zupełnie jest nie do pomyślenia, żeby się swoim zdrowiem w ogóle nie interesował. Chciał właśnie zwrócić uwagę doktora Faesa na ten fakt, ale wszedł pielęgniarz.

Johan zamknął zeszyt i wstał.

– Jak się czuje?

– Obawiam się, że nie najlepiej – powiedział pan Pück ponuro. – Znajduje się w stanie szoku.

„Tego tylko brakowało” – pomyślał Johan. Spoglądał na pielęgniarza nieomal z wyrzutem, był nawet gotów jemu przypisać winę za nowe powikłanie.

– Co można zrobić? – zapytał rozdrażniony. – Musi tu pozostać?

Doktor Faes wyszedł zza biurka niczym *deus ex machina* zstępujący z tekturowej chmury.

– W tych okolicznościach – rzekł głosem stanowczym, nie patrząc na nikogo – mam wrażenie, że byłoby najlepiej, żeby u nas nie została. Zarówno dla jej dobra, jak i dla naszego. Jeżeli oczywiście uważa pan – zwrócił się do pana Pucka – że stan jej zezwala na to, aby można ją było przewieźć do Meirhaegen.

– To się da zrobić – odparł pan Puck. – Takie rozwiązanie jest rzeczywiście najlepsze.

– Meirhaegen? – zapytał Johan. – Czy tam nie odbywają się coroczne popisy jeździeckie?

– Tak – odparł dyrektor. – To siedem kilometrów stąd, pięć minut samochodem. Jest tam mała nowoczesna klinika na terenie dawnego *Hospitium Domus Dei*. Placówka wzorcowa. Znam dobrze naczelnego lekarza. Wystarczy, że zatelefonuję do niego, i pacjentka zostanie natychmiast przyjęta. Czy zgadza się pan, abyśmy ją tam umieścili?

Johan starał się możliwie najtrzeźwiej ocenić sytuację, ale przygniatające poczucie odpowiedzialności za Martę gnębiło go. Jeżeli bierze się do łóżka nieletnią dziewczynę i nagle wpędza się ją w kłopoty, zawsze jeszcze można jakoś z tego wybrnąć: pieniądze za milczenie, czy coś w tym rodzaju. Ale tutaj było to niemożliwe: odpowiedzialność opiekuna jest jednak inna niż kochanka.

– O Boże, tak – odpowiedział sięgając po kapelusz i rękawiczki, które leżały na biurku. – Jestem w końcu zdany na to, co mi panowie zaproponują. – Równie dobrze mógł powiedzieć: „Mam do panów całkowite zaufanie” – ale te słowa nie mogły mu przejść przez usta. Nie miał również zamiaru ukrywać swego złego humoru.

– Nie widzę doprawdy, co moglibyśmy innego przedsięwziąć – usprawiedliwiał się doktor Faes. – Rozumie pan, że nie możemy jej tu zatrzymywać, nie mówiąc o tym, że brak mi odwagi, aby pomyśleć o skutkach, jakie mógłby mieć dla chorej powrót do świadomości w tym otoczeniu. To byłoby fatalne. Powinno się ją stąd możliwie szybko ewakuować, obojętnie dokąd.

Słowo „ewakuować” raziło Johana. Właśnie to słowo przedstawiało w jasnym świetle jego prawdziwe uczucia i ów podejrzany pośpiech, z jakim chciał się pozbyć Marty. Ewakuować – kojarzyło się z manewrem strategicznym.

– A jak odzyska przytomność w klinice, to co, jak możemy jej wytłumaczyć...

Zdaniem doktora Faesa będzie łatwiej, niż się to wydaje.

– Ponieważ chora znajdzie się w nowym, nieznanym sobie miejscu, nie będzie miała żadnych asocjacji z tym, co widziała w czasie wizyty w Paalbergu. Zasadniczo ważne jest, aby usunięty został zespół tych czynników zewnętrznych, które mogłyby uaktywnić jej wspomnienia.

– Doskonale rozumiem – odparł Johan ze zniecierpliwieniem – jak jednak wytłumaczyć jej w sposób możliwie przekonujący, dlaczego znalazła się w klinice? Przypuszczam... pewien jestem, że będzie pytała...

– Może pan na to znaleźć tyle odpowiedzi, ile pan tylko zechce. Na przykład, że uległa wypadkowi samochodowemu, że wypadła z wozu i doznała szoku. A jeżeli zacznie mówić o Paalbergu, niech pan utrzymuje, że wszystko to jej się śniło.

Johan słuchał ciągle jeszcze niezdecydowany. Tyle myśli i uczuć opadło go równocześnie, że nie był w stanie od razu podjąć decyzji. We własnym biurze zarządu, przy swoim biurku, z telefonem przy każdym uchu i ze stosem najpilniejszych akt musiał podejmować decyzje, mogące mieć groźne skutki dla państwowych zasobów złota; i zawsze wiedział, co należy zrobić, a teraz okazuje się, że nie dorósł do sytuacji takiej jak ta, ponieważ nie potrafił przewidzieć skutków ani korzystając z własnej rutyny, ani z tabeli współrzędnych.

– Czy panowie dysponują karetką? – zapytał chcąc zyskać na czasie.

– Nie, ale można coś zaimprovizować – odparł doktor Faes. – To się da w mgnieniu oka załatwić. Mamy furgonetkę, którą przystosujemy do tego celu. Niech pan to już pozostawi panu Puckowi.

Nie czekając na decyzję Johana, zaczął wydawać polecenia pielęgniarzowi.

– Niech pan weźmie Swinnera jako kierowcę, a sam usiądzie przy chorej. Pan Drexeler pojedzie za wami swoim samochodem, tak będzie najprościej. Proszę wszystko przygotować, a ja tymczasem połączę się z Meirhaegen i zawiadomię doktora Lucasa.

Wszystko zostało znakomicie zadysponowane. Pan Pück pośpiesznie opuścił pokój, aby zorganizować transport, zaś doktor Faes, który najwidoczniej odetchnął z ulgą, czyniąc ręką zapraszający gest, powiedział:

– Proszę, niech pan jeszcze na chwilę spocznie, zadzwonię do Meirhaegen.

Johan zostawił sprawę jej własnemu biegowi. Tak jak zazwyczaj niechętnie komukolwiek ulegał, tym razem był dość rozsądny, aby zrozumieć, że jego gospodarz, przejmując inicjatywę, wziął równocześnie sporą odpowiedzialność za ewentualne wyniki z tego powodu skutki. Doktor Faes telefonował, a jemu wracał powoli spokój. Mimo woli spojrzął na mieniące się jodełką świąteczne ubranie dyrektora i, kiedy przyjrzał się nieco uważniej, zauważył, że źle leżało: marynarka była za ciasna w ramionach i piersiach, dyrektor na pewno należał do klientów, którzy spędzają krawcom sen z oczu. Johan spróbował wyobrazić sobie jak ten *homo nordicus*³⁸ i wyglądałby nago, w gablocie jako zabalsamowana skamienielina. Wcale taka myśl nie była mu nieprzyjemna, przede wszystkim jednak uspokoił go fakt, że sam siebie łapie na podobnych rozważaniach, co świadczyło o tym, że znów zaczął myśleć rzeczowo i krytycznie.

Homo nordicus rozmawiał przez telefon bardzo długo: gdyby znane mu były Marty wymiary, obwód talii i biustu, też pewnie podałyby je swemu rozmówcy. Być może pedant po drugiej stronie drutu chciał jednak wszystko wiedzieć i nie z winy doktora Faesa rozmowa trwała prawie dziesięć minut. Kiedy odłożył wreszcie słuchawkę, wydawał się całkowicie zadowolony z wyniku swego pośrednictwa.

– Słyszał pan: doktor Lucas nie tylko gotów jest przyjąć pacjentkę, ale jeszcze osobiście się nią zaopiekuje.

– To więcej niż się mogłem spodziewać – powiedział Johan.

³⁸ Typ nordycki (łac.)

– Zobaczymy, jak idą przygotowania.

Kiedy wychodzili, furgonetka podjechała właśnie przed dom. Pielęgniarka i jeszcze ktoś (prawdopodobnie Swinnen występujący teraz jako kierowca) z trudem podnieśli nosze. Marty nie było widać spod koców.

– Widzi pan, to zuchy. Już nawet pacjentkę „zaokrętowali.”

Przyglądali się w milczeniu, kiedy wreszcie nosze zostały wsunięte do środka, a za nimi wdrapał się do samochodu pan Pück, doktor Faes dał znak kierowcy:

– Może pan jechać, doktor Lucas jest powiadomiony.

Swinnen usiadł za kierownicą i samochód wolno, na pierwszym biegu, odjechał z podjazdu. Johan stał na schodach obok lekarza; w jednej ręce kapelusz i rękawiczki, w drugiej kluczyk od samochodu. Wyglądało na to, że nie ma jeszcze zamiaru pożegnać się. Coś go nurtowało, dręczyło. Spoglądał za odjeżdżającą furgonetką, aż zginęła za zakrętem alei, po czym odwrócił się do dyrektora i zapytał:

– Niech mi pan szczerze powie, doktorze Faes, czy to była naprawdę marskość wątroby?

Doktor Faes zmarszczył nos.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał.

– Nic innego, niż to, o co pytam: czy ten Jonas zmarł na marskość wątroby? – odparł Johan zdenerwowany, że musiał powtarzać pytanie, i to dlatego tylko, że lekarz chciał zyskać w ten sposób na czasie i wymyślić jakąś wiarygodną odpowiedź.

– Mam wrażenie, że rozumiem ukrytą w pańskim pytaniu myśl. Jeżeli się nie mylę, panie Drexeler, a mylę się na ogół bardzo rzadko, jest pan w gruncie rzeczy człowiekiem sentymentalnym. W pewnych chwilach wszyscy stajemy się niejako ofiarami własnych uczuć, chodzi jednak o to, by uczucia te odpowiednio szybko zdławić w sobie, a zaoszczędzoną w ten sposób energię spożytkować w lepszym celu – odpowiedział doktor Faes w tonie cierpko uprzejmym, a w kilka chwil później cynicznie dodał: – Właściwie także i pan należy do naszej kolekcji.

Wypowiedź doktora Faesa wytrąciła Johana z równowagi. Te słowa to oskarżenie, a co już najbardziej go przy tym dotknęło, to fakt, że było ono uzasadnione.

– Możliwe, że ma pan rację – powiedział wkładając kapelusz. – Może w każdym z nas drzemie taki *homo mollis*. Bardzo mi przykro, że swoim pytaniem sprowokowałem pana do poczynienia nieuprzejmych uwag. Otóż ja chciałem tylko usłyszeć osobiście pańską odpowiedź. Laikowi jest bowiem niekiedy naprawdę trudno rozróżnić granicę między nauką a przestępstwem. Do widzenia, dziękuję panu za gościnność. – Uchylił kapelusza i krokiem zdradzającym nerwowość zszedł po stopniach schodów. Był tak wściekły, że o mało nie wpadł do zbiornika na wodę. Nie oglądając się, wsiadł bez pożegnania do swego samochodu i odjechał.

Paręset metrów za parkiem, na drodze do Meirhaegen, dopędził furgonetkę. Droga początkowo wyboista, pełna dziur i głęboko wyżłobionych przez samochody kolein, dalej stawała się nieco lepsza. Zatopiony w myślach jechał za furgonetką zachowując pewien dystans. „Jakim ja jestem właściwie człowiekiem?” – myślał zniechęcony. Coraz trudniej mu było zastanawiać się nad sobą samym. „Im się jest starszym, tym trudniej – myślał – prawdopodobnie dlatego, że wówczas wyraźniej dostrzega się własne defekty.” Niekiedy można rozmawiać z sobą samym tak tylko jak z kimś obcym, kto stojąc po drugiej stronie na brzegu głębokiej przepaści, macha rękoma wykrzykując coś przy tym, czego drugi prawdopodobnie nawet nie rozumie.

Tuman kurzu przesłonił nagle drogę i jadącą przodem furgonetką. Nie zastanawiając się wiele, włączył hamulec i zatrzymał samochód na środku szosy. Czuł się przeraźliwie osamotniony. Ciągle jeszcze miał przed oczyma skamieniałe hipokratyczne twarze zabalsamowanych zmarłych, a zwłaszcza jedną twarz: smutną, szarą maską *homo mollis*. To wspomnienie było wprost nie do zniesienia, nie do zniesienia tak dalece, że w kilka minut

później wydało mu się po prostu nieprawdziwe. Zaczynał wierzyć, że jest ono wytworem makabrycznego snu (wiele razy zasypiał za kierownicą), zaś wszyscy okropni ludzie w tamtym okropnym domu, zarówno żyjący, jak martwi, to tylko zjawy senne, przywidzenia, które rozpląną się i ulecą wraz z drobinami kurzu. Wyszedł z wozu; drzwiczki pozostawił otwarte. „Jak tu cicho” – pomyślał. Powiódł wzrokiem po rozległej równinie pól. Sen – czy to naprawdę był sen? Mimo woli spojrział w stronę, z której przyjechał: w oddali wyraźnie widać było stąd drzewa w parku. Wpatrywał się w to miejsce, podobnie, jak będąc jeszcze dzieckiem, leżał w łóżku i patrzył w oświetlone okna domu po drugiej stronie ulicy. Kiedy gasło światło w tych oknach, on też zasypiał. Teraz natomiast chwycił się kurczowo idiotycznej nadziei, że i drzewa zaraz powinny zniknąć za linią horyzontu, ale nie zniknęły – Paalberg nie był fatamorganą.

Kruk, który przysiadł tuż obok drogi, zwrócił uwagę Johana; natychmiast przemówił w nim instynkt myśliwego: zgiął wskazujący palec, jakby odciągał zamek strzelby. Zamiast strzału odpalił jednak bezgłośnie słowa, słowa, które niedawno czytał i oto teraz tkwiły gotowe do strzału w magazynku jego pamięci: „Ze wszystkich istot żyjących najokrutniejszy jest człowiek... tylko człowiek zabija z sadyzmu, nienawiści, z zazdrości, z żądzы władzy, ba, nawet z nudów.”

Drażniło go, że słowa te wryły mu się w pamięć. To zamach na jego spokój ducha. Teraz, ilekroć weźmie do ręki myśliwską broń, tylekroć będzie musiał to sobie przypomnieć. Wzruszył ramionami. Czy w ogóle nie jest śmieszne, że dał się wprawić w zakłopotanie sofisteryami jakiegoś marzyciela, fantasty? Odwrócił się i ruszył do samochodu. Zapуścił motor, a przerażony kruk odfrunął, ale niedaleko. Przez całą drogę do Meirhaegen leciał nad samochodem niby czarne przekleństwo, jak zły duch. „To duch Basile’a Jonasa” – pomyślał Johan ponuro.

1 Spuście kurtynę, farsa skończona (fr.)

1 Tak to oni czynią nas tchórzami (nieściśly cytat z Hamleta, przeł. J. Paszkowski)

1 Silny (holend.)

1 Papieros uwodziciela (fr.) 174

1 Mizantrop pospolity (łac.)

1 Tu: człowiek wrażliwy (łac.)

1 Korpus dyplomatyczny i zad dyplomatyczny (fr.)

1 Drogi przyjacielu, śmieszysz mnie (fr.)

1 Ostatnie dotknięcie (ang.)